



Kwartalnik polski

Nr 101

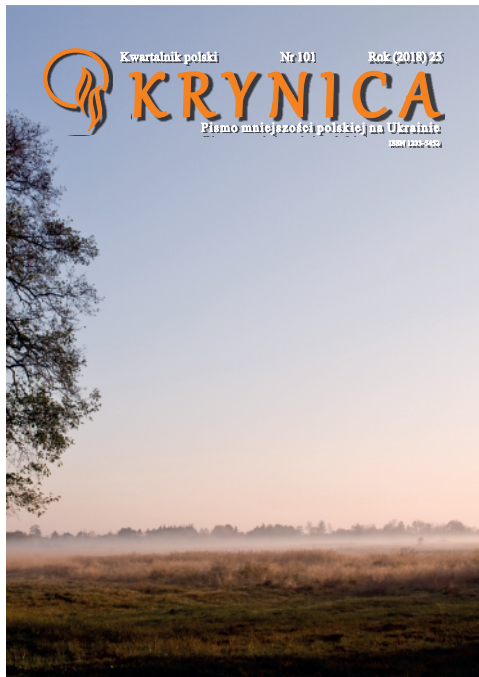
Rok (2018) 25

KRYNICA

Pismo mniejszości polskiej na Ukrainie

ISSN 1233-5452





To była bezsenność. Jedną z wielu, więc można ją nazwać „kolejną”. Świadomość, iż pod tym względem nie jestem wyjątkiem (na bezsenność cierpi niemal 1/3 ludzkości), w żaden sposób nie poprawiła mi nastroju...

I tak – NIE SPAŁAM. Ale nie byłam sama. W mojej głowie krążyły myśli. I nie były to myśli o rzeczach przyjemnych. Natrętne, niepokojące osaczały mnie zewsząd. Atakowały dotkliwie i nieustannie przypominały o sprawach bolesnych, trwożliwych, tych, których nie potrafię rozwiązać.

Wszelkie próby przerwania tego nieskończonego ciągu przygnębiających rozważań i przypomnienia sobie o czymś miłym, dobrym, pozytywnym – spełzły na niczym. Wszystko w moich myślach było smutne, zupełnie tak samo jak w informacjach mediów, które każdego dnia „karmią” nas wyłącznie „negatywem”.

Gdzie podziała się moja radość? Gdzie podziało się owo „pozytywne”, które sprawia, że mimo niełatwego bytu nie przestałam kochać moich bliskich, przyjaciół i dobrodziejów? Gdzie podziała się serdeczność, z jaką składam życzenia droгим mi ludziom z różnych okazji?..

Gdzie podziała się moja radość? – Wstanę rano i pójdę jej poszukać – postanowiłam, próbując na poduszce znaleźć jakieś „lepsze” miejsce. I znajdę. W barwach jesieni, w uśmiechu babci na moim ulubionym bazarze, w czerwonych jabłkach, które wczoraj przyniósł do domu mój mąż, w uśmiechu maleńkiego Jarosława, który urodził się na radość swoim rodzicom i... mnie. Znajdę. Na pewno...

Zaledwie tylko pomyślałam o radości, natychmiast na poduszce odnalazłam „właściwe” miejsce i... słodko zasnęłam

Dorota JAWORSKA

KRYNICA

kwartalnik mniejszości
polskiej na Ukrainie

Zespół redakcyjny:

Dorota Jaworska (red. naczelny)
Mariusz Woźniak OP
Stanisław Panteluk
Oleksij Braślawiec

Stali korespondenci:

Teresa Dutkiewicz (Lwów)
Jan Ciechanowicz (Wilno)
Wiktoria Wachowska (Żytomierz)
Michał Micel (Nowy Jork)

Skład i łamanie:

Wydawniczy Oddział Instytutu Nauk
Religijnych Św. Tomasza z Akwinu
Red. tech. Mychajło Rojik

Zdjęcia na okładce:

1-4 str. – A. Kandecki

3 str. – Stanisław Karcz



„Zadanie współfinansowane
w ramach sprawowania opieki
Senatu Rzeczypospolitej Polskiej
nad Polonią i Polakami za granicą
w 2018 r.”

Koordinator projektu:

Fundacja Wolność i Demokracja



Kontakt z redakcją:

e-mail: dorota57@ukr.net

www.kresy24.pl

SPIS TREŚCI:

WYDARZENIA

Tajemnica Berdyczowskiej Pani (<i>Denis Zaremski</i>)	2
80-lecie otwarcia Obserwatorium „Biały Słoń” . . . („ <i>Kurier Galicyjski</i> ”) . . .	3
Szlachetne działania wolontariuszy (<i>Stanisław Panteluk</i>)	4
Dzień Wojska Polskiego 2018 w Kijowie (<i>Oleg Krysin</i>)	5
Szlakiem polskiego oręża (<i>Informacja własna</i>)	6
W Politechnice Kijowskiej (<i>Janusz Fuksa, Zygmunt Nikodem</i>)	7
Spotkanie z poetą (<i>Andżelika Płaksina</i>)	8
Na Ukrainie czytano „Przedwiośnie” (<i>Informacja własna</i>)	9
„Dobrze jest być Polakiem...” (<i>Andżelika Płaksina, www.prezydent.pl</i>)	10

GOSPODARKA

Handel zagraniczny Polski po 7 miesiącach 2018 roku (<i>GUS</i>)	13
--	----

POSTACI

Luminarz poezji francuskiej. Guillaume Apollinaire (<i>Jan Ciechanowicz</i>)	14
---	----

WSPOMNIENIA Z KIJOWA

Wspomnienia (<i>Mieczysław Oleszkiewicz</i>)	28
--	----

LOSY I DROGI

Byłem studentem Politechniki Kijowskiej... (<i>Józef Olszewski</i>)	42
---	----

100. ROCZNICA NIEPODLEGŁOŚCI POLSKI

Twórcy Niepodległej (cz. III) (<i>Internet</i>)	58
---	----

POEZJA

„Kraina, która się w sercu zaczyna...” Polskie wiersze patriotyczne . . .	62
---	----

HISTORIA JEDNEJ PIEŚNI

Tobie, Ojczyzno, śpiewam... (<i>Internet</i>)	66
---	----

DLA NAJMŁODSZYCH

„Żyrafa z parasolem”, „Jesienny latawiec”, „W drodze do nieba” (<i>Edward Guziakiewicz</i>)	70
--	----

TAJEMNICA BERDYCZOWSKIEJ PANI

Podczas tegorocznych (koniec czerwca) uroczystości z okazji XIX Dni Kultury Polskiej w Berdyczowie w miejskim Pałacu Kultury na szerokim ekranie odbyła się oficjalna premiera polskojęzycznego filmu „*Tajemnica Berdyczowskiej Bogurodzicy*”.

Autorem i reżyserem filmu jest Prezes „Polskiego Radia Berdyczów”, członek Zarządu Głównego i Prezydium Związku Polaków na Ukrainie, doktor politologii, deputowany Rady Miasta Berdyczowa – Jerzy Sokalski. Konsultantem w kwestiach religijnych oraz z zakresu sztuki sakralnej i historii kresowych obrazów sakralnych był zastępca kustosa Sanktuarium Berdyczowskiego, Karmelita Bosy o. Paweł Ferko.

W filmie po raz pierwszy przedstawiono historię i wielkie znaczenie obrazu Berdyczowskiej Madonny i Berdyczowskiego Sanktuarium. Zdjęcia do filmu kręcono na terytorium Polski i Ukrainy, gdzie udało się znaleźć unikalne kopie Ikony Berdyczowskiej (w Polsce filmowcy pokonali trasę liczącą prawie 4 tys. km, na Ukrainie około tysiąca). Ponadto widzowie mają teraz możliwość zobaczyć materiał filmowy z archiwów i bibliotek klasztornych w Polsce, gdzie przechowywane są księgi i kalendarze wydane w berdyczowskiej fortecy setki lat temu.

Wywiadów dla filmu udzielili dostojni przedstawiciele władz Polski: Wiceminister MSZ RP (obecnie

Posel na Sejm RP) Jan Dziedzicak, Senator RP Stanisław Gogacz oraz zwierzchnicy Zakonu Karmelitów (Prowincjał Krakowskiej Prowincji Karmelitów Bosych o. Tadeusz Florek OCD), co podnosi rangę filmu Jerzego Sokalskiego.

Film o obrazie Matki Boskiej Berdyczowskiej powstał przy wsparciu braci Zakonu Karmelitów Bosych, Senatu RP i Fundacji „Pomoc Polakom na Wschodzie”.

Projekcja filmu poprzedzona została wspianiałym występem Ludowego Zespołu Pieśni i Tańca „Зорепівіт” z Miejskiego Pałacu Kultury, który wykonał (po polsku) pieśń Maryjną „*Nie opuszczaj nas*”. Następnie autor i reżyser filmu Jerzy Sokalski opowiedział o pracach związanych z przygotowaniem i bezpośrednią realizacją filmu, zaś o. Paweł Ferko zachęcał mieszkańców Berdyczowa i gości miasta, by podzielili się informacjami na temat losów oryginału obrazu Matki Boskiej Berdyczowskiej, który zaginął podczas II wojny światowej (w 1941 r.).

Przepełniona sala Pałacu Kultury życzliwymi oklaskami podziękowała autorowi filmu za wykonaną po mistrzowsku pracę.

Obecna na oficjalnej premierze Wicekonsul Konsulatu Generalnego RP w Winnicy Agnieszka Góralska wysoko oceniła film, podkreślając w wywiadzie z reżyserem, że koncepcja filmu była bardzo udana i ciekawa.

Serdecznie gratulujemy Jerzemu Sokalskiemu i całej ekipie filmowej spektakularnego sukcesu oraz dziękujemy za popularyzację Berdyczowa na arenie międzynarodowej!

Denis ZAREMSKI



Autor filmu Jerzy Sokalski
i o. Paweł Ferko OCD

80-LECIE OTWARCIA OBSERWATORIUM „BIAŁY SŁOŃ” NA GÓRZE POP IWAN

W dniach 28-29 lipca br. w Werhowinie i na szczycie góry Pop Iwan w obwodzie iwano-frankiwmskim obchodzono jubileusz 80-lecia otwarcia Obserwatorium Astronomiczno-Meteorologicznego Uniwersytetu Warszawskiego im. Marszałka Józefa Piłsudskiego.

Główni organizatorzy – Jan Malicki, dyrektor Studium Europy Wschodniej Uniwersytetu Warszawskiego oraz Ihor Cependa, rektor Przykarpackiego Narodowego Uniwersytetu im. Wasyla Stefanyka, powitali przybyłych na to wydarzenie naukowców, dyplomatów, działaczy społecznych z Polski i Ukrainy. Na obchody przybył także Jerzy Kwiecieński – Minister Inwestycji i Rozwoju RP.

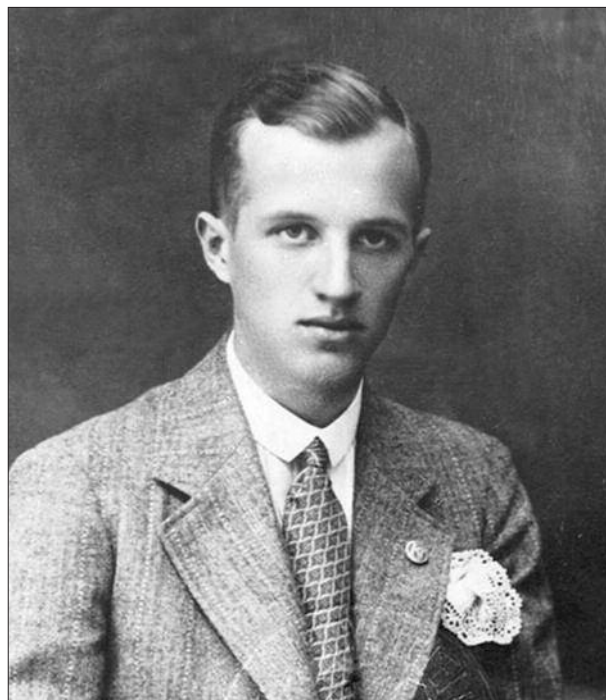
Wprowadzeniem do jubileuszu była konferencja popularnonaukowa, podczas której przedstawiono zarys historyczny „Białego Słonia”. Przedsięwzięcie uświetnił występ chóru „Collegium Musicum UW”.

Niedzielnym porankiem 29 lipca, mimo niesprzyjającej prognozy pogody, ponad 100 uczestników obchodów udało się na wysokość 2022 metrów n.p.m.

W pomieszczeniu obserwatorium dyrektor Jan Malicki wspólnie z ministrem Jerzym Kwiecieńskim zapalili znicze, aby uczcić pamięć Władysława Midowicza – polskiego geografa i meteorologa, działacza turystycz-

nego i krajoznawczego, pierwszego i jedyne go kierownika obserwatorium.

*„Kurier Galicyjski”
Zdj. Konstanty Czawaga*



Władysław Midowicz



Podczas obchodów 80-lecia Obserwatorium na Popie Iwanie

SZLACHETNE DZIAŁANIA WOLONTARIUSZY

Już po raz dziewiąty uczniowie dolnośląskich szkół wraz z opiekunami wyjechali na Kresy, aby porządkować zapomniane, polskie nekropolie. Podczas tegorocznych wakacji 1300 młodych wolontariuszy pracowało na ponad 145 cmentarzach położonych w okolicach Lwowa, Iwano-Frankiwska, Tarnopola, na Podolu i Wołyniu w ramach akcji zorganizowanej przez Fundację Studio Wschód i Kuratorium Oświaty we Wrocławiu, a prowadzonej pod patronatem Prezydenta Polski i TVP Polonia. Dzięki tej wieloletniej szlachetnej akcji wolontariusze zinwentaryzowali już ponad 100 tys. pochówków polskich na cmentarzach znajdujących się głównie w zachodnim regionie Ukrainy.

W tym roku znakomita wrocławska dziennikarka Grażyna Orłowska-Sondej, która od wielu już lat towarzyszy i sekunduje tej, a wcześniej mnóstwu innym dobroczynnym inicjatywom, po skontaktowaniu się z Kierownikiem Wydziału Konsularnego Ambasady RP w Kijowie Tomaszem Dederko, postanowiła jedną z grup wolontariuszy skierować do Kijowa.

Wybór padł na grupę młodzieży z Bogatyni, miasta położonego w polskiej części Łużyc Górnych. Opieki nad ośmioosobową ekipą podjęła się Leokadia Kołodzyńska Zysk, która już piąty raz z rzędu przyjeżdża z taką misją na Ukrainę. W cięższych pracach młodzież wspomagali panowie Jacek Sadnik z Legnicy i Witold Zagrobný z Lubiátowa.

„Nie tylko uporządkowywanie, sprzątanie, odnawianie napisów na grobach jest wytyczonym przez nas celem; – powiedziała Pani Leokadia – równolegle prowadzimy dokumentację całości działań, która sprowadza się do segregacji obiektów, ich opisu, sfotografowania przed i po przeprowadzonych pracach. Listę nazwisk pochowanych przekazujemy naszym informatykom, którzy tworzą po-



Ochotnicy z Polski i gospodarze z Kijowa na Cmentarzu Bajkowa

wszechnie dostępną bazę, swoistą wyszukiwarkę grobów, która umożliwi wszystkim zainteresowanym odszukanie śladów swoich przodków.

Cmentarz Bajkowa w porównaniu z cmentarzami, które poznałam wcześniej ma o wiele lepiej zachowane miejsca pochówku Polaków. Zapewne jedną z przyczyn tego są użyte tu solidne materiały – granit, marmur, rzadko piaskowiec, ale jest to też zasługa aktywistów Kijowskiego Stowarzyszenia «Zgoda», którzy od wielu już lat otoczyli opieką parcelę polską.

Chcę serdecznie podziękować jednemu z takich zapaleńców, posiadającemu dar organizowania pracy zespołów ludzi – Rościszławowi Raczyńskiemu, który wspaniale koordynował nasze działania i przygotował ciekawy program turystyczno-poznawczy.

Jesteśmy też wdzięczni członkom Kijowskiego Narodowościowo-Kulturalnego Stowarzyszenia Polaków «Zgoda», którzy w ciągu tygodnia codziennie pomagali nam w pracach, a po pracy urozmaicali nam pobyt w mieście”.

Podczas pobytu w Kijowie wolontariusze z Polski zawitali do siedziby Związku Polaków na Ukrainie, gdzie przyjął ich Prezes Antoni Stefanowicz. W stołecznej siedzibie Federacji Organizacji Polskich na Ukrainie „Dom Polski” Dyrektor Maria Siwko i Nadziejka Susznicka przekazali gościom wiele ciekawych informacji o historii i realiach życia Polaków na Ukrainie.

Wolontariusze z Polski odwiedzili także Bibliotekę im. Adama Mickiewicza, gdzie spotkali się z członkami Kijowskiego Polskiego Stowarzyszenia Kulturalno-Oświatowego im. A. Mickiewicza i Prezes Ireną Gilową, która pokazała gościom najciekawsze zakątki miasta.

Ochotnikom z Polski zorganizowano wyjazd do podkijowskiej Bykowni, na Polski Cmentarz Wojenny, gdzie złożono kwiaty i zapalono znicze.

W niedzielę wolontariusze uczestniczyli we Mszy św. w kościele św. Aleksandra, gdzie spotkali się też z Czesławą Raubiszko – zasłużoną opiekunką miejsc pamięci.

W ostatnim dniu pobytu wolontariuszy przyjął Ambasador RP Jan Piekło i Konsul RP Bartosz Jabłoński. Ambasador podziękował wolontariuszom i opiekunom miejsc pamięci ze środowisk polskich Kijowa za szlachetne działania w imię zachowania pamięci historycznej.

Stanisław PANTELUK
Zdj. A. Płakšina

DZIEŃ WOJSKA POLSKIEGO 2018 W KIJOWIE

Z okazji przypadającego 15 sierpnia Święta Wojska Polskiego uczczono pamięć polskich żołnierzy spoczywających na kijowskich cmentarzach.

W trakcie uroczystości Zastępca Ambasadora RP na Ukrainie Pan Michał Giergoń oraz Attaché Obrony Ambasady RP w Kijowie kmdr por. Maciej Nałęcz, Dyrektor Instytutu Polskiego w Kijowie Bartosz Musiałowicz wraz z delegacją placówki złożyli wieńce i zapalili znicze na Cmentarzu Wojennym w Kijowie-Bykowni, Cmentarzu Darnickim i Bajkowa.

W uroczystości licznie wzięli udział Polacy mieszkający w Kijowskim Okręgu Konsularnym.

15 sierpnia br. rankiem kilkudziesięcioosobowa grupa kijowskich Polaków wraz z przedstawicielami organizacji ukraińskich przybyła na Polski Cmentarz Wojenny w Bykowni – miejsce pochówku tysięcy Polaków, ofiar zbrodni stalinowskich, w tym osób z tzw. ukraińskiej listy katyńskiej, modlitwę za dusze których, a także w intencji Wojska Polskiego i przyjaźni między narodami, celebrował ks. Michał Brankiewicz.

Nastąpiło uroczyste złożenie wieńców i zapalenie zniczy. Hymn państwowy RP zaśpiewał chór „Czerwone Maki” Kijowskiego Narodowościowo-Kulturalnego Stowarzyszenia Polaków „Zgoda”.

Następnie uroczyste złożenie wieńców i zniczy odbyło się na Cmentarzu Darnickim i w miejscu po-

chówku żołnierzy 3 Dywizji Piechoty Legionów Wojska Polskiego na kijowskim Cmentarzu Bajkowa. Kwaterę żołnierzy, którzy walczyli w 1920 roku w obronie Kijowa na Przyczółku Browarskim uratowano od dewastacji w 1992 r. i od tego czasu wzięło ją pod opiekę Kijowskie Stowarzyszenie Polaków „Zgoda”.

W przededniu święta członkowie „Zgody” sumiennie uporządkowali mogiły, udekorowali kwiatami, polskimi flagami i symbolami narodowymi. Tutaj także polskie pieśni patriotyczne zaśpiewał chór „Czerwone Maki” (chórmistrz – Zażłżona dla Kultury Polskiej Olga Karaczarowa, solistka – Juliana Fredyńska).

W południe tego znamienego dnia Msza święta z okazji uroczystości Wniebowzięcia Najświętszej Marii Panny połączyła znów polską, katolicką społeczność Kijowa w kościele św. Aleksandra.

Tegoroczne uroczystości sierpniowe były ostatnimi, w których brał udział przed swoim wyjazdem z naszego kraju Kierownik Wydziału Konsularnego Ambasady RP w Kijowie Tomasz Dederko. Przedstawiciele Polonii kijowskiej, którzy zawsze odczuwali w swojej działalności mocne wsparcie ze strony Pana Konsula, życzą Panu wszystkiego najlepszego: wielu nowych sukcesów w życiu zawodowym i osobistym.

Oleg KRYSIN
Prezes KNKSP „ZGODA”



Chwila modlitwy i zadumy na Polskim Cmentarzu Wojennym w Bykowni

SZLAKIEM POLSKIEGO ORĘŻA

28 sierpnia 2018 r. ponad stu uczestników XVIII Międzynarodowego Rajdu Katyńskiego – motocyklistów z Polski, USA i Niemiec, którzy startowali 10 sierpnia w Warszawie, dotarli na Polski Cmentarz Wojenny w podkijowskiej Bykowni. Tegoroczna trasa Rajdu Katyńskiego przebiegała przez terytorium Polski, Litwy, Rosji, Gruzji i Ukrainy.

Motocykliści po setkach przemierzonych kilometrach złożyli hołd polskim i ukraińskim ofiarom totalitarnych represji na cmentarzu w Kijowie-Bykowni.



Uroczystość rozpoczęła Msza święta. Następnie uczestnicy Rajdu oraz licznie zgromadzeni Polacy z Kijowskiego Okręgu Konsularnego złożyli wieńce i zapalili znicze oddając hołd spoczywającym tutaj ofiarom.

W uroczystości udział wzięli m.in. Prezes ZPU Antoni Stefanowicz oraz Dyrektor „Dому Polskiego” Maria Siwko.

Ambasadę RP w Kijowie reprezentowali: Radca Wydziału Konsularnego Jacek Gołdowski oraz Attaché Iga Kaca.

Informacja własna



Na cmentarzu w Bykowni rajdowcy zaciągnęli wartę honorową

W POLITECHNICE KIJOWSKIEJ

Politechnika Kijowska w 2018 roku obchodzi jubileusz 120-lecia. 30 sierpnia br. na uroczystym zgromadzeniu pracowników Politechniki rektor profesor Mychajło Zgurowski przedstawił dzieje uczelni i jej obecną działalność naukową i dydaktyczną. W części artystycznej wystąpiły uczelniane zespoły muzyczne i taneczne. W uroczystości uczestniczyły delegacje zaprzyjaźnionych politechnik z Polski.

Następnie rektor odsłonił pomnik ku czci studentów i pracowników Politechniki, którzy zginęli w walkach w Donbasie.

Następnego dnia na placu Wiedzy rektor odsłonił pomnik Konfucjusza, ufundowany przez Ambasadę Chińskiej Republiki Ludowej. Na placu zebrało się kilka tysięcy studentów pierwszego roku, świętujących swój dzień. Uroczystość rozpoczął hymn narodowy, odśpiewany przez chór uniwersytecki, a podchorążowie z politechnicznego instytutu wojskowego podnieśli na maszt flagę państwową. Delegacje wydziałów złożyły kwiaty pod pomnikami wybitnych naukowców uczelni. Studentów z trybuny powitał rektor Politechniki. Po nim przemówili jego goście z Kijowa, a także przedstawiciel Sekcji Wychowanków Politechniki Kijowskiej. Na plac wkroczyli przodownicy nauki z dziećmi pod-

opiecznej szkoły podstawowej. Po nich młodzi wynalazcy pokazali swoje osiągnięcia techniczne. Weszli studenci zagraniczni ze swoimi flagami państwowymi, następnie wyróżniający się sportowcy i uczestnicy amatorskich zespołów artystycznych. Pojawili się tegoroczni zwycięzcy konkursów Królowa KPI i Mister KPI. Zapłonął znicz pod dźwięki hymnu studenckiego „*Gaudeamus igitur*”. W niebo wzbil się napis „KPI-120”. Po zakończeniu godzinnej uroczystości studenci pierwszego roku otrzymali indeksy studenckie.

Delegacja Sekcji Wychowanków Politechniki Kijowskiej w składzie Janusz Fuksa i Zygmunt Nikodem uczestniczyła w uroczystościach i spotkaniach okolicznościowych. Podczas spotkania kierownictwa Politechniki z gośćmi wręczyła złote odznaki honorowe Naczelnej Organizacji Technicznej. Otrzymali je profesorowie Mykoła Bobyr i Tetiana Kyryczok za współpracę z polskimi uczelniami technicznymi. Delegacja przekazała kolejne materiały Sekcji do biblioteki KPI.

Delegacja złożyła wizyty w Domu Polskim i w Związku Polaków na Ukrainie.

Janusz FUKSA
Zygmunt NIKODEM



Uroczystość odsłonięcia pomnika Konfucjusza

SPOTKANIE Z POETĄ

Postać i twórczy dorobek wybitnego polskiego poety doby romantyzmu, dramaturga i filozofa Juliusza Słowackiego jest szanowana i lubiana nie tylko w Polsce i innych państwach. Jednak w szczególny sposób pamięta o nim kraj, gdzie się urodził – Ukraina. Na cześć J. Słowackiego nazwane zostały ulice we Lwowie, Stanisławowie, Tarnopolu, Dnieprze, Równym, Łucku, Kopyczenkach, Barze, Drohobyczu i innych miastach i miasteczkach. Są szkoły i licea, biblioteki i stowarzyszenia Polaków noszące jego imię.

Stolica Ukrainy Kijów również posiada miejsce w szczególny sposób upamiętniające polskiego Wieszczą. Jest to piękny pomnik autorstwa słynnego polskiego rzeźbiarza Stanisława Radwańskiego, który uroczyste osłonięto w dniu 20 września 2012 roku. Usytuowano go w samym centrum miasta, obok zabytkowego kościoła św. Mikołaja przy ul. W. Wasylkowskiej 75.

Od chwili odsłonięcia pomnika i do dzisiaj opiekę nad nim sprawuje Kijowskie Narodowościowo-Kulturalne Stowarzyszenie Polaków „Zgoda”. Pomysłowi śp. Prezes Wiktorii Radik Polacy Kijowa zawdzięczają niezwykłą dla wielkiego miasta poetycką imprezę „pod gołym niebem” – coroczne „Spotkania z poezją Juliusza Słowackiego”. Odbywają się one tradycyjnie 4 września, w dniu urodzin Poety. Celem przedsięwzięcia jest po-

pularyzacja twórczego dorobku poety-romantyka oraz wzmocnienie uczuć patriotycznych wśród Polaków

Z inicjatywy KNKSP „Zgoda”, na czele z Prezesem Olegiem Krysinem, 4 września br. przedstawiciele polskiej społeczności Kijowa zebrali się pod pomnikiem Wieszczą, by świętować kolejne jego urodziny.

Wydarzenie zaszczytlili swoją obecnością: Radca Wydziału Konsularnego Ambasady RP w Kijowie Jacek Goćłowski, Prezes ZPU Antoni Stefanowicz, Dyrektor Muzeum M. Rylskiego w Kijowie Wiktorija Kolesnyk, którzy złożyli u podnóża pomnika biało-czerwone kwiaty. Z bukietami jesiennych kwiatów przybyli również sympatycy spuścizny literackiej Słowackiego z różnych stowarzyszeń Polaków na Ukrainie.

Po uroczystym złożeniu kwiatów o. Paweł Szlacheta OMI z parafii św. Mikołaja rozpoczął modlitwę o pokój między narodami, a także w intencji poetów i innych działaczy kultury i sztuki Polski i Ukrainy.

Prezes Oleg Krysin w swoim przemówieniu serdecznie powitał zebranych i podziękował wszystkim uczestnikom za przybycie.

W części artystycznej recytowano wiersze poety. Polskie słowo, wiersze Słowackiego wzbudziły duże zainteresowanie wśród przypadkowych przechodniów.

Andżelika PEAKSINA

Zdj. autora



Inaugurując spotkanie Radca Wydziału Konsularnego Ambasady RP w Kijowie Jacek Goćłowski podkreślił: „Spotykamy się dzisiaj przed pomnikiem Wieszczą, będącego ulubionym poetą Marszałka Piłsudskiego, poety którego to status w przemówieniu wygłoszonym w 1927 roku, podczas uroczystości złożenia prochów Juliusza Słowackiego na Wawelu, określił on zwięźle: „Królom był równy!”

NA UKRAINIE CZYTANO „PRZEDWIOŚNIE”

W sobotę 8 września br. w całej Polsce i w dwudziestu sześciu innych krajach na wszystkich kontynentach (nawet na Antarktydzie) odbyło się Narodowe Czytanie – polska akcja społeczna propagująca znajomość literatury narodowej.

Akcja Narodowe Czytanie, której pomysłodawcą była Agnieszka Celeda (dyrektor Biura Kultura), po raz pierwszy została zorganizowana 8 września 2012 roku przez ówczesnego Prezydenta RP Bronisława Komorowskiego. Zainicjowano ją wspólną lekturą „Pana Tadeusza” Adama Mickiewicza. W 2013 roku odbyło się czytanie dzieł Aleksandra Fredry, a w 2014 roku czytano „Trylogię” Henryka Sienkiewicza. Czwartą edycję akcji w 2015 roku objęła swoim patronatem Para Prezydencka: Andrzej Duda i Agata Kornhauser-Duda. Przygotowano specjalną krótszą adaptację „Lalki” Bolesława Prusa. W następnych edycjach czytano kolejno „Quo vadis” Henryka Sienkiewicza i „Wesele” Stanisława Wyspiańskiego. Tegoroczną lekturą Narodowego Czytania stało się „Przedwiośnie” Stefana Żeromskiego.

Ponadto Para Prezydencka proponuje do czytania przez cały rok teksty „Antologii Niepodległości”, której korpus tworzą 44 teksty polskich utworów, zarówno w całości, jak i we fragmentach – powieści, dramaty, poezje, pieśni, wspomnienia itd. – ukazujące przewodnie idee tegorocznego Jubileuszu: wolność i niepodległość. Znajdują się tam m.in. „Bogurodzica”, „Pan Tadeusz”, „Dziady cz. III”, „Potop”.

„W trwającym roku stulecia odzyskania niepodległości pragnę zaprosić Polaków do Narodowego Czytania

właśnie «Przedwiośnia». Jestem przekonany, że wspólna lektura tej pięknej i mądrej książki pomoże nam jeszcze bardziej przybliżyć się do doświadczeń sprzed wieku. Bardzo zależy mi na tym, aby tegoroczna akcja, oprócz jej stałego, głównego celu, którym jest promocja czytelnictwa, była też formą uczczenia jubileuszu. A zarazem chcę, aby przesłanie Żeromskiego wzbogaciło program obchodów i wydarzeń o niezwykle istotny i potrzebny element krytycznej refleksji nad dziejami ojczystymi” – napisał w liście Prezydent RP Andrzej Duda.

„Przedwiośnie” to ostatnia powieść Stefana Żeromskiego, która została opublikowana w 1924 roku. Pisarz dokonał w niej bilansu pierwszych lat niepodległości Polski, zwracając uwagę na entuzjazm, chęć odbudowy państwa, ale także na błędy i zaniechania. Książka stanowiła zachętę do wspólnej debaty nad kształtem II Rzeczypospolitej.

Fragmety powieści, opowiadające o rosyjskich perypetiach Cezarego Baryki i jego matki w Baku oraz o szaleństwach i okrucieństwach rewolucji bolszewickiej, czytano również w środowiskach społeczności polskiej na Ukrainie.

Okolicznościowe spotkania z „Przedwiośnią” Stefana Żeromskiego, z udziałem przedstawicieli Ambasady RP w Kijowie, zorganizowane zostały między innymi przez Związek Polaków na Ukrainie i Federację Organizacji Polskich na Ukrainie. Spotkały się one z niezwykle dużym zainteresowaniem w kręgach Polaków mieszkających na Ukrainie.

Informacja własna



„Nasz rok szkolny już tradycyjnie rozpoczęliśmy od «Narodowego Czytania». W tym roku razem z Radcą WK Ambasady RP w Kijowie Jackiem Goctowskim, Prezesem ZPU Antoniem Stefanowiczem, redakcją «Dziennika Kijowskiego», w gronie przedstawicieli KNUE i uczniów Polskiej Szkoły Sobotniej przy ZPU przeczytaliśmy fragment «Przedwiośnia» Stefana Żeromskiego” – powiedziała dyrektor sobotniej szkoły Lesia Jermak

„DOBRCZE JEST BYĆ POLAKIEM...”

W dniach 20-23 września br. w Warszawie miał miejsce V Światowy Zjazd Polonii i Polaków z Zagranicy, który ze względu na obchody 100-lecia odzyskania przez Polskę niepodległości miał wyjątkowy charakter. Organizatorom Zjazdu zależało na tym, aby to spotkanie Polaków z całego świata stało się znaczącym punktem w narodowych obchodach, jednoczącym w roku Wielkiego Święta Narodowego cały rozproszony po świecie naród.

W Zjeździe uczestniczyło ponad 600 przedstawicieli Polonii z całego świata. Ukrainę reprezentowała spora delegacja ZPU na czele z Prezesem Antonim Stefanowiczem oraz FOPnU na czele z Prezes Emilią Chmielową. Uczestnicy wzięli udział w siedmiu forach tematycznych: w Forum Organizacji Polonijnych poświęconym współpracy instytucjonalnej między Polonią i krajem; Światowym Forum Kultury Polonijnej, które zgromadziło artystów, twórców i działaczy kulturalnych w kraju i na obczyźnie; Forum Nauki Polskiej poza Granicami; Światowym Forum Edukacji Polonijnej; Światowym Forum Sportu i Turystyki; Światowym Forum Duszpasterstwa Polonijnego oraz Światowym Forum Mediów Polonijnych. Z każdego z tych niezwykle ważnych spotkań sporządzono szerokie sprawozdania zawierające opinie dyskutantów, ale też wnioski i postulaty. Z ważniejszych wymienić należy wnioski o wybieranie w przyszłości do Senatu RP, przedstawicieli Polonii i Polaków za Granicą, w liczbie 5 senatorów.

V Światowy Zjazd Polonii i Polaków z Zagranicy zainaugurowała Msza święta w intencji Ojczyzny, którą w stołecznej Bazylice Archikatedralnej św. Jana Chrzcici-

ela celebrował metropolita warszawski kardynał Kazimierz Nycz.

Obrady Zjazdu odbyły się w Sali Plenarnej Sejmu RP, gdzie Marszałek Sejmu RP Marek Kuchciński powitał gości słowami: *„Jesteśmy narodem, którego 1/3 obywateli mieszka poza granicami Polski. Dziś polityka naszego państwa zmierza w kierunku ułatwiania powrotu rodaków z emigracji, także tych, którzy byli w czasach okupacji przymusowo wysiedlani. Polska jest naszym wspólnym dobrem i możemy powiedzieć śmiało, że w każdym pokoleniu Polacy za granicą, na emigracji, walczyli wytrwale także o zachowanie duchowego dziedzictwa naszego Narodu”*.

Podczas inauguracji głos zabrał również Marszałek Senatu Stanisław Karczewski, podkreślając: *„Dobrze jest być Polakiem, w kraju i za granicą. Możemy to sobie z satysfakcją powiedzieć w roku stulecia odzyskanej przez Polskę niepodległości. To nasze wielkie wspólne osiągnięcie. Witam Was w domu”*.

Premier RP, Mateusz Morawiecki, w liście skierowanym do uczestników Zjazdu, napisał m.in.: *„Polska odnosi sukcesy wykorzystując szanse, w co znaczący wkład wnoszą właśnie Polonia. Cieszymy się, że Polacy chcą jednak wracać do ojczyzny, że dostrzegają potencjał polskiej gospodarki, podejmują starania, by znaleźć w kraju możliwość rozwijania swojej kariery”*.

Prezydent Europejskiej Unii Wspólnot Polonijnych Tadeusz Pilat zaznaczył, że Zjazd odbywa się w roku stulecia niepodległości, a Senat *„przeznaczył szczególną kwotę”* na organizację przedsięwzięcia, w którym wzięło udział przeszło dwa razy więcej uczestników niż w poprzednich Zjazdach.

Prezydent RP Andrzej Duda w czasie spotkania uczestnikami Zjazdu w Pałacu Prezydenckim wygłosił przemówienie, którego pełny tekst drukujemy poniżej.

Wieczorem w Teatrze Wielkim Operze Narodowej w Warszawie odbył się koncert pod dewizą *„Nasza Niepodległa 1918-2018”*.

Andżelika PŁAKSINA

Zdj. autora



Sala Plenarna Sejmu RP.
Walne obrady V Światowego Zjazdu
Polonii i Polaków z Zagranicy

Wystąpienie Prezydenta RP Andrzeja Dudy na spotkaniu z uczestnikami V Światowego Zjazdu Polonii i Polaków z Zagranicy

Szanowny Panie Marszałku,
 Szanowny Panie Wicemarszałku,
 Szanowni Państwo Ministrowie,
 Szanowni Państwo Prezesi, Przewodniczący,
 Wszyscy Dostojni Przybyli Goście,
 ale przede wszystkim Moi Drodzy Rodacy, przybyli na to spotkanie do Polski – na V Zjazd Polonii i Polaków z Zagranicy z całego świata!

Ogromnie się cieszę, że możemy Państwa w tych dniach gościć także tutaj, w Pałacu Prezydenckim, po to, żeby się przywitać, ale przede wszystkim – by podziękować i pogratulować.

Bardzo często żyją Państwo za granicą od wielu lat. Wielu z Państwa – zwłaszcza młodych – urodziło się poza granicami, a cały czas czujecie się Polakami i cały czas w związku z tym nimi jesteście. Bardzo za to dziękuję: Wam, Waszym najbliższym, rodzicom, którzy wychowali w polskości, szkołom, które uczyły języka polskiego i historii Polski, polskim nauczycielom, polskim duchownym.

Księża, zakonnicy i siostry zakonne sprawują przez lata posługę poza granicami Rzeczypospolitej, często polegając nie tylko na modlitwie czy udzielaniu sakramentów, ale bardzo często polegając na zwykłym udzieleniu wsparcia – psychologicznego, duchowego, dobrego słowa, które nieraz tak jest potrzebne człowiekowi, zwłaszcza z daleka, na obczyźnie, samotnemu. Wszyscy bardzo dobrze wiecie, jak to jest.

Bardzo dziękuję wszystkim Państwu, którzy na co dzień prowadzą polską i propolską działalność: właśnie za to, że młodzi mają polskie świadectwo poza granicami kraju, za to, że tworzycie wspólnotę, że także nas reprezentujecie i wystawiacie swoją codzienną działalnością, swoim życiem także świadectwo Polsce – dobre, bardzo często doskonałe – jaka jest Polska, jacy są Polacy, jakimi są ludźmi.

Wielu z Państwa osiągnęło w życiu zawodowym i osobistym poza granicami Polski ogromne sukcesy. Gratuluję Wam tego z całego serca. Gratuluję i dziękuję, bo właśnie także poprzez te sukcesy reprezentują Państwo Polskę i tym samym – nas wszystkich. To bar-



© Igor Smirnow / KPRP

Wystąpienie Prezydenta RP Andrzeja Dudy w czasie spotkania z uczestnikami V Światowego Zjazdu Polonii i Polaków z Zagranicy

dzo często są pokolenia, bo przecież pierwsze polskie osady poza granicami, na emigracji powstały blisko 200 lat temu. Więc to jest naprawdę bardzo długi czas – i całe pokolenia Polaków urodziły się poza granicami. Jednak Państwo cały czas są.

To V Zjazd, ale tak naprawdę pierwsze spotkania odbywały się już w odrodzonej Rzeczypospolitej, której stulecie odzyskania niepodległości obchodzimy w tym roku. Dziękuję, że z tego właśnie tytułu zjazd odbywający się w tych dniach w Warszawie ma taki szczególny wymiar. Bo to też już jest 90 lat, odkąd Polacy z zagranicy i Polonia spotykają się, by być razem – spotykają się właśnie na zjazdach. To pokazuje, jakim jesteśmy społeczeństwem.

To także w jakimś sensie trudna prawda o naszym narodzie: prawie 40 mln Polaków mieszkających tutaj, na polskiej ziemi, ale 20 mln – poza granicami. To także świadectwo naszej niezwykle trudnej historii, bo bardzo często wyjeżdżali nie z własnej woli. Bardzo często wygnały ich stąd wojna, prześladowania, głód, okupacja, zabory, często byli wywiezieni, często – tak jak dzieci z Pahiatua – przez Syberię poszli w świat.

Bardzo Państwu dziękuję, że cały czas trwacie przy polskości i Polsce – że nigdy o niej nie zapomnieliście. Że pomagaliście w trudnych czasach, przesyłając – dosłownie – pomoc żywnościową, materialną, finansową tutaj, do Polski. Po to też, by walczyć o wolność, żeby można było drukować ulotki, żeby był papier czy chociażby mała drukarenka, na której można by drukować podziemną prasę i w ten sposób walczyć przeciwko komunistom. Dziękuję za to, że zawsze myślicie o Polsce i dziękuję, że o nią dbacie. Dziękuję, że tę łączność nadal podtrzymujecie.

Cieszę się ogromnie, że możemy Was dzisiaj gościć, ale przecież przyjeżdżacie często do wolnej, suwerennej, niepodległej Polski, która ma swoje wielkie ambicje, ma świadomość swojej pozycji, swojego miejsca w świecie i światowej polityce. Ma świadomość także swojego potencjału także w organizacjach międzynarodowych, do których należy – Unii Europejskiej i NATO. Dziękuję Wam za to, że w nich jesteście. Przede wszystkim dziękuję, że jesteście w NATO. Bo to także wielka zasługa Polaków mieszkających w Stanach Zjednoczonych.

Bardzo Wam za to dziękuję, że także dzięki Waszej niezłomności, Waszemu wielkiemu patriotyzmowi mogliśmy dwa dni temu być w Stanach Zjednoczonych, rozmawiać z prezydentem Stanów o tym, jak będzie się rozwijała nasza współpraca wojskowa. Kto by

jeszcze trzydzieści parę lat temu w ogóle pomyślał, że takie wydarzenia będą możliwe? Że będą w Polsce wojska NATO, wojska amerykańskie i że będziemy mogli śmiało rozmawiać o tym, żeby było ich więcej. Że będziemy kupowali sprzęt wojskowy od Stanów Zjednoczonych, że będzie można w taki sposób wzmacniać polskie bezpieczeństwo, polską niepodległość, suwerenność. To wielki okres w naszej historii.

Wierzę, że właśnie także dzięki Waszemu wsparciu zbudujemy Polskę taką, która jest Polską Waszych i naszych marzeń – silną, sprawnie działającą, bezpieczną, liczącą się w świecie, której głos jest wszędzie słyszalny; Polskę, z której będziecie mogli być dumni.

Cieszę się, że w podziękowaniu dla Was, Waszej pracy i działalności można wypowiedzieć nie tylko słowa – choć i one przecież są ważne. Ale że możemy dzisiaj wychodzić z takimi inicjatywami, jak choćby polskie legitymacje szkolne dla dzieci i młodzieży uczących się poza granicami. Żeby mogli przyjechać do Polski i nawet nie chodzi o to, by uzyskać zniżkę – bo przecież w większości wypadków stać Państwa na bilety, żeby je dzieciom kupić – tylko żeby były traktowane tak jak dzieci uczące się w Polsce i żeby miały poczucie, że są równe z dziećmi, które tu się urodziły, tu chodzą do szkoły. To ważne w znaczeniu tej właśnie warstwy symbolicznej.

Dziękuję Wam za wszystko, co na co dzień robicie dla Polski i dla polskich społeczności w Waszych krajach. Dziękuję za to, jak reprezentujecie Polskę. Dziękuję, że przychodzą też Państwo – bo widzę sporo znajomych twarzy – na spotkania, które odbywam w związku z moimi zagranicznymi wizytami. One są dla mnie bardzo ważne, bo jednym z moich celów jest zespajanie nas jako narodu – żebyśmy czuli więź, że wszyscy jesteśmy sobie nawzajem potrzebni. Dziękuję, że Państwo na te spotkania przychodzą i że bardzo często je organizujecie. Uśmiecham się właśnie do naszych harcerzy z Wilna – czuwaj!

Bardzo Państwu jeszcze raz dziękuję. Proszę mi wierzyć, jestem ogromnie wzruszony, gdy mogę poza granicami patrzeć na Was, kiedy gromadzicie się na tych spotkaniach. Jestem też ogromnie wzruszony, gdy mogę odznaczyć tych, którzy są szczególnie zasłużeni – to wielki zaszczyt i przyjemność. Dziękuję, że są Państwo z nami nie tylko dzisiaj i tu, ale że jesteście myślą, swoją pracą i służbą dla Polski i Polaków codziennie.

Dziękuję.

Wykorzystano tekst ze strony internetowej prezydent.pl

HANDEL ZAGRANICZNY POLSKI PO 7 MIESIĄCACH 2018 ROKU

Według wstępnych danych GUS, w okresie styczeń-lipiec br. eksport towarów z Polski osiągnął 125,7 mld EUR, tj. poziom o 6,5 proc. wyższy niż przed rokiem. Z kolei import wyniósł ponad 127,3 mld EUR, co oznacza wzrost o 8,7 proc. Deficyt obrotów towarowych wyniósł ok. 1,6 mld EUR.

W analizowanym okresie notowano wyraźne dysproporcje w dynamice obrotów towarowych wyrażonych w różnych walutach.

Umocnienie złotego (o 0,7 proc. w stosunku do EUR i o ok. 10 proc. do USD) zadecydowało, że w ujęciu złotowym nasze obroty towarowe rosły relatywnie wolno (eksport o 4,7 proc., a import o 6,9 proc. Z kolei najszybciej rosły obroty wyrażone w USD odpowiednio o 19,2 proc. i o 21,5 proc.

Eksport do UE wzrósł o 6,9 proc. (do 100,8 mld EUR), w tym do Niemiec o 9,8 proc., Czech o 5,4 proc., Francji o 6,8 proc. oraz Niderlandów o 6,7 proc.

W przypadku eksportu do Wielkiej Brytanii oraz Włoch odnotowano spadek odpowiednio o 0,6 proc. i 2,0 proc.

Warto zaznaczyć, że pośród państw unijnych aż do siedemnastu z nich odnotowano szybszy niż przeciętnie wzrost sprzedaży polskich towarów, w tym najszybszy do Irlandii o 22,5 proc., Słowenii o 18,9 proc., Chorwacji o 17,3 proc. oraz Rumunii o 17,0 proc. Z kolei import z UE wzrósł o 6,7 proc., w tym z Niemiec o 8,0 proc.



Sprzedaż na pozostałe (pozaunijne) rynki rozwinięte gospodarczo zwiększyła się o 6,1 proc., do blisko 8,5 mld EUR.

W ramach tej grupy krajów szybko rosła sprzedaż do USA (o ok. 9,9 proc.), Norwegii (o ok. 20,1 proc.) oraz Izraela (o 9,1 proc.).

Z drugiej strony spadki wywozu nastąpiły m.in. do Szwajcarii (o 1,4 proc.), Kanady (o 3,6 proc.) oraz Australii (o ok. 21,1 proc.).

Nadal szybciej niż przeciętnie rosła sprzedaż do krajów WNP, tj. o 6,7 proc. (do 7,6 mld EUR). Na ten wynik złożył się dynamiczny wzrost sprzedaży do Rosji (o 9,8 proc.), relatywnie wolniejszy wywóz na Ukrainę (o 4,3 proc.) i na Białoruś (o 3,6 proc.).

Najwolniejszy wzrost eksportu odnotowano na rynki krajów słabiej rozwiniętych (spoza WNP), tj. o 2,9 proc. (do 8,8 mld EUR). Tradycyjnie w tej grupie państw istniały duże dysproporcje w dynamice sprzedaży, tj. szybko rosła do Arabii Saudyjskiej (o 22,0 proc.), Indii (o 12,4 proc.), Tajlandii (o ok. 65,0 proc.), w granicach tempa przeciętnego zwiększyła się do Serbii (o 6,8 proc.), natomiast jej spadki odnotowano do Chin (o ok. 4,8 proc.), Meksyku (o 0,9 proc.) oraz ZEA (o prawie 17,2 proc.).

Z kolei na główny rynek eksportowy z tej grupy krajów, czyli Turcji, sprzedaż wzrosła o 3,0 proc.

W przekroju towarowym najszybciej rosła sprzedaż produktów mineralnych (o 14,4 proc.), wyrobów przemysłu lekkiego (o 11,4 proc.) oraz wyrobów przemysłu drzewno-papierniczego (o 10,9 proc.).

Sprzedaż dominujących w naszym eksporcie wyrobów przemysłu elektromechanicznego wzrosła o 6 proc., w tym najszybciej maszyn i urządzeń mechanicznych oraz ich części (o 9,6 proc.).

Źródło:

DAG MPiT na podstawie wstępnych danych GUS

LUMINARZ POEZJI FRANCUSKIEJ GUILLAUME APOLLINAIRE

W setną rocznicę śmierci

Był owocem miłości niesformalizowanej, czyli dzieckiem z „nieprawego łoża”, tak jak m.in. Giovanni Boccaccio, cesarz Konstantyn Wielki, Cesare Borgia, Francois Villon, Leonardo da Vinci, Eugene Delacroix, Alexandre Dumas (junior), Louis Aragon, Jack London, Richard Wagner, Cosima Wagner, Alexandre Walewski, Maurice Utrillo, Eva Peron, Sarah Bernhardt, Willy Brandt, Françoise Hardy, Maria Schneider. Również taka znakomitość jak Jean le Rond d’Alembert (1717–1783), wybitny encyklopedysta, pochodził z nieprawego łoża i nie wiadomo, kto był jego ojcem.

W „Chronologii życia Apollinaire’a”, ułożonej przez Adama Ważyka, w punkcie pierwszym czytamy: „1858. W Helsinkach urodziła się Angelika Aleksandra Kostrowicka. Ojciec jej, Apolinary Kostrowicki spod Nowogródka, odbywał służbę w wojsku rosyjskim i ukończył ją w randze kapitana. Matka, Julia, z domu Floriani, była Włoszką”. W punkcie zaś piątym znajdujemy informację następującą: „1880. 26 sierpnia w Rzymie w dzielnicy Trastevere (na Zatybrzu) przyszedł na świat Wilhelm Albert Władimir Aleksander Apolinary Kostrowicki, w przyszłości – Guillaume Apollinaire. Z początku zgłoszono go pod nazwiskiem Guglielmo Alberto Dalcigni, z nieujawnionej matki i nieznanego ojca. Matka jednak, Angelika Kostrowicka, ujawniła się po miesiącu przy chrzcie dziecka w San Vito parafii Santa Maria Maggiore i 2 listopada uznała je za swoje w akcie notarialnym”. A więc początek życia chłopczyka nie wróżył mu dobrze.

Tak więc Guillaume Albert Władimir Alexandre Apollinaire de Kostrowitzky lub inaczej Guglielmo Alberto Władimiro Alessandro Apollinare de Kostrowitzky urodził się 26 sierpnia 1880 roku w Rzymie. Na chrzcie nadano chłopczykowi pięć imion, a nazwisko po matce: Kostrowicki. O ile imię Apolinary nadano chyba na cześć dziadka, to pozostałe cztery imiona mogą być (choć nie muszą) „odsyłaczem” do czterech ówczesnych przyjaciół jego matki, każdy z których mógł być jego ojcem. Przepuszczalnie sama matka nie wiedziała, któremu z czterech kochanek zawdzięczała syna.

W życiu późniejszym Wilhelm Kostrowicki miał się wielu zawodów: nauczyciela, urzędnika bankowego, dziennikarza, eseisty, krytyka sztuki, tłumacza, wydawcy. Lecz wielką sławę zdobył jako poeta, a częściowo też jako malarz. Był prekursorem nowych kierunków w poezji i malarstwie XX wieku, znalazł wielu naśladowców w kilkunastu krajach Europy; potrafił łączyć w jedną harmonijną całość formy literackie z kształtami malarskimi. Od wielu dziesięcioleci uchodzi za jednego z najwybitniejszych artystów europejskich skłonnych do nowatorstw w wieku XX, choć przecież cała jego twórczość literacka mieści się bez reszty w jednym tomie.

Oczywiście, sztuka Apollinaire’a ma charakter dysharmonijny, dekadenski, naznaczony chorobą, jest lubiana w środowiskach przeważnie „zwyrodniałych” z punktu widzenia genetyki, „złych” z punktu widzenia etyki i „satanistycznych” z punktu widzenia teologii. Choroba, zło i szatan są pojęciami identycznymi, ale pochodzącymi z różnych punktów widzenia. W twórczości Apollinaire’a niewiele jest „zdrowia” i mądrości, wszelako talentu odmówić mu nie sposób, jak też zresztą swoistej spostrzegawczości psychologicznej i życiowej. W eseju o kubistach poeta zauważał: „Wszyscy ludzie, wszystkie istoty, które otarły się o nas, pozostawiają ślady w naszym wspomnieniu, a te ślady życia posiadają rzeczywistość, której szczegóły możemy badać i kopiować. Wszystkie one, razem wzięte, osiągają w ten sposób osobowość, której indywidualny charakter da się ująć plastycznie drogą czysto intelektualnego zabiegu”.

Ojciec przyszłego poety pozostaje do dziś nieznanym, choć niektórzy twierdzą, że mógł nim być szwajcarski arystokrata Francesco Flugi d’Aspermont, z którym (ale przecież nie tylko z nim) uprawiała seks siedemnastoletnia wówczas Aniela Kostrowicka, córka Apollinarnego, papieskiego Szambelana Szpady i Płaszca, byłego kapitana wojsk rosyjskich, który osiedlił się w Paryżu, a córkę, właśnie Anielę, oddał na wychowanie siostrze Sacre Coeur, pokładając wiele nadziei w ich surowości obyczajów i starannym chowaniu młodzieży.



Niestety, nie powiodło się; dziewczyna, gdy przyszedł na nią czas, uciekła ze szkoły, porzuciła dom rodzicielski i odtąd prowadziła życie światowej awanturnicy, nie krępującej siebie żadnymi prawie normami etyki czy zdrowego rozsądku. Była kobietą pobudliwą, krnąbrną, despotyczną, władczą, gwałtowną i nieobliczalną, a przy tym rozmiłowaną w napojach wysokokowych i w swobodzie erotycznej. Takie panie najczęściej nie pozostawiają potomstwa, ale niekiedy rodzą im się wielcy geniusze lub... degeneraci, zbrodniarze i samobójcy.

Wypada zaznaczyć, że w tej linii Kostrowickich, z której pochodził poeta, od dawna działa się nie najlepiej pod względem zdrowia psychicznego. Jego dziadek, Apolinary Kostrowicki, był człowiekiem niespokojnym, wybuchowym, dziwacznym. W jednym z urzędowych podań jego żony do władz miasta Wilna czytamy: „Mąż mój czasami nie jest przy zdrowych zmysłach, całą swoją rentę wydaje na budowę domów, nie ukończywszy jednego buduje inny i zajmuje się różnymi pustymi fantazjami”. Z kolei mąż zarzucał żonie niezbyt cnotliwe zachowanie.

W 1865 roku nieletnia Aniela, matka poety, była świadkiem tego gorszącego skandalu między rodzicami. Żoną Apolinarego Kostrowickiego była Julia Floriani, mieszkanka Wilna o domieszce krwi włoskiej, jak świadczy nazwisko. Może ta „fuzja” nie była zbyt bezpieczna z punktu widzenia genetyki, homeostaza biologiczna i psychologiczna została zachwiana i zao-wocowała brakiem równowagi u potomstwa, powodując zjawienie się takiej anomalii, jak genialny poeta Apollinaire.

Jeśli zaś chodzi o sam ród panów Kostrowickich, to była to stara i zacna rodzina szlachecka, używająca od wieków herbu „Bajbuza”. W źródłach archiwalnych da się odnaleźć liczne wzmianki o poszczególnych reprezentantach tej rodziny. Tak rękopiśmienny „Wywód urodzonych Kostrowickich herbu «Bajbuza»” z 1799 roku stwierdza, iż „Dom Kostrowickich jeszcze przed unią Litwy z Polską na Białej Rusi, a mianowicie w Województwie Mścistawskim rozkrzewiony, najpierw przez Jana Kostrowickiego w powiat lidzki przeniósł się, gdzie klucz Dzirwiański prawem zastawnym od xięcia Krzysztofa Korybuta Wiszniowieckiego, aż do roku 1662 jako szlachetnie urodzony obywatel posiadał. Pośledniey Samuel y Gabryel Kostrowiccy, synowie Jana, tenże klucz Dzirwiański od wzmienionego xięcia Wiszniowieckiego dziedzictwem nabyli (1668)... Gabryel, gdy bezpotomnie umarł, Samuel zostawił dwóch synów Wacława y Michała. Wacław część swoją synowi Samuelowi, a Mi-

chał dwom synom swoim Józefowi y Waleryanowi własną schedę majątku zostawili [...]”.

Do klucza Dzirwiańskiego wchodziły wsie Dzirwa, Myto, Możejkowa Papiernia i Kowale. „Samuel, łowczy y pisarz grodzki lidzki, syn Wacława, odbywszy chwalebnie y dość wiele publicznych funkcji, umarł zostawivszy imienia y majątku swojego sukcesorami wywodzących się dopiero Kazimierza, szambelana byłego dworu polskiego, y Ignacego, generał-adjutanta byłych Wojsk Polskich, kawalera Orderu Świętego Stanisława [...] Na fundamencie przeto złożonych dowodów [...] my, marszałek gubernijski y deputaci powiatowi, [...] familię urodzonych Kostrowickich, jako to: wywodzących się urodzonych: Kazimierza, szambelana bywszego Dworu Polskiego, z synami Hieronimem, Thomaszem y Romualdem z possessyi Możejkowa; Ignacego, generał-adjutanta y kawalera Orderu Świętego Stanisława z synem Samuelem, z possessyi Papiernia y Kowalów [...] za rodowitą y starożytną szlachtę polską ogłaszamy y onych do księgi Szlachty Guberni Litewskiej pierwszej klasy zapisujemy” (Centralne Państwowe Archiwum Historyczne Litwy w Wilnie, f. 391, z. 1, nr 948, s. 367-370).

Obszerne materiały do dziejów rodu Kostrowickich herbu „Wąż” (czyli „Bajbuza”) znajdują się w zbiorach Narodowego Archiwum Historycznego Białorusi w Mińsku (f. 319, z. 2, nr 1515, s. 1-275). Zawierają one m.in. całą (12 pokoleń) genealogię tego znakomitego rodu, od Iwana Kostrowickiego zaczynając, na Karolu, Teodozjum, Edwardzie, Tomaszu, Erazmie, Apolinarym Wincencie, Ludwiku, Dominiku, Aleksandrze, Michale Ignacym, Benedykcie i jeszcze jednym Karolu kończąc, w sumie 74 osoby.

„Wywód familii urodzonych Kostrowickich herbu Bajbuza” z 7 maja 1801 roku, podaje, że „przerzeczona familia urodzonych Kostrowickich przed unią jeszcze Litwy z Koroną Polską za udzielnych xiążąt ruskich, a szczególnie za Juryi Lingwienowicza y Iwana Juryewicza kniaziów mścistawskich prerogatywami szlacheckiemu stanowi właściwemi zaszczycając się, dobra ziemskie przez nadania od tychże xiążąt, urzęda cywilne, jako też rangi wojskowe posiadała. A nayprzód Iwan Kostrowicki, dziędzic na Stechowie alias Kostrowiczach w województwie Mścistawskim położonych za pierwszego protoplastę na linii do wyvodu przez żyjących y teraz wywodzących się Kostrowickich wzięty, był podskarbisem Xięstwa Mścistawskiego y sptodził syna Teodora. Z Teodora dochodzi syn Jaków, który zostawił synów trzech: Protasa, Małafieja y Bohdana.

Z tych Protas, dziedzic majątności Rudodyma zwany w województwie Mścistawskim leżący, dworzanin Jego Królewskiej Mości y podstarosta sądowy mścistawski, syna Illego, Małofiey zaś Jakowa, dziedzica na Stechowie, a ten syna Wasila splotdzili.

Następnie Wasil, dziedzic Stechowa, sekretarz Jego Królewskiej Mości, z Reginą Zambrzycką splotdził synów sześciu: Stefana, sędziego kapturowego mińskiego y skarbnika mścistawskiego; Kazimierza; Daniela, miecznego powiatu lidzkiego; Pawła, stolnika starodubowskiego; Jana, skarbnika mścistawskiego y dworzanina Jego Królewskiej Mości, oraz Theodora.

Z Jana Wasilewicza za przywilejem króla Jana 3-go pod datą roku 1661, Oktobra 10 dnia, skarbnika mścistawskiego, pochodzą synowie: Samuel, Gabryel y Konstanty [...]. Zaś Stefan Wasilewicz Kostrowicki, skarbnik mścistawski, sędzia kapturowy miński y dworzanin Jego Królewskiej Mości, miał synów dwóch: Jerzego y Jana Rafała binominis [...] 1675 [...], którzy posiadali majątność dziedziczną Nowosiołki zwaną w powiecie nowogrodzkim. Jerzy Stefanowicz, czesznik rzczycki, zostawił synów trzech: Ignacego, Dominika u Stefana [...] Z Ignacego Jerzewicza Kostrowickiego pochodzą trzy synowie: Józef, podczasy mścistawski, sędzia grodzki miński; Samuel y Kazimierz, possesorowie majątności Tarapowa [...].”

W 1801 roku na podstawie licznych przedłożonych dokumentów Michał Kostrowicki, podwojewodzi połocki, z synami Kajetanem i Adamem, jak również Samuel, Józef, Wincenty, Jan, Onufry, Jerzy, August, Antoni, Mikołaj oraz dwuimienny Michał Franciszek Kostrowiccy uznani zostali przez deputację wywodową Guberni Litewskiej w Wilnie „za rodowitą y starożytną szlachtę polską” i wpisani do Ksiąg Szlacheckich klasy pierwszej teje guberni (CPAH Litwy w Wilnie, f. 391, z.1, nr 991,s.110-114).

Dorota Kostrowicka i jej mąż Władysław Paszkowski trafili do ksiąg sądowych Trybunału Głównego Litewskiego w październiku 1653 roku dlatego, że nie chcieli zwrócić 2 405 złotych długu żeńskiemu klasztorowi Świętej Trójcy w Mińsku („Akty izdawajemyje Wilenskoju Archeograficzskoju Komissijeju”, t. 15, s. 45). W 1658 roku pisarz wileński Mikołaj Kostrowicki jeździł z okupowanego Wilna do cara moskiewskiego „dla czolobicia” przed Aleksym Michajłowiczem o swych potrzebach („Akty istoriczeskije”..., t. 4, s. 262). Kazimierz Kostrowicki jest wymieniany w liście mieszczanina mohylewskiego Sofronowicza z nie-



Herb rodu Kostrowickich „Wąż”

woli moskiewskiej do swej żony, przebywającej w Mohylewie, w lutym 1661 roku („Akty izdawajemyje Wilenskoju Archeograficzskoju Komissijeju”, t. 34, s. 197). Jan Kostrowicki, rajca wileński, około roku 1663 posiadał w Wilnie kamienicę w pobliżu kościoła św. Kazimierza („Akty izdawajemyje”..., t. 20, s. 362). W tymże czasie w Wilnie mieszkali Kazimierz, Grzegorz i Paweł Kostrowiccy.

Księgi magistratu wileńskiego z kwietnia 1666 roku wzmiankują o kilku członkach rodziny Kostrowickich: o Stefanie, skarbniku mińskim; Danielu, mieczniku lidzkim; ich ojcu Janie oraz nieletnim bracie Samuelu („Akty izdawajemyje”..., t. 9, s. 200-202). W 1672 roku figuruje w tychże księgach Anna Kostrowicka, „generosa domina” (tamże, s. 219). Grzegorz Kostrowicki był burmistrzem rocznym m. Pińska w roku 1673 (tamże, t. 29, s. 37). Stefan z Kostrowicz Kostrowicki, skarbnik mścistawski, Jan Rafał z Kostrowicz Kostrowicki, strażnik mścistawski, jak też Gabryel z Kostrowicz Kostrowicki w 1674 roku od województwa mińskiego podpisali sufragację króla Jana III Sobieskiego („Volumina Legum”, t. 5, s. 163). W tymże czasie wspomniany jest w źródłach pisanych Kazimierz Kostrowicki, szlachcic powiatu wileńskiego („Akty izdawajemyje”..., t. 8, s. 525).

Zapis w księgach Głównego Trybunału Litewskiego z 22 grudnia 1685 roku głosi, że jegomość pan Jan

Rafał z Kostrowicz Kostrowicki, pisarz grodzki miński, gdy będąc deputatem sądowym na sądach głównych trybunalskich zostawał, wielbny ojciec Andrzej Fastowicz, prezbiter cerkwi z Przylepów „z synami swemi y wielu pomocnikami żołnierskim sposobem z dnia 11 na 12 gwałtownym sposobem na sioło Kostrowickiego, nazwane Słoboda Jezierzyska, do majątności nazwanej Wołmie, w w-wie Mińskim, najechawszy, poddanego Jana Obmetkę związaawszy wzięli i do więzienia swego wsadzili”. Co więcej, „czynili pofałki” na zdrowie samego pana... Za co też zbyt kapłan dziarski skazany został na spłacenie Kostrowickiemu 520 kop groszy litewskich i na wygnanie z Przylepów („Akty izdawajemyje”..., t. 15, s. 476-478). „Szlachetny pan Grzegorz Kostrowicki, burmistrz wileński” wzmiankowany jest w maju 1685 roku przez księgi magistratowe (tamże, t. 9, s. 258). „Stephan Kostrowicki, chorąży Derbski”, podpisał 6 marca 1698 instrukcję szlachty w-wa Wileńskiego na sejm *pacificationis* (tamże, t. 8, s. 345).

W marcu 1703 roku Trybunał Główny Wielkiego Księstwa Litewskiego roztrząsał sprawę między Mikołajem Dowojną i Eleonorą Kostrowicką Dowojną z jednej strony, a Żydami mińskiego kahału z drugiej. Chodziło o zwrot dwustu talarów bitych, które Żydzi pożyczyci od swych szlacheckich partnerów, ale za nic na świecie nie chcieli długu spłacić mimo dwukrotnego wyroku sądowego, nakazującego im to uczynić i – po drodze – skazującego ich na śmierć. Państwo Dowojnowie, stolnikowie troccy, otrzymali tym razem prawo „na łapanie y na gardło karanie” swych dłużników. Lecz, oczywiście, nie leżało to w ich mocy, gdyż wówczas już żydostwo panoszyło się bezkarnie w Rzeczypospolitej, dominując bezkonkurencyjnie w sferze finansów (tamże, t. 39, s. 303-305).

Eleonora Kostrowicka Dowojnowa, stolnikowa trocka, właścicielka wsi Bieliczany w w-wie mińskim, odnotowana w roku 1718, jej ojciec Antoni z Kostrowicz Kostrowicki, wójt miński (tamże, t. 11, s. 405). Około roku 1720 Kostrowiccy dzierżawili dobra Wolna w w-wie Mińska własność Karoliny Ludwicy Radziwiłłówny, księżny reńskiej. W roku 1732 akta Głównego Trybunału Litewskiego wspominają o Rafale Kostrowickim, podsędku w-wa mińskiego, oraz o jego synie Antonim, podstolim mińskim. Michał Kostrowicki, cześnik w-wa mińskiego, w 1740 roku podpisał uchwałę brzeskiego sejmiku szlacheckiego („Akty izdawajemyje”..., t. 4, s. 535). Michał Ignacy i Samuel z Kostrowicz Kostrowiccy w 1740 roku sprzedali majątność Siemaszkowszczyznę w powiecie lidzkim Da-

nielowi Szyszce („Akty izdawajemyje”..., t. 20, s. 549). Stanisław Kostrowicki, skarbnik powiatu rzeczywistego, podpisał w 1764 roku od w-wa mińskiego elekcję króla Stanisława Augusta Poniatowskiego („Volumina Legum”, t. 7, s. 131). Kostrowicki, pisarz grodzki lidzki, w 1766 roku na mocy uchwały Komisji Skarbowej Wielkiego Księstwa Litewskiego mianowany został na pełnomocnika do uregulowania długów kahału żydowskiego m. Wilna.

Onufry Kostrowicki około 1787/89 pełnił funkcję szambelana królewskiego przy dworze Stanisława Augusta Poniatowskiego i niejednokrotnie z poruczenia monarchy zajmował się sprawami finansowymi Uniwersytetu Wileńskiego, o którego rozwój król dbał pieczołowicie (Dział rękopisów Biblioteki Uniwersytetu Wileńskiego, DC-26, s. 14-27). Andrzej Kostrowicki, rotmistrz powiatu lidzkiego, 1788. „Spis szlachty powiatu dziśnieńskiego z 1796 roku” wymienia imię Michała Kostrowickiego, podwojewodzkiego połockiego, właściciela majątku Doroszkowicze, żonatego z Chrapowicką, mieszkającego w Orlanach na Litwie (Narodowe Archiwum Historyczne Białorusi w Mińsku, f. 319, z. 1, nr 5, s. 33).

Na „Liście szlachty powiatu wileńskiego, mających prawo wybierać i być obranymi na urząd” z 1809 roku figurują Michał i Kajetan Kostrowiccy. Samuel Kostrowicki, księgowy i archiwista Dyrekcji Skarbu W. Ks. Litewskiego w departamencie mińskim, urzędnik pronapoleońskiej administracji polskiej w 1812 roku. Michał Kostrowicki był latem 1812 roku urzędnikiem polskiej, ustanowionej przez Napoleona, policji w Mińsku („Akty izdawajemyje”..., t. 37, s. 258). Jak stwierdzał 2 marca 1832 roku w piśmie oficjalnym marszałek powiatu wileńskiego, jeszcze w 1801 roku „Michałowi Kostrowickiemu rodowitość szlachecka przyznana została”. Ale rząd carski co kilka lat kazał przetrząsać księgi genealogiczne zabranych ziem polskich, litewskich i białoruskich, by coraz to więcej odsiewać z nich rodowitych rycerzy do upośledzonego i pozbawionego praw politycznych stanu kmieckiego.

Od początku 1831 roku pod tajnym nadzorem policji za udział w Powstaniu Listopadowym znajdował się w ciągu kilkunastu lat ziemianin powiatu mińskiego Karol Kostrowicki. Był żonaty, miał dzieci, gospodarował we własnym majątku Pruty i – jak odnotowano również w dokumencie policyjnym z 1840 roku – „zachował się dobrze” (CPAH Litwy w Wilnie, f. 378, z. 1840, nr 174, s. 13). Inny z rodziny, Adam Kostrowicki, gospodarował w majątku Dorozki, miał trzech

synów i dwie córki. Za udział w powstaniu także od 1832 r. był pod nadzorem policji (tamże, s. 18).

Ziemianin powiatu lidzkiego Samuel Kostrowicki – z synem Lucjanem, córkami Melanią i Julią – uzyskał w 1840 roku, po siedmiu latach starań, zezwolenie na wyjazd na kurację do Niemiec i Włoch na okres jednego roku. (CPAH Litwy w Wilnie, f. 378, z. 41, nr 1942, rok 1833). Dokument tajnej policji opisywał ich powierzchowność: „*Cechy szczególne Samuela Kostrowickiego: Lat 58. Wzrost średni. Twarz podługowata. Nos mały. Oczy piwne. Włosy siwe. Lucjana Kostrowickiego: Lat 31. Wzrost wysoki. Twarz pociągła, śniada. Nos mały, podługowaty. Oczy błękitne. Włosy czarne. Melanii Kostrowickiej: Lat 26. Wzrost średni. Twarz okrągła. Nos mały. Oczy kare. Włosy czarne. Julii Kostrowickiej: Lat 23. Wzrost średni. Twarz podługowata. Nos umiarkowany. Oczy piwne. Włosy czarne*”. Latem 1841 roku Samuel Kostrowicki prosił rząd Rosji o przedłużenie o pół roku jego z córkami pobytu za granicą (syn wrócił do imperium), ze względów zdrowotnych. Uzyskał to zezwolenie, a później przedłużono im pobyt o dalsze pięć lat. W 1847 roku prolongowano ten „urlop” jeszcze o rok, zaznaczając, że zachowanie się pana Samuela Kostrowickiego pod względem politycznym i wszelkim innym jest nienaganne.

Latem 1854 roku rząd rosyjski wydał nakaz powrotu Samuela Kostrowickiego do Rosji w ciągu sześciu miesięcy, o ile znajduje się w Europie, lub 18 miesięcy, o ile jest w innej części świata. A jego dobra Papiernia przejęto pod opiekę rządową, przy czym wszystkie dochody aż do powrotu gospodarza (którego odtąd uważano urzędowo za „*zaginionego*”) miano przelewać na konto państwa. Gdyby miał przed ustaloną datą nie wrócić, całe mienie zostałoby skonfiskowane. S. Kostrowicki usprawiedliwiał się w dalszej korespondencji z urzędami, że jedynym powodem jego absencji w Cesarstwie Rosyjskim jest ciężka choroba. Przebywał w Austrii. Radca ambasady rosyjskiej w Wiedniu książę A. Wołkonskij – jak wynika z zapisów archiwalnych – życzliwie traktował sędziwego szlachcica polskiego. Jeszcze w 1858 roku uzyskał S. Kostrowicki prawo pobytu za granicą na dalsze cztery lata (CPAH Litwy w Wilnie, f. 378, z. 1840, nr 585, s. 1-146).

W Centralnym Państwowym Archiwum Historycznym Litwy (f. 391, z. 10, nr 199) znajduje się sporządzona w języku rosyjskim „Genealogia rodu szlacheckich Kostrowickich herbu Bajbuza” („Rodostwójnaja roda błagorodnych Kostrowickich s kratkim opi-

saniem samich dokumentów”). W dokumencie czytamy:

„1. *Jan Rafał syn Stefana Kostrowicki, jako rzeczywisty szlachcic, że władał na prawie własności rodowym majątkiem Wołpy z chłopami i był mińskim podsędkiem, potwierdzono 3 stycznia 1675 roku testamentem ojca jego Stefana i 20 lutego 1691 roku przywilejem Króla Polskiego Jana III na urząd podsędka.*

2. *Antoni, że pochodził od ojca swego Jana Rafała, władał majątkiem rodowym Wołpy z poddanyimi i był mińskim podstolim, dowiedziono:*

a) *umową pieniężną z 17 października 1701 roku o majątku Wołpy między Antonim a Marcinem Kostrowickimi;*

b) *z 20 marca 1699 r. reskryptem Króla Polskiego Augusta II na urząd podsędka mińskiego Antoniemu darowanym.*

3. *Walerian, że pochodzi od ojca swego Antoniego, udowodniono kwitem umowy z 22 marca 1747 r. danym Marianną Kostrowicką swym synom, w tym też i Walerianowi.*

4. *Mikołaj, że pochodzi od ojca swego Waleriana, dowodzi tego testament Waleriana Kostrowickiego z 14 czerwca 1786 r., w którym on zapisał swój majątek na korzyść syna Mikołaja.*

5. *Ignacy, że pochodzi od ojca swego Mikołaja, dowodzi metryką chrztu z 29 lipca 1815 roku, zapisana i potwierdzona przez Wileńską Konsystorię Duchowną”.*

Ukazem Heroldii od 7 maja 1834 roku Kostrowiccy wniesieni zostali do szóstej części szlacheckich ksiąg genealogicznych.

W tejsze tece na innym arkuszu (s. 30-31) są dane dotyczące kilku innych członków tejsze rodziny:

„3) *Stefan, że pochodził od ojca swego Antoniego i był miecznym mińskim [...]*

4) *Michał, że pochodził od ojca swego Stefana i był kamerherem Króla Polskiego, dowodzi przywilejem Króla Polskiego Stanisława Augusta z 2 grudnia 1783 r. [...]*

5) *Kajetan, że pochodzi od ojca swego Michała i władał majątkiem rodowym Doroszkowicze w powiecie dziśnieńskim, dowiedziono testamentem z 1 lipca 1780 r., według którego Stefan Kostrowicki zapisywał majątek Doroszkowicze i Horki synom i wnukom swym.*

6) *Michał Ignacy, że pochodzi od ojca swego Kajetana, dowiedziono metryką chrztu jego z 30 kwietnia 1817 roku, potwierdzoną przez wileńską rzymsko-katolicką konsystorię...”.*

I wreszcie jeszcze jedna gałąź (s. 7) rodu Kostrowickich, zarejestrowana przez Heroldię Grodzieńską, wygląda następująco:

„1. *Samuel: Że Samuel pochodzi od Wacława...*

2. *Ignacy, że pochodzi od ojca Samuela dowodzą dokument z 6 października 1786 r. lidzkiego sądu ziemskiego [...] oraz patent Króla Polskiego Stanisława Augusta na order św. Stanisława generałowi wojsk litewskich Ignacemu Kostrowickiemu.*

3. *Samuel Franciszek Józef, o pochodzeniu jego od ojca Ignacego świadczy metryka o jego urodzeniu i chrzcie od 16 czerwca 1784 r.”*

Kostrowiccy od XVII wieku dziedziczyli na Wołpie, Kowalach, Papierni, Kościeniewie, Grzybianach, Ornianach, Perepczycach, Doroszkowiczach, Skrybowcach, Możejkach, Ostrowcu, Norkach. Spokrewnieni byli z Bykowskimi, Kirkorami, Chrapowickimi, Pagowskimi, Jelskimi, Snarskimi, Kieniewiczami, Łopacińskimi, Zajączkowskimi, Siekluckimi, Lenkiewiczami, Garbowskimi, Balińskimi, Hornowskimi, Römerami, Scheltingami. W niepodległej Rzeczypospolitej piastowali nieraz wysokie urzędy. Na przełomie XVIII-XIX w. figuruje w zapisach archiwalnych Hieronim Kostrowicki żonaty z Julią Szwykowską, właściciel Ostrowca.

„Rodosłownaja Roda błagorodnych Kostrowickich gierba Bajbuza” z 1844 roku wskazuje, że Samuel Franciszek Józef (syn Ignacego) Kostrowicki (lat 60) miał w tym czasie syna Lucjana (34 lata), córkę Melanię (28 lat) i Julię (24 lata). Był właścicielem dóbr Papiernia (358 mężczyzn i 360 kobiet) oraz Koscieniewo (211 mężczyzn i 208 kobiet) (CPAH Litwy w Wilnie, f. 391, z. 10. nr 199).

Jak wynika z przekazów archiwalnych, kilka gałęzi rodu Kostrowickich dotkliwie ucierpiało na skutek represji władz rosyjskich po 1863 roku, kiedy to za wzięcie udziału w Powstaniu Styczniowym wielu z nich trafiło na Sybir, a inni musieli salwować się ucieczką do Europy (CPAH Litwy w Wilnie, f. 391, z. 9, nr 129, s. 28 oraz f. 391, z. 4, nr 1476). Rodową majątność Apolinarego Kostrowickiego Doroszkowicze władze rosyjskie też skonfiskowały w 1864 roku za udział członków rodziny w Powstaniu Styczniowym. „Przedmieście Antokol-letnisko nr 1507” – pod takim adresem w latach 1861-1865 mieszkał „radny pierwszej klasy” emeryt Apolinary Kostrowicki wraz z żoną i nieletnią córką. Niebawem zresztą rodzina faktycznie się rozpadła, działa się w niej bardzo źle...

Warto w tym miejscu zaznaczyć, że z rodu Kostrowickich wywodził się popularny w swoim czasie literat białoruski, piszący pod pseudonimem Kastuś Kahaniec, znany na przełomie XIX-XX w., dziwak i oryginał; chadzał we dnie po Mińsku z zapaloną lampą i, jak Diogenes z Synopy, wołał „Szukam człowieka!”. Pisał i mówił wyłącznie w języku białoruskim, ubierał się z ludowa w wyszywane chłopskie koszule, łapcie, kozuchy i siermięgi, budząc w ten sposób konsternację środowiska szlacheckiego, do którego z urodzenia należał.

Powracając do Włoch przypomnijmy, że Wilhelm Kostrowicki spędził pierwsze pięć lat życia z matką i bratem w Rzymie i Bolonii. Gdzieś między 1885 a 1887 rokiem pani Aniela z potomstwem przeniosła się do Księstwa Monako; większość czasu spędzała w kasynach gry, a chłopcy, pozostawieni sobie, uczęszczali do szkoły. Choć uczyli się dobrze, bo byli bardzo zdolni, w końcu brak oka rodzicielskiego i systematyczności w wychowaniu sprawił, że matura w 1897 roku zostaje (w Nicei) „oblana”.

Młody człowiek bardzo cierpiał z powodu wciąż na nowo załamującego się życia. Ale z tego cierpienia powoli rodził się jego geniusz. *„Każda wielka myśl, każde dzieło sztuki zawdzięcza swoje powstanie niezmiernie pracującemu, wciąż na nowo twórczemu duchowi ludzkości [...]. Artyści i geniusze są niewątpliwie przewodnikami ludzkości i płacą haracz za to zuchwałstwo, płonąc we własnym ogniu, który rozpalili w dzieciństwie. «Cierpiałem – i tak zostałem poetą». Nasze lepsze patrzenie, lepsze spostrzeganie barw, kształtów, linii zawdzięczamy malarzom. Lepsze słyszenie, a tym samym subtelniejszą modulację organu mowy, zdobyliśmy od muzyków. Poeci nauczyli nas myślenia, mówienia, czucia. Artysta sam, najczęściej gwałtownie podniecany we wczesnym dzieciństwie, dźwigając wszelkie ciężary: ubóstwa, upośledzenia wzroku i słuchu, przeważnie jednostronnie rozpieszczony, wyrzywa się w najwcześniejszym dzieciństwie ze swego ostrego poczucia niższości i z wściekłą ambicją zмага się ze zbyt ciasną rzeczywistością, by ją rozszerzyć dla siebie i drugich – chorąży ewolucji szukającej postępu poprzez trudności, która wynosi daleko, ponad przeciętny poziom dziecko wyznaczone przez los. U tego dziecka cierpienia pozostają w odpowiedniej proporcji i stosunku do uzyskania ambitnego celu”* (A. Adler, „Sens życia”).

Przez kilka lat Wilhelm był na utrzymaniu matki, a ta na utrzymaniu kolejnych swych „przyjaciół”. W 1897 roku rodzina – jeśli to była rodzina – przenosi się do Paryża, następnie do Belgii, potem znów do Paryża. Nie służyło to niespokojne życie dobrze młodemu talentowi, który już dobiegał dwudziestki. Wreszcie w 1900 roku matka oświadczyła synowi, że musi zacząć utrzymywać się sam na powierzchni życia, bo ją już na pomoc nie stać. Młody człowiek uczył się więc stenografii, był sekretarzem pośrednika giełdowego, pracował w charakterze „murzyna” literackiego. W końcu wyjechał (1902 r.) na jakiś czas do Niemiec. I wciąż poszukiwał swego miejsca i swej roli w życiu... W końcu zaczął pisywać wiersze. I okazało się, że jest w tej dziedzinie geniuszem, wynalazcą m.in. kaligramów, czyli wierszy-obrazków...

Poezję Apollinaire’a cechuje niezwykła obrazowość, jak np. w wierszu „**Odjazd**”.

*I twarze ich były bezkrwiste
I płacz ich nagle ustał*

*Jak śniegu płaty przezczyste
Jak ręce twe na moje usta
Padaty jesienne liście.*

(Przełożył Stanisław Brucz)

A oto jak prezentuje się 18 wierszy ze „Zwierzynca” Apollinaire’a w tłumaczeniu Allana Koski:

Orfeusz

*Podziwiającie władzę, moc jedyną,
Podziwiającie i szlachetność linii:
Ona jest właśnie głosem, który światło wydaje,
O tym zaś Trismegistos w tajnych księgach baje.*

Karp

*Karpie, co w głębi wód życie
Najdłużej – bywa i stulecie,
Wj, ryby Smętku, zaszyte w trzcinach,
Czy to śmierć o was zapomina?*

Koń

*Sny twarde, mój Pegazie, okiełznać Cię potrafią,
A Los, woźnica lotny, złoty wóz popędzi,*

*Za cugle zaś postużą, sprzężone jak harfa,
Wiersze moje – wzór wieczny wszelakiej poezji.*

Koza

*Ni runo kozy Tybetańskiej
ni Złote Runo – Jazon po nie
Za morza ruszył – nie są warte
Złocistych loków mej kochanki.*

Zajac

*Lubieżny nie bądź ani zastrachany
Jak zajac bywa, albo zakochany.
Niech zawsze płodny będzie mózg twój,
kiedy tworzy
Jak samiczka, co kotna, a w ciężę zachodzi.*

Wąż

*Dręczysz od wieków piękną pleć,
Od twych ukąszeń cierpi dziko:
Byłście jego ofiarami,
Ewo, Kleopatro, Eurydyko!
Mniej słynnych ofiar znam coś pięć.*

Kot

*Chciałbym ja mieć pod dachem własnym
Rozumną a miłą niewiastę,
Kota co wśród ksiąg spaceruje,
Przyjaciół zaś o każdej porze –
I któż się bez nich obejść może?*

Gąsienica

*Więc praca nam bogactwo daje –
Poeci biedni, do roboty!
Tak, snując dzień i noc, powstaje
Cud – z gąsienicy, złoty motyl.*

Słoń

*Jak słoń swe złoto – kość stoniową –
Chowam w mych ustach skarb tajemny.
Purpuro! Płacę sławę moją
Krociami strof, pieśni bezcennych.*

Pchła

*Pchły, jak kochanki ssiacie ciało –
Którzy miłują, są okrutni,
Potrafią krew nam wyssać całą...
Cóż, być kochanym jest najsmutniej.*

Szarańcza

*Patrz! to szarańcza, cienka w pasie,
Jana Chrzciciela pożywienie.
Płyńcie, me wiersze w pełnej krasie
Pokarmem w długie pokolenia.*

Mysz

*O, dni urodne. Czasu myszy,
Drażycie życia mego kwiat!
Kończę dwadzieścia osiem lat,
Marnie przeżytych, Bóg mnie słyszy...*

Meduza

*Meduzy, wy zakłete głowy
O cudnych lokach fioletowych,
Wy miłujecie morskie burze,
Które ja wielbię. A wam służę.*

Lew

*Ty lwie, nieboże, dzielisz dolę
Tych królów, co tragicznie padli!
Dzisiaj się lwiątką rodzą w klatce,
W hamburskim Cyrku, het w Germanii.*

Rak

*Śliczności moje, ach, zwątpienie!
Ty, ja, cofamy się – do skutku,
Tam gdzie zimują raki, one
W tył suną, w tył, a pomalutku.*

Delfin

*Dla was, delfiny, Święto morza!
Fal gorycz bywa przecież smutna.
Niech tylko trysnie radość moja,
A życie snuje nic okrutną.*

Wół

*Skrzydlaty Cherub pieśnią chwali
Rajski ogrojec, gdzie dowoli
Będziemy – jeśli Bóg dozwoli –
Wprost z Aniołami obcowali.*

Syreny

*I skąd, Syreny zwodne, taki żal, gdy nocą
Lament wasz płynie falą w dal, po krańce świata?
Jak ty, o Morze, dyszę, pełen tajnych głosów –
Rozśpiewane okręty, to są moje lata!*

Jest to w oczywisty sposób twórczość nie mająca wiele wspólnego z myśleniem dyskursywnym. Inna rzecz, czy wypada tę okoliczność traktować jako zarzut czy ewentualnie jako zaletę. Nie sposób negocjować, że obrazowość czy „znakowość” tej twórczości bywa fascynująca.

W życiu i w pisarstwie Apollinaire’a nie mało jest dramatyzmu. Jak pisze Józef Dużyk, niepewne pochodzenie Apollinaire’a niejednokrotnie stawało się przyczyną niesłusznych oskarżeń pod jego adresem, jak np. posądzenie o kradzież w Luwrze. Giancarlo Marmorini w swoim artykule wydrukowanym na łamach „I ‘Espresso’” przypomina znamienny fakt, że wlokło się to za nim nawet w czasie służby wojskowej, gdy osiągnął tylko skromny stopień podporucznika piechoty, a wła-

dze wojskowe odmówiły mu kategorycznie medalu, gdy został ranny w czasie wojny.

Osobną „ozdobą” jego życia i odrębnym rozdziałem jest niezbyt skąpa galeria kochanek i wątpliwe szczęście płynące z romansów z Annie Playden, Marie Laurencin, Louise de Coligny-Chatillôn, czyli „Lou”, spotkaną na Lazurowym Wybrzeżu i Madeleine Pagés, Francuzką z Oranu, do której poeta wysłał z linii frontu ponad dwieście listów i poezji, zebranych potem w tomie „Tendre comme le souvenir”. W poślubieniu jej, do czego zmierzał, przeszkodziło ranienie odłamkiem pocisku.

Apollinaire był przyjacielem szeregu znanych malarzy XX wieku, takich jak Pablo Picasso, Juan Gris, Andre Derain, Henri Matisse, Marc Chagall, Celnik Rousseau, Louis Marcousis, Giorgio Chirico, Maurice de Vlaminck, Andre Rouveyre, Amadeo Modigliani. Fama niesie, że ponoć z niektórymi z nich twórca „Kalligrafów” kochał się „inaczej”, co było czymś zwykłym w środowisku ówczesnej bohemy. I wszyscy oni pozostawili mniej lub bardziej interesujące portrety Wilhelma Apolinarego Kostrowickiego.

2 maja 1918 roku w kościele pod wezwaniem Św. Tomasza z Akwinu w Rzymie odbywa się ślub Apollinaire’a z Jacqueline Kolth. Świadkiem ze strony narzeczonej jest Ambroise Vollard, ze strony narzeczonego – Pablo Picasso. Swęj pięknej żonie poeta zadedykował jeden z najlepszych swych wierszy pt. „Prześliczna rudowłosa”.

*Oto ja wobec wszystkich człowiek przy zdrowych
zmysłach
Znający życie i śmierć to co żyjący znać może
Który poznałem cierpienia i radość miłości
Który potrafiłem niekiedy narzucić swoje myśli
Znający wiele języków
Który niemało podróżowałem*

*Ja co widziałem wojnę w Artylerii i Piechocie
Raniony w głowę z czaszką trepanowaną
pod chloroformem
Kiedy straciłem najlepszych przyjaciół
w straszliwej bitwie
Wiem o starym i nowym ile poszczególny człowiek
może o tym wiedzieć
I nie dbając dzisiaj o tę wojnę
Między nami i dla nas przyjaciele moi
Rozstrzygam ten długi spór tradycji
i wymalaczności*

Porządku i Przyrody

*Wy których usta są na podobieństwo ust Boga
Usta które są samym porządkiem
Bądźcie wyrozumiali kiedy nas porównujecie*

Z tym co byli doskonałością porządku

Nas którzy wszędzie wietrzymy przygodę

*Nie jesteśmy waszymi wrogami
Chcemy wam dać rozległe i dziwne dziedziny
Gdzie kwiat tajemniczości prosi chętnych o zerwanie
Są tam nowe ognie kolory nigdy niewidziane
Tysiąc nic nie ważących fantazmów
Którym trzeba nadać realność
Chcemy wykryć dobroć niezmierną krainę
gdzie wszystko milknie*

*Jest również czas który można ściagać albo zawrócić
Litości dla nas walczących zawsze na krańcach
Bezkresu i przyszłości
Litości dla naszych błędów litości dla
naszych grzechów*

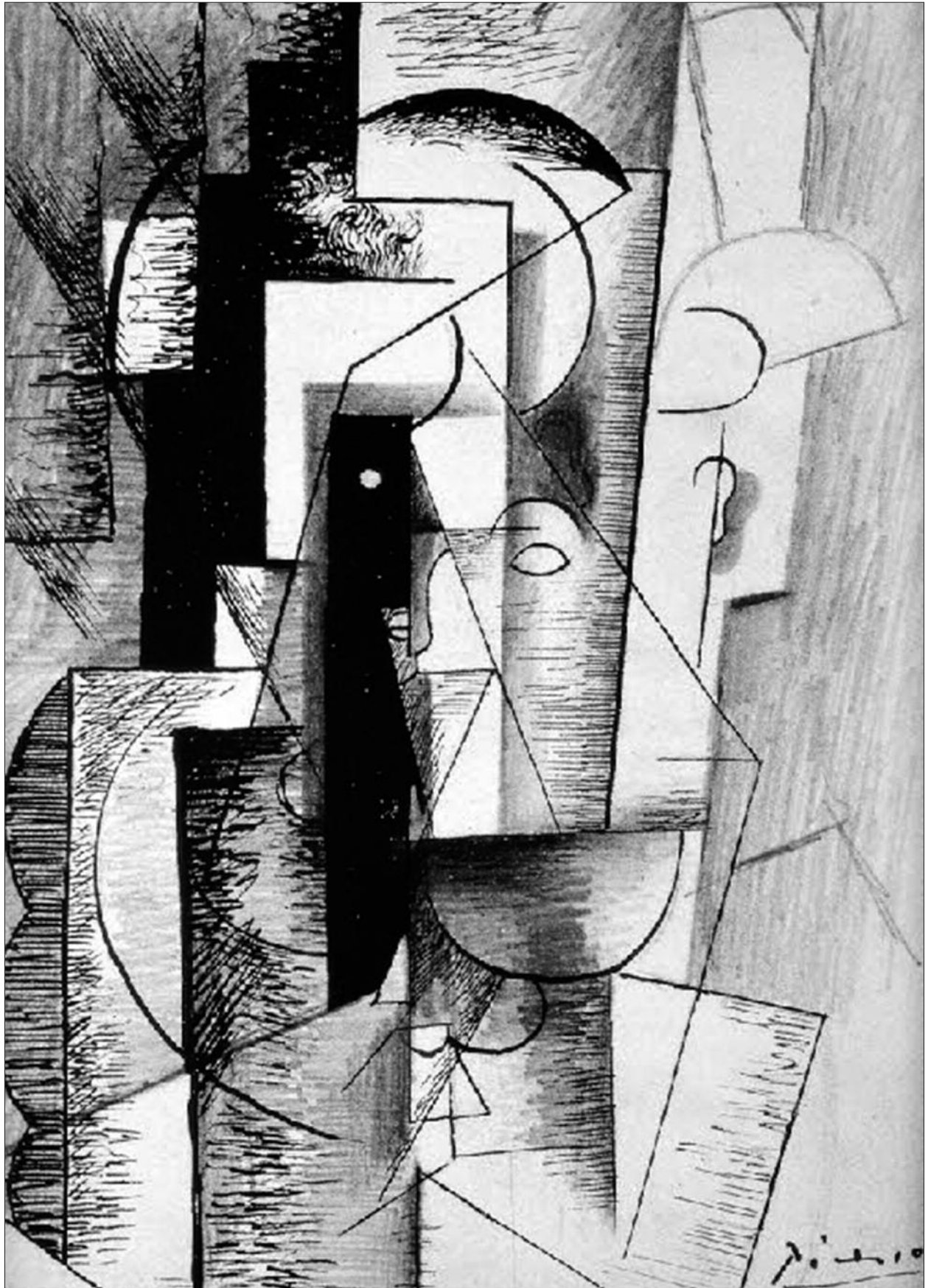
*Oto i lato pora gwałtowna nastala
I młodość moja zgasta jak podmuch wiosenny
O słońce to już zbliża się Rozum płomienny
I czekam
Aż za urodą którą na koniec przybrała
Abym kochał ją miłą i szlachetną pójde
Nadchodzi i z daleka
Przyciąga mnie jak siłą stali magnetycznej
Ma postać prześlicznej
Rudej*

*Jej włosy ze złota tak jasno
Świejące się nigdy nie zgasną
Jak ognie pyszniące się będą
Śród róż herbacianych co więdną*

*Ale śmiećcie się śmiećcie się ze mnie
Ludzie zewsząd ludzie tutejsi
Bo tyle jest rzeczy których wam nie śmiem
powiedzieć
Tyle jest rzeczy których nie dacie mi powiedzieć
Zlitujcie się nade mną.*

(Przetłóżył Adam Ważyk)

Biografowie poety zwracają uwagę na dziwactwa, które cechowały poetę: „...Podobnie jak subtelny smak



Pablo Picasso. Portret Guillaume Apollinaire'a

kulinarny szedł u Apollinaire'a w parze z żartoczością, tak w dziedzinie słownictwa subtelność i precyzja poetycka domagały się dopełnienia w dosadnych formułach, często zaczerpniętych z powiedzeń ludowych, mocnych i nieprzyzwoitych. Skłonność ta znalazła ujście w prozie Apollinaire'a, wyrazistej, żywej, śmiałej zarówno w słownictwie jak i w sytuacjach, zaś obie te tendencje, splatające się ze sobą w niespodziewanych spadkach od lirycznego natchnienia do grubej anegdoty, znalazły swe ukoronowanie w rozmowach poety, w jego «naukach», paradoksalnych i natchnionych na swój sposób... Dla Apollinaire'a każdy temat był dobry, o każdym miał coś do powiedzenia, kiedy brakowało mu materiału, nadrabiał fantazją, która rzadko go zawodziła.

...Apollinaire nie lubił płacić, zwłaszcza za kogoś. Wiecznie w poszukiwaniu pieniędzy, stale bez grosza, nie pożyczął z zasady nikomu i choć nikt nie nazywa go otwarcie skąpym, to jednak przyjaciele doskonale znają tę jego ułomność.

Apollinaire wciąż jest bezdomny. Chciałoby się powiedzieć: chodząc zdobywa sławę, chodząc zawiązuje przyjaźnie, chodząc króluje... Bezdomność tworzy nawyki, których poeta nie porzuci i później, kiedy wreszcie zamieszka u siebie.”

Jak wiadomo zresztą, sposób bycia wielu pisarzy odznaczał się pewną oryginalnością lub „oryginalnością” w cudzysłowie. „*Niemala część literatów – powiada Horacy – nie troszczy się o obcinanie paznokci i brody, szuka samotnych miejsc, unika łaźni*”. Nie było bodaj pisarza bez dziwactw i kaprysów, co zresztą nie stanowi jakiegось wyjątku, gdyż każdy człowiek jest po trosze dziwakiem. Goethe nie znosił samego widoku psów, ludzi w okularach i zapachu czosnku. Kant nie cierpiał ludzi żonatych; jego wierny długoletni służący stracił posadę, skoro wyszło na jaw, że nie jest kawalerem. Balzak – pracując po nocach a śpiąc we dnie – tak zakłócał życie swego otoczenia, że jeden z jego sekretarzy zwariował. E.T.A. Hoffmann, twórca słynnych bajek, pracował w pokoju obitym czarną tapetą, przy lampie, na którą nakładał (w zależności od humoru) raz biały, raz zielony, raz niebieski abażur. Podczas pisania Schiller trzymał nogi w zimnej wodzie, a na biurku miał talerz zgniłych jabłek, których zapach pobudzał jego werwę twórczą. Balzak pracował przeważnie stojąc boso na kamiennej chłodnej jak lód podłodze. Bossuet pracował w zimnym pokoju z głową owiniętą futrem. Ociemniały zaś Milton dyktował swe wielkie poematy leżąc na niskiej sofie ze zwisającą do podłogi głową.

Apollinaire, gdy zasiadał do biurka, wkładał szaroniebieską kamizelkę z metalowymi guzikami, na których było wyobrażenie galery – twierdził, że był to uniform holenderskiej Hanzy, nie objaśniał jednak, dlaczego uważa za stosowne tak się ubierać. Lecz taka „oryginalność” wcale nie jest jeszcze równoznaczna z talentem. Jan Parandowski, znakomity znawca rzeczy i pisarz, zauważa, jak się wydaje, zupełnie słusznie: „*Zdolność wyzwalania się spod tyranii własnych kaprysów cechuje pisarzy płodnych, bujnych, nabrzmiałych substancją twórczą i żądnych rodzenia; uległość zaś, niekiedy niewolnicza, wyróżnia słabe indywidualności, które przyszły na świat ze skromnym ładunkiem idei, uczuć, wizji, i których nie nawiedza furia twórcza – rośliny cieplarniane, wymagające szczególnych starań, by zakwitły. Nie godzi się z nich natrzęsać, albowiem w ich liczbie, oprócz ekscentrycznych próżniaków, są tacy, co nad literaturą zawisli czarującą chwilą”*...

A oto garść dziwactw, które podpatrzyli u mistrzów pióra współcześni i potomni.

Demostenes, wybitny mówca grecki, by nie ulec pokusie wyjścia z domu, gdy oddawał się dłuższej pracy, golił sobie pół głowy. Tak zeszpecony nie mógł pojawić się publicznie, by się nie ośmieszyć. Mallarme nie uważał papieru za jedyny materiał dla poety i pisywał wiersze na bombonierkach, lusterkach, chusteczkach, filiżankach itp. Na biurku Maeterlincka, gdy pisał właśnie „*Życie pszczół*”, stał talerzyk z miodem dla wabienia tych sympatycznych stworzeń. Wiktor Hugo, gdy pewnego razu musiał pilnie skończyć jedno z swych dzieł, ostrzygł sobie pół fryzury i pół brody, po czym wyrzucił nożyce za okno i w ten sposób uwięził się w domu na niezbędnych parę tygodni.

„*Nie wiem, jak się to dzieje, że siostrą talentu jest bieda*”. Zdanie to pochodzi od Petroniusza. Ale nędza zaprzyjaźniła się ze sztuką o wiele wcześniej. Archiloch, Marcjalis, Camoes, Villon, Torquato Tasso, Verlaine, Norwid, Niekrasow, Kondratowicz, A. Grin... Klepiący biedę Villiers de L'Isle-Adam, gdy mu zlicytowano meble, pisał leżąc na podłodze. Któż ich policzy, tych wszystkich klepiących biedę i tworzących arcydzieła pisarzy?

Apollinaire z trudem znosił wahania temperatury powietrza i zmiany pogody, był pod tym względem podobny do Maine'a de Birana, który pisał o sobie: „*Nie rozumiem, dlaczego podczas niepogody czuję, że rozum mój i wola są zupełnie inne aniżeli w pogodne dni*”... Także lord G.G. Byron wyznał kiedyś w liście: „*Tak lękam się chłodu, jak lęka się go gazela*”... Również Na-

oleon Bonaparte mawiał, że człowiek jest produktem otoczenia fizycznego i moralnego. Nie znośił najmniejszego powiewu wiatru. Zasypiał podczas ważnych narad. W jego apartamentach piece palono przez cały rok, podobnie jak w gabinetach Woltera i Buffona. Kompozytor Paisiello, kiedy komponował, nakrywał się sześcioma kołdrami w lecie, a dziewięcioma w zimie.

Apollinaire'a cechowała – jak wszystkich wybitnych ludzi – tytaniczna pracowitość, która umożliwiła mu zarówno przetrwanie w bardzo trudnych czasach, jak i stworzenie szeregu arcydzieł literackich i malarskich. Nie sposób odmówić mu też odwagi, skoro na ochotnika udał się 14 marca 1916 roku do wojska.

W stopniu podporucznika piechoty dotarł na front, na równinę Aisne, wstrząsaną artyleryjskimi wybuchami. W okopach znośił bez skarg trudy żołnierskiego losu, od pcheł po bombardowania nieprzyjacielskie, i co więcej, wesoło wyśpiewywał w wierszach: „*Ach! Jaka piękna jest wojna – ze swoimi pieśniami, ze swoim długim próżnowaniem...*” W trzy dni później, około czwartej po południu, podczas gdy ukrywał się w lasku w okolicach Berry-au-Bac, wspomniany artyleryjski odłamek przebił mu hełm i wbił się w czoło. Ambulans przewiózł go do szpitala polowego. Po powrocie do Paryża miewał często zawroty głowy, drętwienie członków; lekarze zdecydowali się na trepanację czaszki. Klucznicznym sukcesem była operacja, ale oznaki choroby umysłowej stały się wyraźne. „*Jego – jak pisze Marmori – krucha architektura kulturalna skrzypli i chwieje się [...]*”

3 listopada 1918 r. poeta czuł się tak źle, że nie mógł wstać z łóżka. W Paryżu panowała wówczas epidemia grypy zwanej hiszpanką. Dziesiątki tysięcy ludzi

„Trzeba nam teraz wszystkiej energii, zwłaszcza energii polskiej [...] Moja Polska to kraj, który najbardziej ucierpiał od wojny. Gdyby moje poświęcenie mogło go uratować, chętnie bym się poświęcił moim wielkim kanonierskim batem. Jesteśmy najszlachetniejszą i najbardziej nieszczęśliwą, ale i najdzielniejszą rasą świata.”

Guillaume Apollinaire

(napisane w czasie I wojny światowej)

padali jej ofiarą. Apollinaire był jednym z nich. Organizm osłabiony wojną, ciężką operacją, zapaleniem płuc i nadmierną pracą nie miał siły walczyć ze zdradziecką chorobą. 9 listopada 1918 r. – czyli dokładnie przed stu laty – o godzinie piątej po południu Apollinaire umiera. W istocie była to „spóźniona” śmierć od rany otrzymanej podczas wojny.

Zakończmy ten tekst o wielkim poecie francuskim fragmentem eseju również wielkiego artysty Giorgio de Chirico, przyjaciela autora „Kaligrafów”, pt. „Apollinaire”:

„Kiedy ukazuje mi się w pamięci jego numizmatyczny profil, który rysowałem na tle werońskiego nieba w jednym z moich metafizycznych obrazów, myślę o bolesnej melancholii rzymskiego centuriona, skazanego na pokonywanie mostów z łodzi rzuconych wzdłuż zdobytych ziem, daleko od pocieszającego ciepła jego ogniska i od morgów jego zaoranego gruntu.

Ci, co go znali mało, albo i źle, brakoroby psychologii, uważali go za epikurejczyka, zadowolonego smakosza, nadmiernego amatora, który zakosztował z tą samą rozkoszą skomplikowanej demonologii nowego malarstwa, jak i przysmaków z białych truflii włoskiej restauracji Poccardi. Był to natomiast człowiek wymoczony w ciepłej kąpielu uniwersalnej melancholii. Melancholii też znał więcej niż jedną: przede wszystkim tę człowieka bez ojczyzny. Urodził się w Rzymie z polskich rodziców; jako dziecko żył w Monako (księstwo), potem wyrosł duchowo i fizycznie włóczęgą przez parę lat swoje sto kilogramów ciała przez wszystkie miasta starej matki Europy, dopóki nie zatrzymał się w Paryżu, po lewej stronie tej niewzruszonej i mulistej Sekwany, która płynie powoli, przecinając na dwie części republikańską metropolię. Tam żył i pracował aż do dnia śmierci.

Wojna ofiarowała mu spóźnioną radość możliwości mianowania się obywatelem wolnego państwa, noszenia w czeluściach marynarki dowodu narodowości, paszportu, książeczki wojskowej. Dlatego stał się żołnierzem i cierpiał wraz z innymi w okopach Francji oraz został trafiony w głowę pod twierdzami Verdun. Pragnął domowego spokoju, rodziny, domu: nie miał ani domu, ani rodziny, a jego krótkie małżeństwo (ożenił się z pewną chanteuse na parę miesięcy przed śmiercią) było tak smutne, jak jego życie. Poznał też ból więzienia. Kiedy nastąpiła kradzież Giocondy w Luwrze, 11 sierpnia, aresztowano go jako przyjaciela rosyjskiego antykwariusza, którego podejrzewała policja [...]

Był przyjacielem wszystkich tych rzadkich inteligentnych ludzi żyjących na naszym półwyspie; opublikował

prozę i wiersze w «Voce». Kochał Italię, mimo że upierał się zgrywając Francuza, ale to był może psychologiczny przypadek, którego tutaj nie chcę tłumaczyć, lecz na pewno jego miłość do naszej ziemi nie była tą idiotyczną miłością zapalczego Paula Bourget.

Teraz nie ma go więcej. «Guillaume, Guillaume, qu'es-tu devenu?»...

Nie warto myśleć, co byłby zrobił, gdyby jeszcze żył. Tam, gdzie się zatrzymał, już zrobił i kiedy napisze się historię tego niesamowitego artystycznego odrodzenia europejskiego, jego miejsce będzie między najlepszymi.

Przyjaciele malarza o nowych losach, my, którzy kochaliśmy go, będziemy podtrzymywać jego stawę usque ad finem.

To, co on nam dał, od-damy. Hufiec nie jest złamany. [...]

...Lecz dzisiaj z tego miasta rozbrzmiewającego fanfarami, najeżonego flagami na cześć zwycięstwa i epilogu dramatu, moja myśl wijąc się przez stare ulice wydeptane już przez Leonarda czarodzieja i Benvenuto rozbójnika, wraca do mostów multi-stej Sekwany.

Znów widzę, tak jak widzi się w snach, budynek o sześciu piętach, wypatynowany na szaro i wysoko dwa pokoje pod dachem.

Kurtyna opada i obraz o wspaniałej tkliwości sam powstaje w ciszy: między tragiczną niewinnością wylakierowanych płócien celnika-malarza a metafizyczną architekturą niżej podpisanego widzę światło lampy naftowej, fajeczki za dwa grosze, żółte od nikotyny, długą bibliotekę z białego drzewa brzemiennej od tomów, milczących przyjaciele siedzących w cieniu...”

Dr Jan CIECHANOWICZ



Grób poety
na cmentarzu Père Lachaise

WSPOMNIENIA

Autor opowiadania, obejmującego okres tuż przed I wojną światową i jej pierwsze lata, w sposób sugestywny i dojrzały literacko przedstawił swoje wspomnienia i odczucia wiążące się z życiem w Kijowie w czasie studiów uniwersyteckich. Wspomnienia Mieczysława Oleszkiewicza uzyskały wyróżnienie w konkursie Sekcji Wychowanków Politechniki Kijowskiej z 1962 r.

Janusz FUKSA

ZAPOMNIANY KURHAN

*Pośród stepów z dawnych lat
Stoi kurhan Perepiat.
W echa dawnych lepszych dni
Zastuchany kurhan śni –*

*O zamierzchłych latach chwały,
O minionej sławy dniach,
O tym boju, gdzie pod głazem
Legli razem Rus i Lech.*

*Wstań, rycerzu! – trąbka woła,
Znów do boju wzywa cię...
Nie... to tylko wiatr dokoła
Z cichym jękiem skarży się.*

*Pieśń tej skargi w dal ulata
Na złociste łany pól –
Tam, gdzie z kłosów wianki splata
Ukraiński Smutek – król...*

*Pośród stepów z dawnych lat
Stoi kurhan Perepiat...
Płyną wieki, lata, dni –
Zapomniany kurhan śni...*

Przedmowa

Na propozycję Kolegi Stanisława Grzymałowskiego (ówczesnego przewodniczącego Sekcji Wychowanków Politechniki Kijowskiej – *przyp. JF*) napisania wspomnień z okresu pobytu na wyższej uczelni Kijowa – po pewnym wahaniu – zdecydowałem się „coś” napisać. Sądzę, że bodźcem dla mnie było przeświadczenie, że jakiś negatyw życia i perspektywiczne spojrzenie wstecz, aż do lat młodzieńczych, jeżeli nawet nie odmładza ciała, to odmładza ducha i tym samym ułatwia i łagodzi przykry fakt starzenia się. Ale – co napisać? Sądzę, że najprostszym i najłatwiejszym tematem będą króciutkie sprawozdania z różnych zdarzeń i osobistych

przeżyć na tle ówczesnego życia. Postępuję w tym wypadku odwrotnie niż poważny pisarz, którzy wchłania w siebie epokę całą, później przenosi to dla użytku potomności na papier. Ja zrobię odwrotnie; rzucę samego siebie i swoje życie na tło ówczesnego Kijowa. I choć moje najpiękniejsze i najgłębsze przeżycia nie są związane z Kijowem, tym niemniej podczas studiów uniwersyteckich przeżyłem tam sporo dziwnych i niezapomnianych chwil.

Uniwersytet

W roku 1911 wstąpiłem na Uniwersytet Kijowski św. Włodzimierza na Wydział Fizyko-Matematyczny. Gmach Uniwersytetu, a częściowo i życie studenckie były mi już znane na parę lat wcześniej. Ponieważ mój starszy brat już od dwóch lat przebywał na Uniwersytecie, a ja, będąc jeszcze w siódmej klasie gimnazjum, przyjeżdżałem do Kijowa, przebierałem się w ubranie studenckie, brałem legitymację brata i chodziłem na wykłady. Bardzo mi to wówczas imponowało, chociaż miałem trochę i stracha, gdyż wyglądałem wówczas bardzo młodo i profesorowie, kiedy siedziałem w pobliżu katedry, przyglądali mi się podejrzliwie.

Będąc już później prawdziwym studentem i studiując matematykę, chodziłem również i na inne wykłady, które mi z takich czy innych względów odpowiadały lub interesowały. Często bywałem na wykładach prof. Gilarowa (filozofia), który bardzo pięknie i przystępnie opowiadał o różnych systemach filozoficznych, a szczególnie, jeżeli chodziło o logikę filozofii starożytnej, potrafił tak dowcipnie i po mistrzowsku konstruować różnego rodzaju zdania i zarty logiczne oraz znane już w starożytnej Grecji antynomie, że całe audytorium wybuchało co chwila kaskadą śmiechu. Czasami na ustach prof. Gilarowa błąkał się zagadkowy uśmiech – ni to sceptyczny, ni to ironiczny – wyglądało to tak, jakby sam on nie bardzo wierzył w to, co mówił.

Bywałem również na wykładach prof. Siewiercewa, znakomitego biologa. Jego wykłady o powstawaniu życia we wszechświecie i przejawach jego najrozmaitszych form były raczej poematami, a nie wykładami w zwyczajnym rozumieniu tego słowa. Na wykłady Sie-

wiercewa (dopóki nie wyjechał do Moskwy) chodzili nie tylko studenci z różnych wydziałów, ale i asystenci, docenci i nawet profesorowie. Ogromne audytorium, rozliczone na 400 osób, było nabite do ostatnich granic. Wiele osób wprost stało dokoła katedry.

Z profesorów matematyki największym dziwakiem (poza Jermakowem, który wykładał na Politechnice) był prof. Grawe. Małego wzrostu, z ogromną łusą głową, czerwony na twarzy, zawsze starannie ogolony, wyglądał raczej na prowincjonalnego aktora, nie na profesora matematyki. Chodził zawsze w czarnym surducie, nieco za długim jak na jego figurę, obcasy miał ścięte prawie pod kątem 45 stopni w stronę zewnętrzną. Kroczki stawiał małe i szybkie. Pomimo niepozornego wyglądu miał w sobie jakiś ukryty majestat, co znów nie przeszkadzało mu sypać dowcipami i rozweselać audytorium. Był trochę cyniczny i wybuchowy. Nastroje jego zmieniały się bardzo często, i to bez widocznej przyczyny. Otrzymać trójkę u Grawego czasami było dość trudno. Wszystko u niego zależało od chwilowego humoru. Bywało i tak, że przychodził na egzamin w nastroju supermiłym i uśmiechnięty, oznajmiał, że dziś ma dzień zadowolający (удовлетворительный) i wszystkim obecnym bez egzaminu stawiał trójki. A kto chciał mieć piątkę (весьма) musiał egza-

min składać. Pamiętam na pierwszym wykładzie (geometria analityczna) prof. Grawe rozpoczął wykład od słów: „Panowie! Matematyka to nie prostytutka, z którą bliższy kontakt można mieć raz na tydzień. Z matematyką trzeba mieć kontakt codziennie, gdyż tylko wtedy można zrozumieć i utrwalić wszystkie tajemnice sztuki matematycznej”. Na początku, kiedy słuchaczy na wykładach było dużo, Grawe zwracał się do nas i powiedział: „Panowie! Ot teraz jest was na wykładach sporo, ale pod koniec roku będzie chodziło tylko 30-40 osób. Czy nie lepiej by było, gdyby tak od razu przychodziło tylko te 30-40 osób na wykład, a reszta byłaby wolna, mogłaby pójść na piwo do knajpy, albo na górkę Włodzimierza, czy też przejechać się todzią po Dnieprze z ładną dziewczyną”.

Prof. Grawe grywał na skrzypcach, ale jego sztuka muzyczna była odwrotnie proporcjonalna do jego wiedzy matematycznej. A matematykę znał bardzo dobrze i był jednym z lepszych profesorów Uniwersytetu Kijowskiego. Jeszcze jedną cechą trochę śmieszną miał prof. Grawe, mianowicie tablicę wycierał ściereczką czy gąbką, siedząc na krzeselku i w miarę wycierania przesuwając się z wielkim hałasem razem z krzeselkiem, ciągle siedząc. Nie wiadomo, czy te wszystkie śmieszności robił umyślnie, czy to było naturalną cechą jego oryginalnej osobowości.



Kijów. Z lewej strony w oddali Uniwersytet św. Włodzimierza. Fotografia z 1900 r.

Drugim profesorem matematyki czystej był prof. Bukrijew. Może nie był tak zdolny i lotny jak Grawe, ale również był bardzo dobrym matematykiem. Zawsze był poważny, stateczny, może nawet trochę ponury, zawsze zamysłony, z lekko pochyloną, siwiejącą już wówczas mocno głową. Na wykładach jego było bardzo cicho, nie było ani śmiechu, ani żartów. Wszyscy słuchali w skupieniu, szczególnie na pierwszych wykładach, gdyż przedmiot był trudny i treść różniła się bardzo od kursu szkoły średniej. Prof. Bukrijew był człowiekiem dobrym, sprawiedliwym i chociaż na razie nie bardzo nam wchodziły do głowy szeregi z liczb zespolonych, zawsze można było z nim dojść wspólnie do granicy, którą była trójka.

Na starszych rocznikach mieliśmy później jeszcze prof. Pfeifera. Wysoki, chudy, charakterystycznie pochylony, z zewnętrznego wyglądu przypominał bardzo znak całki. Tak nazywaliśmy go: *Integral*.

Profesorem chemii był Barziłowski. Asystentem jego był niejaki Dein. Asystentowi Deinowi prawie nigdy nie udawały się doświadczenia chemiczne, które demonstrował na wykładzie Barziłowskiego. Na pomoc wówczas wzywano starego woźnego, który znał dobrze wszystkie tajemnice i niedokładności aparatury. Tu nasypał trochę piasku, tam podparł palcem, coś trochę

podgrzał, trochę dodał jakiegoś płynu – i doświadczenie udawało się ku ogólnej radości wszystkich obecnych. Wprawdzie studenci, szczególnie siedzący dalej, mało lub wcale nie widzieli, jak przebiega dana reakcja chemiczna, ale prof. Barziłowski ucieszony powodzeniem doświadczenia oznajmiał: „*Choć panowie tam dalej siedzący pewnie nic nie widzą, ale za to jak ja widzę!*..” – i to wystarczało. *Sapienti sat!* (łac. mądrymu wystarczy – *przyp. JF*). My byliśmy urażeni takim pokazem i mówiliśmy, że asystent powinien nazywać się nie Dein, a Keim (niem. dein – twój, keim – żaden – *przyp. JF*). Szczególnie wesoło było na wykładach chemii, kiedy prof. Barziłowski demonstrował nam materiały wybuchowe, na przykład jodek azotu. Po płynnej reakcji chemicznej jodek azotu osiadał na bibule. Po wyschnięciu bibuły najlżejszy dotyk wywoływał silny wybuch. Otóż pod koniec dwugodzinnego wykładu, kiedy spory arkusz bibuły odłożony na bok zupełnie już wyschł, nikt nie ośmielał się go dotknąć, nawet długą szklaną rurką. Profesor uciekał najdalej, a za nim asystent. Któryś ze studentów mógłby oczywiście to (mówiąc językiem Kercelaka) „uskutecznić”, ale umyślnie podchodził blisko z długą laseczką, a później w panicznym strachu uciekał – zabawa była na całego – i dopiero ten sam woźny, obrzuciwszy wszystkich po-



Императорскій Университетъ Св.Владимира.

Université Impériale de St. Vladimir.

Kijów. Uniwersytet św. Włodzimierza. Fotografia z 1911 r.



Kijów. Pomnik cara Mikołaja I na skwerze naprzeciwko Uniwersytetu św. Włodzimierza. Fot. z 1906 r.

gardliwym spojrzeniem, podchodził do bibułki niepokojąco blisko i nonszalancko rzucał szczyptę piasku – następowała silna detonacja, brunatny dym na chwilę zakrywał woźnego, a on bohatersko podnosząc głowę wychodził z sali, rzucając jeszcze raz na nas wszystkich unicestwiające spojrzenie.

Prof. Fogel wykładał nam astronomię sferyczną i opisową. Nie miał on ani daru słowa, ani polotu, chociaż nazywał się Fogel (niem. Vogel – ptak – *przyp.* JF) i nawet fakt, że astronomia jest jedną z najpiękniejszych nauk, nie wpływał na frekwencję słuchaczy na jego wykładach. Ja wprawdzie chodziłem na wykłady jego sumiennie, ale raczej ze względu na to, że od bardzo wczesnych lat szkolnych interesowały mnie sprawy Nieba.

Poprzednikiem prof. Fogla był prof. Chandrikow, wybitny znawca Kosmosu (oczywiście w świetle ówczesnej wiedzy). Chandrikow był już na emeryturze, a spotkać go można było często w niewielkiej knajpcie przy ul. Kuzniecznej, gdzie popijał piwo. Lubił puszczać się na rozmówki ze studentami i opowiadał wiele ciekawych historyjek z życia Uniwersytetu. A jeżeli „wzmocnił się” czasami czymś wyżej procentowym niż piwo, gdy twarz jego przybierała barwę Kijowskiego Uniwersytetu, w podnieceniu mówił z goryczą: „*W życiu zrobiłem dwa największe głupstwa: pierwsze, że zgodziłem się na małżeństwo mojej córki z Foglem, a drugie, że napisałem mu pracę habilitacyjną*”.

A teraz chcę poświęcić parę wspomnień prof. Czesławowi Białobrzeskemu. W tym czasie, kiedy ja byłem studentem, prof. Białobrzeski pełnił na Uni-

wersytecie Kijowskim funkcję, odpowiadającą naszemu adiunktowi. Pamiętam taki moment. Przyszedłem do gabinetu prof. Białobrzeskiego (na III piętrze) składać egzamin z meteorologii. Usiedliśmy przy stoliku naprzeciw siebie. Oczywiście egzamin odbywał się w języku rosyjskim, ale prof. Białobrzeski dobrze wiedział, że jestem Polakiem. Gdy w pewnym momencie przypadkiem potrafił mnie pod stołem nogą, powiedział po polsku: „*przepraszam pana*”. Te dwa słowa po polsku dziwnie podbiły moje serce i od tego czasu zaczęła się nasza znajomość, a później przyjaźń. Kim był prof. Białobrzeski, nie potrzebuję pisać. Wszyscy znaliśmy go jako cichego, skromnego, ale wielkiego człowieka i wielkiego, choć niereklamowanego uczonego.

Teatry, koncerty

Życie w Kijowie – w okresie mojego tam przebywania (1911–1916) – nie było drogie. Wszystko podrożało dopiero w roku 1916. Ale w latach poprzednich wystarczyło mieć 6 rubli miesięcznie, aby żyć zupełnie dostatnio. A jeżeli jeszcze zarobiło się kilkanaście rubli miesięcznie na jakiejś korepetycji, to taki fundusz w zupełności wystarczał nie tylko na zapłacenie komornego (przeważnie wspólnie z innym kolegą czy bratem), na obiady w stołówce studenckiej, ale i na godziwe rozrywki, jak teatr, koncert, kino. Bilet do opery, tak zwany „studencki” (wydawany na pół godziny przed rozpoczęciem przedstawienia) na miejsca parterowe (od rzędu dziewiątego wzwyż) kosztował tylko 50 kopiejek, a w późniejszych latach 60 kopiejek. Bilety do Teatru Dramatycznego Sołowcowa były nieco

droższe. Tylko podczas gościnnych występów Szalapina, Sabinowa czy Teatru Artystycznego Stanisławskiego z Moskwy ceny biletów były znacznie droższe i trudno je było dostać. Albo trzeba było spędzać długie godziny w kolejce (nie wyłączając i nocy), żeby zdobyć bilet, albo przez znajomą kasjerkę, do której robiło się „oko” lub umawiało się na randkę w kawiarni. W ostateczności można było dostać bilet przez woźnego, staro Hariona, któremu wręczało się wizerunek cara Mikołaja, wyciśnięty na dużym srebrnym krążku, na którym z boku był napis: 4 złotniki i 21 dola czystego srebra. Któżby w owe czasy śmiał odmówić carowi? Bywałem więc w teatrach i na koncertach przynajmniej 3-4 razy w tygodniu. A że trafiłem do paczki kolegów, którzy interesowali się specjalnie teatrem, a mnie znów najwięcej interesowały koncerty i opera, wspólne bywanie w teatrze lub operze stawało się już nie tylko rozrywką i przyzwyczajeniem, a po prostu niezbędną potrzebą.

Teatr Sołowcowa był jednym z najlepszych w Rosji – po Moskiewskim Teatrze Artystycznym Stanisławskiego stał na drugim czy trzecim miejscu. Z Teatru Sołowcowa wielu aktorów po paru latach szło do Teatru Stanisławskiego, na przykład znakomita aktorka Polewicka, Tarchanow, Kuzniecowa i inni. Pamiętam pewien moment w Teatrze Sołowcowa, gdy Polewicka grała w „Wiśniowym sadzie” Czechowa główną bohaterkę. W scenie pożegnania ze swoim panięmskim po-

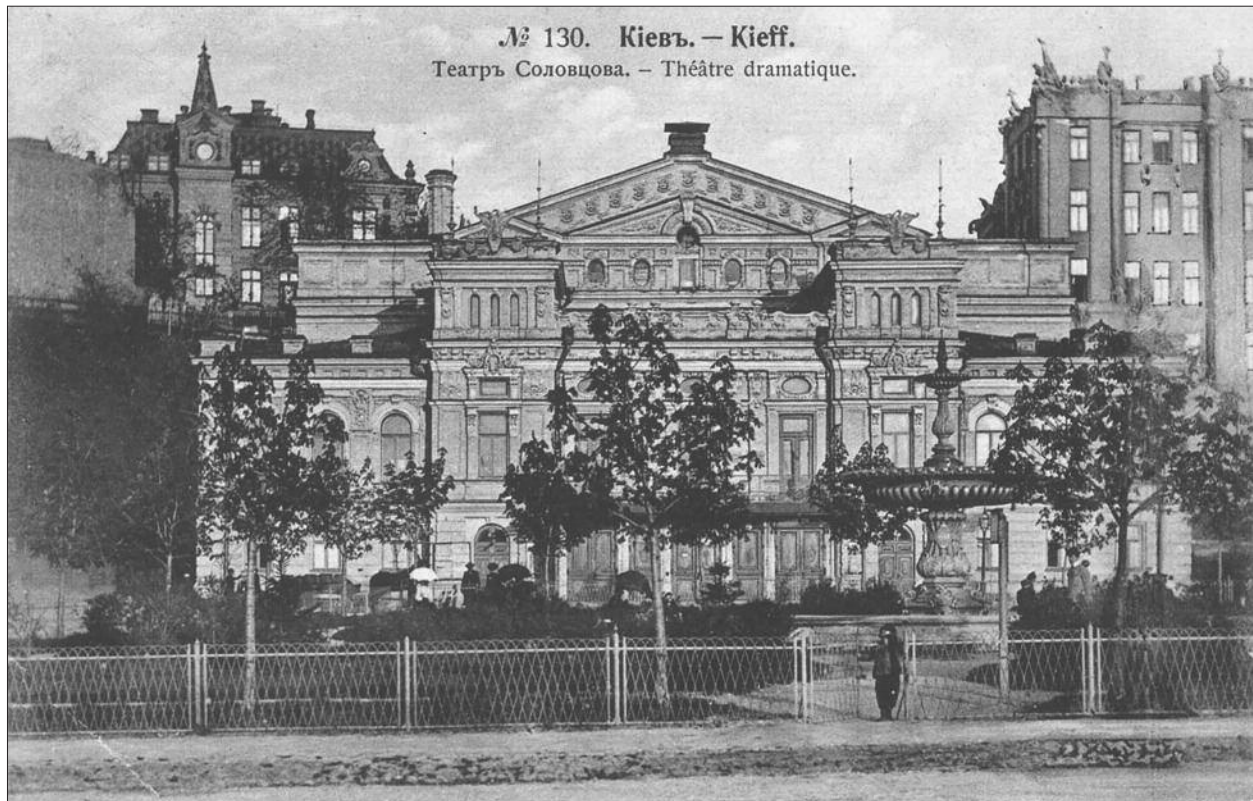
koikiem Polewicka jakieś pięć minut nic nie mówiła, ale ruchy, gesty, spojrzenia, wyraz twarzy i w ogóle cała gra były tak sugestywne, że przynajmniej połowa publiczności (mówię nie tylko o płci pięknej) przykładła chusteczki do oczu i wstydliwie je wycierała, nie mogąc powstrzymać się od łez.

Również wielu artystów z Opery Kijowskiej po kilku latach pracy w operze szło na sceny teatrów cesarskich do Piotrogradu i Moskwy. Piękny głos (baryton) miał Kamioński. Występował zwykle w operze „Jewgienij Oniegin” Czajkowskiego w roli Oniegina i razem z Oreszkiewiczem, który grał rolę Leńskiego, stanowili bardzo dobraną i świetnie zgraną parę aktorską o wysokich walorach artystycznych. Gdy obaj grali w „Onieginie”, widownia była nabita do granic możliwości. Również znakomitym aktorem był Cesewicz (bas). Miał piękny głos i chyba pod tym względem nie ustępował Szalapinowi, ale pod względem gry i kunsztu śpiewaczego był jednak trochę gorszy. Cesewicz w „Fauście” Gounoda zwykle grał rolę Mefistofelesa. Powszechnie było wiadomo, że jak przystało na porządnego diabła, zawsze nosił przy sobie w kieszeni karty do gry i za kulisami w kilkuminutowych przerwach ogrywał w „diabełka” biednego Fausta.

Jedną z lepszych stałych śpiewaczek opery była Woroniec-Montwid, siostra naszego młodego profesora mechaniki na Uniwersytecie. Swoje nadzwyczajne powodzenie w operze zawdzięczała wysokiej kulturze



Kijów. Teatr Sołowcowa. Widokówka z początku XX w.



Kijów. Teatr Solowcowa. Widokówka z początku XX w.

śpiewu, swemu pięknemu sopranowi, no i... swojej ślicznej buzi. Była przy tym zgrabna i nie miała „centnarowej” urody, którą zwykle odznaczają się sopranistki. Szczególnie w roli Małgorzaty w „Fauście” potrafiła trudną aktorsko i wokalnie „Arię z perłami” zaśpiewać tak inteligentnie, prosto i przy tym muzykalnie bez zarzutu, że zwykle zmuszona była bisować, gdyż widownia szalała, biła brawa i natrętnie domagała się bisowania. Woroniec-Montwid czasami zachodziła do brata na Uniwersytet – wówczas tłum wielbicieli otaczał lokal Katedry Mechaniki i cierpliwie czekał na jej wyjście, aby brawami spotkać wychodzącą artystkę. Czasami kierownik katedry prof. Susłow wychodził i zapytywał: „Panowie, skąd takie wielkie zainteresowanie mechaniką?”...

Osobną kartą mego życia w Kijowie były koncerty – recitale (symfoniczne koncerty odbywały się w Kijowie stosunkowo rzadko). Były one dla mnie, mówiąc dzisiejszym językiem politycznym, spotkaniem na szczycie. Spotkaniem na szczycie z Muzyką – największą ze sztuk. Kijów był niewątpliwie miastem, w którym kultura muzyczna stała dość wysoko. Przyczyniły się do tego oczywiście i Konserwatorium, i Szkoła Muzyczna (jeżeli dobrze pamiętam, zdaje się, że Tutkowskiego), gdzie było kilku wybitnych pedagogów: Dąbrowski, Dobkiewicz, Puchalski, Śliwiński (fortepian), Pulikowski, a później Erdenko (skrzypce), von Mullert (wiolonczela) i wielu profesorów śpiewu, teorii muzyki, harmonii itd.

Sądzę, że społeczeństwo polskie w dużej mierze przyczyniało się do podnoszenia poziomu muzycznego Kijowa. Na koncertach zawsze było więcej Polaków niż Rosjan (oczywiście w stosunku proporcjonalnym do ogólnej ilości Rosjan i Polaków mieszkających w Kijowie).

Wielkie zainteresowanie społeczeństwa kijowskiego muzyką sprawiało, że najwybitniejsi wirtuozi i najśłynniejsi artyści świata przyjeżdżali do Kijowa, aby dać parę recitali. Najwybitniejszym chyba był pianista Józef Hofman, Polak pochodzący z Krakowa. Hofman przejeżdżał prawie co roku przez Kijów (w drodze do Piotrogradu i Moskwy) i zawsze miał recitale. W ciągu 5 lat dał coś około 18 recitali. Byłem na wszystkich jego koncertach. Była to prawdziwa muzyka. Przyjeżdżało wielu innych wybitnych pianistów, jak Rozental, Michałowski, Rachmaninow, Śliwiński, ale nie zawsze grali jednakowo dobrze – raz lepiej, raz gorzej – i choć mieli również wspaniałą, błyskotliwą technikę, ale technikę stakatową, powierzchowną, przy której dźwięki były krótko brzmiące, urywane, suche, tępawe, co, jak wiadomo, nie daje takiego efektu, jaki się otrzymuje przy technice legatowej. A Hofman miał właśnie taką technikę legatową wrodzoną, gdyż tego nauczyć się jest bardzo trudno. W jego wykonaniu dźwięk płynął w sposób „ciągły”, jakby powiedział matematyk: „Jego wykonanie było funkcją ciągłą”. Pamiętam, na jednym z pierwszych recitali (rok 1911–1912) Hofman grał jakiś nieznany mi utwór, w którym czterokrotnie



Opera Kijowska. Widokówka z początku XX w.

powtarzała się ta sama melodia. Raz zwyczajnie, jednoklawiszowo, drugi raz po pewnym czasie – silniej, to samo w oktawach, trzeci raz to samo *forte* akordami i wreszcie czwarty raz *fortissimo*, również w pełnych akordach. Otóż między pierwszym i drugim razem Hofman zrobił pewną różnicę w sile dźwięku, ekspresji i wyrazistości. Idealnie z taką samą różnicą wykonał ten motyw za trzecim razem, ale, jak to wynikało z utworu, gdy zbliżało się wykonanie tej samej melodii za czwartym razem, pomyślałem sobie: „*To niemożliwe, nie uda mi się podnieść tego brzmienia idealnie o tę samą różnicę, to będzie połowa tej różnicy, najwyżej trzy czwarte*”... Sam gram na fortepianie i wydawało mi się wówczas niemożliwością wydobyć z fortepianu tak idealnie odmierzonej różnicy w brzmieniu, nie wierzyłem, żeby mogła być utrzymana ta sama idealnie odmierzona skala wzrostu siły i wewnętrznej dynamiki. A jednak, kiedy nadeszła ta chwila, Hofman w jakiś czarodziejski sposób dokonał tej sztuki... Widownia nie wytrzymała nerwowo – pół sali podniosło się z krzeseł, nie można było usiedzieć na miejscu. To była istna magia, jakiegoś czary... Nie chodziło tu bynajmniej o moc dźwięku i jego fizyczne decybele, a o jego specjalną dalekonośność, o jego wybuchową doskonałość wewnętrznej dynamiki. Takiej sztuki nie potrafił dokonać żaden z pianistów – oczywiście poza mistrzem świata Ignacym Paderewskim.

Inni grali nawet dobrze i mieli wysoki poziom wykonawstwa, ale nie dorównywali Hofmanowi. To wcale nie oznaczało, że nie warto było ich słuchać. Wręcz przeciwnie, chodziłem na wszystkie dobre koncerty i recitale fortepianowe lub skrzypcowe i dużo, dużo pięknych przeżyć zawdzięczam i innym wielkim artystom. Z wielkich wirtuozów skrzypków o światowej sławie również sporo przewinęło się w tym czasie przez Kijów: Huberman, Kubelik, Kreisler, De-Sicard i inni. Były też recitale śpiewaków: Szalapin, Sobinow, Smirnow, Tugarinowa (przepiękny alt), Korolewicz-Waydowa – trudno mi już wszystkich wyliczyć.

Przyjeżdżał również do Kijowa znany już w Moskwie wówczas jeszcze młody stosunkowo muzyk i kompozytor rosyjski Skriabin. Dał dwa recitale – grał na fortepianie tylko swoje wówczas nowoczesne utwory. Dziwna mi się wydała za pierwszym razem jego muzyka, ale jeszcze dziwniejsza była jego twarz. Jakaś nie z tego świata. Zapatrzony gdzieś w przestrzeń, jakby oczekiwał czegoś, co nieuchronnie miało przyjść... Na tej prześwieconej wewnętrznym blaskiem twarzy już były wypisane przyszłe tragiczne losy tego człowieka. Nie chodziło tu oczywiście o jego wirtuozerię i jego zdolności wykonawcze. Chodziło o nową muzykę. Na pierwszym recitalu nie mogłem zorientować się, co było w jego muzyce. Może nie było to jeszcze sprecyzowane dostatecznie jasno, może było dla mnie nowe i nieznanne, może to były tylko subtelne przecucia i

wizje nowych światów... Poszedłem więc po raz drugi... i dopiero zrozumiałem, czego chciał od muzyki ten wielki duch. Uważam, że Skriabin był jednym z niewielu, którzy wiedzieli, co to jest prawdziwa muzyka i rozumiał, że przestępstwem kulturalnym jest nazywać nową muzykę „uporządkowany hałas”, chociażby ten hałas był świetnie uporządkowany i zrytmizowany, jak to się dziś często przytrafia tak zwanym „nowoczesnym kompozytorom”. Do nowej, ale prawdziwej muzyki jeszcze daleko. Słuszny protest przeciwko przebrzmiałym formom starej muzyki nie oznacza jeszcze, jak chcą niektórzy, że to, co dziś uchodzi za nową muzykę, jest nią w rzeczywistości. „Dwanaście deka kakofonii” nie oznacza jeszcze wartościowego utworu dodekafonii. W mękach i bólu, jak każdy poród, rodzi się dopiero nowa Muzyka (przez duże M).

Ciężka pierwsza wojna z Niemcami wciąż trwała i każda chwila przynosiła coś nowego. W pewnym momencie w naszym polskim społeczeństwie gruchnęła radosna wiadomość: przyjechał Teatr Polski! Wszystko się zakotłowało. To nie żarty, to prawdziwy Polski Teatr, nie jakiś tam amatorski, a najprawdziwszy polski – to Wysocka, Jaracz, Osterwa, Przybyłko-Potocka, Adwentowicz, Brydziński... – same asy. No i brać studencka tłumnie zapełniała wieczorami niewielką skromną salę, gdzie przytulił się nasz Polski Teatr... Wiele emocji, rozrzewnienia i prawdziwie głębokich



Pianista Józef Hofman



Aktorka Stanisława Wysocka

wzruszeń zawdzięczaliśmy tym wielkim polskim aktorom. Ze znanych polskich aktorów, przebywających wówczas w Kijowie, żyje jeden tylko Brydziński. Reszta już odeszła. Cześć Ich świetlanej pamięci...

W związku z Brydzińskim przypomniał mi się zabawny epizod na jednym z przedstawień, gdzie właśnie grał Brydziński, Była scena koronacji Barbary Radziwiłłówny. Brydziński grał rolę króla Zygmunta i na pewno jeszcze ten epizod pamięta. Mianowicie przed samym uroczystym momentem koronacji od strony kulis wpada na scenę przestraszony duży kot i z przeraźliwym tragicznym miauczeniem rzuca się po scenie, chcąc uciec, ale pędzony bezlitośnie przez królewski orszak, skacze ze sceny w dół na orkiestrę, trafia na jakiś instrument, przewraca go, słycać huk i zamieszanie w orkiestrze... i oczywiście z królewskiej koronacji Barbary „nici”... Publiczność wyje z uciechy... Scenę trzeba powtarzać na nowo. Niektórzy zabobonni cicho szeptałi, że to nie był zwyczajny kot, a złośliwy duch królowej Bony.

Szachy

Nigdy nie wiadomo, jakie konsekwencje w życiu może pociągnąć za sobą jakiś drobny, zda się, nic nie-

znaczący fakt. Czasami taki drobiazg może zaważyć na całym życiu. Przypuszczam, że każdy człowiek miewa takie drobne przypadki, które, choć same w sobie są błahe, pozornie nic nie znaczące, odbijają się na dalszych losach człowieka. Takim drobnym przypadkiem był dla mnie fakt nauczenia się jeszcze w szkole średniej gry w szachy. Lubiłem tę grę i zawsze wolałem zagrać w szachy z graczem mniej więcej takiej samej siły, niż grać w karty czy bilard. Grałem stosunkowo dobrze i chociaż nie znałem teorii gry szachowej, udawało mi się często wygrywać z młodymi mistrzami Kijowa, takimi jak Bogolubow, Bogatyrzucuk i innymi.

W roku 1912 czy 1913 przyjechał do Kijowa znakomity szachista Capablanca, który po zwycięstwie nad Laskierem został mistrzem świata. Capablanca, z pochodzenia Kubańczyk, był u szczytu sławy. W Kijowie na zaproszenie towarzystwa szachowego Capablanca dawał seans jednoczesnej gry z 40 partnerami. Na sali przy stołach siedziało przy szachownicach 40 osób. Capablanca podchodził kolejno do każdego z partnerów, chwilkę myślał, robił ruch i następnie szedł dalej. Tak, obchodząc wszystkich, znów wracał kolejno do poprzedniego gracza. Gdy podchodził do któregoś z partnerów, przeciwnik musiał już być przygotowany i przy Capablance zrobić swój ruch na szachownicy. Dopóki nie widziałem takiego seansu, wydawało mi się to rzeczą łatwą. Ale później radykalnie zmieniłem zdanie. To była ciężka robota. Nad swoim ruchem Capablanca nie

mógł myśleć dłużej, niż 10 sekund, czasami 15-20 sek. A każdy z nas mógł zastanawiać się nad swoim ruchem 4-5 minut. Przewaga w czasie była ogromna. Na sali zebrało się sporo miłośników gry szachowej, a jeszcze więcej niewiast, które nie wiadomo skąd się dowiedziały, że Capablanca był wyjątkowo przystojnym chłopcem. Brunet o smagłej cerze i pięknych czarnych oczach, które były powleczone jakby jakimś świetlistym srebrem. Oczy jego były jednocześnie i ciemne, i świetliste, jasne, tak jak śpiewa się w ukraińskiej piosence: „*oczy ciemne jak noc i jasne jak dzień...*” Tak się zdarzyło, że tylko mnie jednemu udało się wygrać u Capablanki. Wszyscy inni przegrali. Na drugi dzień podały ten fakt wszystkie gazety. A polski „Dziennik Kijowski”, jako że byłem Polakiem, omalże nie zrobił ze mnie narodowego bohatera.

Gdy za parę dni wyjechałem na święta do miasta, gdzie mieszkałem stale, zostałem zaproszony przez pewnego wysokiej rangi dygnitarza rosyjskiego na partię szachów. Nie uchodziło odmówić, więc poszedłem. Ta partia szachów przerodziła się później w długotrwałą dobrą znajomość. Podczas mojej bytności w domu graliśmy z nim bardzo często.

Nawet nie myślałem wówczas, że te szachy prawdopodobnie uratowały mi życie, a w każdym razie dały możliwość ukończenia Uniwersytetu. Działo się to już podczas I wojny światowej. Brali do wojska coraz to nowe roczniki i pomimo że byłem studentem, co kilka miesięcy wzywano mnie do miasta powiatowego do komendy uzupełnień. Zabrano już kilku moich kolegów, z których tylko jeden pozostał przy życiu. Inni zginęli. Ale za każdym razem zwalniał mnie ten mój szachista. Wprost telefonował do komisji poborowej i zapytywał, czy figuruję u nich na liście, i gdy mu odpowiadano, że tak, nakazywał skreślić mnie z listy jako nie nadającego się. A do mnie powiadał: „*Gdyby pan poszedł na wojnę, to z kim bym ja grał w szachy?*” I na 3 miesiące miałem znów spokój. Dziwna rzecz: kto by to mógł w owe czasy przypuścić, że w niespełna parę lat później, gdy Petlura zrobił powstanie i memu partnerowi szachowemu groziło rozstrzelanie, ja jemu uratowałem życie. Historia czasami potrafi płatać różne figle.

Wzmianka w gazetach miała jeszcze kilka dziwnych konsekwencji. Wspomnę tylko o jednej z nich. A mianowicie – wiadomość w gazecie o mojej wygranej spowodowała, że w kawiarni, gdzie czasami grywałem w szachy i gdzie tłumnie zbierali się różnego rodzaju artyści, stałem się naraz osobą na tyle popularną, że wszyscy ze mną chcieli zagrać w szachy, a między innymi sławni w Kijowie artyści-malarze, jak Wilhelm Kotarbiński, Galimski i inni. To dało mi możliwość bliższego poznania świata malarskiego. Chociaż byli oni znacznie starsi ode mnie, tym niemniej zaprzyjaźniłem się z nimi serdecznie. Często stacaliśmy ze sobą istne boje o charakter, treść i formę sztuki w ogóle, a spe-



Wilhelm Kotarbiński. Fotografia z 1900 r.

cialnie malarskiej. Ale proporcjonalnie do naszych kłótni rosła nasza przyjaźń. Bardzo dużo nauczyłem się od nich. Szczególnie uwielbiałem Kotarbińskiego. Cała młodzież zresztą go lubiła. Jego twórczość o tematyce dziwnej, mistycznej, tragicznej i niesamowitej zarazem była bardzo bliska nam, młodym romantykom.

Obrazy Kotarbińskiego były przesiąknięte wielkim smutkiem i beznadziejną rezygnacją, a rzecz dziwna – on sam był uosobieniem wesołości, radosnego uśmiechu i epikurejskiego zadowolenia z życia. Przynajmniej takim był w towarzystwie... A był szczególnie zadowolony i ożywiony, gdy udało mu się zwyciężyć w boju na sześćdziesięciu czterech polach. Wówczas bardzo się ożywał, jego głębokie, wyraziste, niebieskie oczy miały iskry i sypał, jak z rogu obfitości, dowcipami, anegdotami i opowiadaniem różnych kawałów o treści nie zawsze cenzuralnej, ale zawsze dowcipnej i błyskotliwej. Jedyłą, zdaje się, wadą tego człowieka (jeżeli to można nazwać wadą) była wielka jego niechęć do przegrywania w szachy. Starał się nie pokazywać tego po sobie, ale wszyscy o tym dobrze wiedzieli. I nie wstyd mi dziś przyznać się do tego, że w „miarę możliwości” w momencie, kiedy Kotarbiński, przegrywając, tracił humor, staraliśmy się dyskretnie zrobić jakieś słabe posunięcie, żeby mógł on wygrać. I Kotarbiński znowu odzyskiwał humor, znowu słyhać było dokoła salwy śmiechu, a jego piękne oczy sypały błękitne iskry.

Kiedyś, gdy siedzieliśmy tylko we dwóch z Kotarbińskim przy szachownicy, zapytałem go, dlaczego na swoich obrazach maluje zawsze tę samą postać kobiecą, dlaczego wszędzie jest ta sama blada, subtelna twarz kobieca, patrząca rozszerzonymi źrenicami gdzieś w zaświaty?... Dlaczego nie maluje innych twarzy niewieścich? Długo mi nie odpowiadał. Już nawet zacząłem żałować, że zadałem mu to pytanie, bo wydało mi się, że Kotarbiński jakby się skurczył w sobie. Nie wiedziałem, co waży w swej duszy. Lecz wreszcie powiedział z pewnym wahaniem: „*Nie mogę, nie potrafię już rysować innej twarzy... zawsze widzę tę samą twarz przed oczyma. Nie, nie mogę panu nic więcej powiedzieć... Może kiedyś później*”... Ale już nigdy nic nie powiedział. Pomyślałem wówczas, że choć Kotarbiński ma temperament i usposobienie sangwinika, lecz duszę ma smutną... i pewnie w jego sercu tkwi jakaś osobista wielka tragedia.

W związku z Kotarbińskim przypomniła mi się pewna bardzo smutna historia. Moją koleżanką, jak również i moich kolegów, mieszkających w tym samym co i ja mieście, była Irena Popławska, córka urzędnika z okolicznej cukrowni. Była to bardzo dziwna dziewczyna. Błada subtelna twarz, jasne lniane włosy, błękitne szeroko rozwarłe oczy stale patrzące w dal, ruchy leniwe, jakby niezdecydowane, „mimozowaty” sposób bycia – to były cechy osobowości Ireny Popławskiej, dzięki którym robiła ona czasami wrażenie

niekompletnie jeszcze zmaterializowanego ducha. Specjalnie ładną nie była, ale miała dużo wdzięku i w swoim smutnym uśmiechu miała swoisty urok. Dzięki temu miała duże powodzenie u płci brzydkiej. Studiowała na Wyższych Żeńskich Kursach i z tego powodu czas akademicki również spędzała w Kijowie. Kiedyś przy spotkaniu ze mną powiedziała, że znów ma jakieś przykre wizje i że jest jej bardzo smutno i że się bardzo boi, ale sama nie wie czego. Uspokajałem i pocieszałem ją, jak mogłem, ale i mnie po tej rozmowie zrobiło się nieswojo. Zapytała mnie jeszcze, czy nie znam jakiegoś artysty-malarza, który by jej poradził, jak ma się ubrać, gdyż za tydzień będzie deklamowała na jakimś wieczorku czy w „żywnych obrazach” wiersze (niestety, nie pamiętam czyje) z powtarzającym się stale refrenem o krwi płynącej z serca. Zaraz przypomniał mi się Kotarbiński – i w tej chwili uprzytomniłem sobie, że przecież Irena – to żywy obraz jego wizji niewieściej, odtwarzanej na wszystkich jego rysunkach. Oczywiście tego jej nie powiedziałem. Chętnie porozumiałem się z Kotarbińskim i uzyskałem zgodę na przyście do jego pracowni. Poszliśmy tam razem. Widziałem, że twarz Ireny zrobiła na nim wrażenie. Długo poważnie patrzył na nią – wreszcie powiedział: „*Niech pani stanie na jakimś podwyższeniu, niech pani ubierze się w długą powłóczystą białą suknię, tak długą, aby zakrywała postument, na którym pani stanie. Niech pani trzyma przy piersi bukiet szkarłatnych róż i w chwilach powtarzania refrenu o spadającej krwi niech pani opuszcza po jednej różę tak, aby spadała wzdłuż białej sukni... jak krwawa żywa plama*”... Gdy nas wypuszczał ze swej pracowni, długo stał w drzwiach i patrzył za nami.

W parę dni po „żywych obrazach”, w których deklamowała, zastrzelił ją niejaki Mikulski i... żywa, prawdziwa krew spadała z jej biednego serca... Zastrzelił ją, jak zeznała jej koleżanka, z którą Irena mieszkała, jedynie za to, że odepchnęła jego natrętne zaloty. Pamiętam pokój, gdzie po śmierci leżała, pełen kwiatów, a szczególnie dużo było jaśminu. Ostro zapach jaśminu, zmieszany z zapachem już lekko rozkładającego się ciała (były wówczas straszne upały) i spaleniźny z płonących świec, zapach kadzidła – przygniatały każdego, kto przyszedł żegnać zmarłą. Leżała bardzo blada, z tym znanym zagadkowym wyrazem twarzy. Palce były przeraźliwie białe, aż przezroczyste. Oczy zamknięte mocno. Rzeczywiście miał rację Wertyński, gdy śpiewał:

*Ваши пальцы пахнут ладаном,
А в ресницах спит печаль...*

Jakiś dziwny nieziemski smutek tkwił w tych mocno zaciśniętych długich rzęsach Ireny... Od tego czasu nie znoszę zapachu jaśminu, który mi nasuwa zawsze obraz tamtego pokoju.

Na sądzie Mikulski bezczelnie tłumaczył się, że niby to on i Irena zrezygnowali z tego marnego życia i umówili się razem popełnić samobójstwo. On miał ją zastrzelić, a później zastrzelić się sam. Tymczasem, po dwukrotnym strzale do Ireny, Mikulski strzelił do siebie, ale tak „niefortunnie”, że tylko zadrasnął sobie lekko skórę. A gdy na wystrzał wbiegła koleżanka Ireny, natychmiast sam oddał jej pistolet i... poprosił o wodę. Po półtora roku Mikulski został zwolniony. O, Temido! Czy nie lepiej by było, gdybyś miała niezawiązane oczy!..

Wiosna

Весна идёт, манит, зовёт.

Клич вешний с гор, лесов несётся.

Весна идёт. Сердце бьётся

И песня просится звончей.

Весна идёт... мечты несёт...

Przetłumaczyłem tę piosenkę na polski, mniej więczej wygląda to tak:

Wiosna nadchodzi, wabi i woła.

Z gór, pól i lasów slychać wiosny zew.

*Wiosna nadchodzi, serce mocniej bije
I pieśń się naprasza na dźwięczniejszy śpiew...*

Wiosna nadchodzi... niesie marzenia...

Wiosna nadchodzi, woła i wabi, budzi w duszy dziwny niepokój, tęsknotę i pragnienie. Woła, by wstać i iść dokądś w dal... przed siebie, w dal – bliżej nieznaną, nieokreśloną, której końca nigdy nie widać, ani celu, na której nie ma ani ukojenia, ani wypoczynku, bo dokądkolwiek by się doszło, to będzie to tylko znów początkiem drogi. Dokąd wabi, dokąd woła, czego oczekuje w tej mglistej dali, czego pragnie – nikt nie wie. A jednak ciągnie człowieka, niepokoi i budzi w sercu przedziwne tęsknoty. Trudno powiedzieć, skąd to się bierze. Może to tylko atawizm – pozostałości po naszych koczujących przodkach, którzy z pierwszym tchnieniem wiosny wyruszali w dal na nowe świeże pastwiska... A może te nieuchwytnie wewnętrzne nakazy powstają wraz z całą budzącą się przyrodą... Człowiek, jako jeden z najdoskonalszych przejawów tajemnicy życia, musi iść z całym nurtem przyrody w chwili jej wiosennego odrodzenia się i stąd ten nieprzeparty, dziwny, „cygański” niepokój, który ogarnia człowieka na wiosnę. Kto wie, skąd to się bierze?..

Są trzy najcudowniejsze momenty wiosny. Pierwszy moment następuje tuż zaraz po nagłym ociepleniu:



Pieczerska Ławra. Fotografia z 1900 r.

Szczególnie jaskrawo widać go w niedużych miasteczkach prowincjonalnych i na wsi. Naraz robi się ciepło. Śnieg topnieje nieomalże w ciągu jednego dnia. Po drogach szemrzą strumyki... Gdzieś zagra *szarmanka*, gdzieś po wiosennemu zapieje kogut lub zakracze wrona. Dźwięk rozchodzi się w powietrzu zupełnie inaczej niż w zimie. Wróble, zebrawszy się w grupy, sejmikują. Słychać głosy przelatujących wysoko na północ dzikich gęsi i żurawi. Pierwszy motyl błysnie rudawo-złotymi skrzydełkami i znika... I nagle robi się na chwilę tak cicho, cicho... Wszyscy zasłuchani... wiosna idzie, wiosna! I oto już pierwsze kwiatki: pierwiosnki, śniegułki, fiołki, złote kaczeńce i ciemnoniliowe, owinięte srebrną nicią sny, czyli sasanki...

Drugi moment wiosny – to kwitnienie drzew owocowych i krzewów. Najbardziej mistycznie wyglądają na tle błękitnego nieba kolumny kwitnących jabłoni. W kwitnięciu drzew owocowych zawarte jest jakieś misterium... Jakby bezsłowna modlitwa bezgrzesznych duchów... Błękit nieba, nieskazitelna biel kwiatów i subtelny zapach... Słychać ciche brzęczenie pszczoł zbierających miód. Wiosna...

Trzeci moment wiosny następuje w chwili, kiedy zaczynają kwitnąć konwalie, a zboża na polach mają jeszcze barwę szarawo błękitną.

Każdy z tych momentów ma swój urok, ale najdziwniejszy i najmocniej odczuwalny jest moment pierwszy – moment wiosny Griega, moment dziwnej tęsknoty i tajemnych pragnień wyruszenia na „cygańską” wędrówkę.

Właśnie w czasie mego pobytu w Kijowie znalazłem się w taki cudowny wiosenny dzień w Ogrodzie Cesarskim nad Dnieprem, w samym jego końcu. Dalej było ogrodzenie i nie wolno już było tam chodzić. Był koniec marca, ostatnie dni przed Wielkanocą. Naza jutrz miałem wyjechać na święta do domu. Byłem sam. Na gęstych krzewach na skarpie nad Dnieprem ledwie zaznaczały się zielonkawe i żółtawe cętki rozwijających się listeczków. Na ziemi, jeszcze niezupełnie wyschniętej, kwitły małe żółte i granatowe kwiatuszki. Ogrzana wiosennymi promieniami pachniała ziemia. Pachną nie tylko kwiaty, pachnie również i ziemia. Może nie każdy w to uwierzy, ale naprawdę na wiosnę urodzajna ukraińska gleba pachnie. Ma dziwny zapach – taki konglomerat fiołków, jesiennych liści, wodnych lilii i surowizny. Siedziałem i patrzyłem w dal na bezkresny horyzont wijącego się Dniepru i na odległe równiny lewego jego brzegu. Siedziałem i słuchałem wiosny. I nagle usłyszałem z góry dobrze mi znane gardłowe dźwięki. Stado dzikich gęsi leciało na północ. Jest dziwna tęsknota w głosach dzikich gęsi – w ich gęganiu tkwi jakaś prawieczna skarga na swój los tułaczy. Może ich również, jak ludzi, ogarnia niepoohamowany przymus i chęć lotu przed siebie w dal do jakichś nieznanych celów, a może tylko instynkt szukania nowego żerowiska. Kto ich tam wie... Ale głos ich jest również

głosem wiosny i w duszy ludzkiej budzi jeszcze większy smutek. To także zew wiosny... Siedziałem, słuchałem i bezobrazowo marzyłem. I choć było mi smutno, ale również i dobrze. Zawsze tak bywa, gdy człowiek przeżywa smutek nie osobisty, a „epicki”. Właśnie głosy lecących gęsi wprowadziły mnie w taki stan „epicki”. Czułem się tak, jakbym obserwował pierwsze przejawy życia tysiące lat temu...

Gdy tak śniłem na jawie, nagle wdarł się do mej świadomości potężny dźwięk dzwonu. Dzwoniono w Kijewo-Pieczerskiej Ławrze. Przed Świętami Wielkanocnymi w prawosławnej cerkwi zawsze urządzano wielkie dzwonienie. Początkowo odzywają się dzwony o głosach najniższych, pojedynczo, poważnie, w różnych odstępach. Dźwięk dzwonu także coś głosi, także dokądś woła, także skierowuje wzrok człowieka ku jakimś czynom i mobilizuje jego świadomość do czuwania. Dzwony w cerkwi prawosławnej strojone są poważnie w interwale: „epickie” na kwarty, albo na kwarty i seksty przez oktawę. I nagle w ten poważny porządek dźwiękowy wrywa się „zgraja” dzwonów o tonach wysokich, krótkich, łamliwych. Rytmy się zmieniają co chwila, rozchodzą i zbiegają, goniąc siebie wzajemnie w cyklach uderzeniowych. Tak bywa czasami, że raptownie do pokoju, gdzie toczy się poważna rozmowa starszych, wrywa się grupa rozbawionych dzieci i swym krzykiem o różnej wysokości tonów i skali natężenia napęlnia cały pokój. Słuchałem tego koncertu z pół godziny i raptem wszystko ucichło. Ale jeszcze przez dłuższy czas brzmiały mi w uszach świąteczne dzwony Pieczerskiej Ławry.

Jest piękny utwór Rachmaninowa, poświęcony tematyce tych przedświątecznych dzwonów w cerkwi prawosławnej. Nazywa się „Chramowej prazdnik”. W związku z Rachmaninowem przypomniałem sobie wówczas również i pewne jego powiedzenie na jednym z koncertów, kiedy publiczność nie wiem po raz który domagała się bisowania. „*Proszę państwa! Przecież nie ma takiego koncertu, po skończeniu którego publiczność nie rozchodziłaby się do domów*”. Pomyślałem sobie, że już i mnie czas do domu wracać. Rozkołysany muzyką dzwonów Pieczerskiej Ławry po powrocie do domu skomponowałem walc. Gdy czasami wspomnę jego melodię, staje mi przed oczyma piękny Dniepr, wijący się błękitną wstęgą gdzieś w dal i słyszę nawołujące dzwony Pieczerskiej Ławry... Wiosna nadchodzi, wabi i woła. Z gór, pól i lasów słychać wiosny zew...

Zaduszki

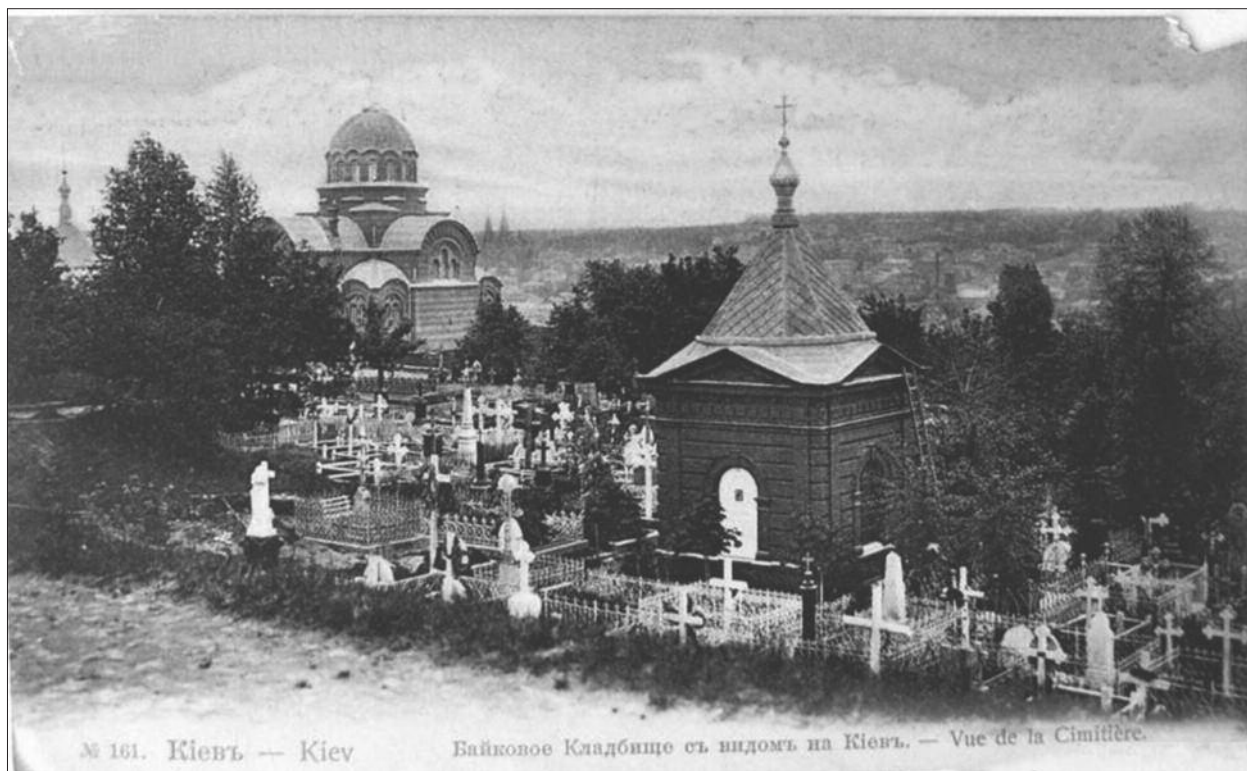
Cmentarz katolicki w Kijowie mieścił się na Bajkowej Górze, a raczej na falistych pagórkowatych gruntach, pokrytych częściowo drzewami i krzewami. Dojeżdżało się do cmentarza tramwajem, który szedł z początku po Kreszczatiku, a później po Wielkiej Wasylkowskiej. Trzeba było przejść jeszcze porządny kawałek piechotą. Jeżeli chodzi o wygląd ogólny, cmen-

tarz w Kijowie może nie różnił się bardzo od innych cmentarzy katolickich, ale ze względu na swoje położenie i na rozrzucenie mogił po pagórkach i dolinkach, miał swoisty urok i specyficzny wyraz. Był bardziej romantyczny. Zawsze tam można było znaleźć zaciszne miejsce, gdzie człowiek mógł samotnie posiedzieć i porozmyślać nad „marnościami” tego świata. Nie zawsze człowiekowi jest dobrze wśród żywych. Czasami w towarzystwie zmarłych można również czuć się dobrze. Od czasu do czasu chodziłem więc na cmentarz, błądziłem bez celu, czytałem napisy, daty śmierci i urodzin nieznanymi mi osobom, przyglądałem się fotografiom niegdyś żyjących ludzi takich jak ja. Myślałem sobie, że oni również kiedyś istnieli, żyli, cierpieli, cieszyli się, mieli pragnienia, czegoś oczekiwali od tego życia... I odeszli, odeszli na zawsze.

Szczególnie lubiłem chodzić na cmentarz w Dzień Zaduszny i to pod wieczór, kiedy cały cmentarz lśnił od zapalonych na mogiłach świeczek. Pamiętam szczególnie jeden taki wieczór. Był rok 1913 – rok wielkiej wystawy w Kijowie. W dzień spadł niewielki śnieg i choć nie było chłodno, na cmentarzu śnieg nie wszędzie stopniał. Białe płaty śniegu pokrywały tu i ówdzie ziemię. Światelka rozrzucone na całym obszarze świeciły i migotały, jak robaczki świętojańskie, to gdzieś hen, na pagórkach, to znów w alejkach położonych niżej. Odblask tych migoczących płomyków odbijał się od białego marmuru pomników, od metalowych wianków na krzyżach, od jasnych ścian grobowców, od

kwiatów na mogiłach – i czasami od zapłakanych oczu przechodniów.

Szedłem i obserwowałem twarze tych, którzy przyszli tu odwiedzić swoich bliskich, przyjaciół czy znajomych, przyszli poświęcić im parę chwil wspomnień. Dlaczego przyszli? Czy rzeczywiście przyszli dla nich, dla tych więcej czy mniej bliskich, czy przyszli może dla siebie? Na wielu twarzach malował się tylko formalny obowiązek. O, właśnie ten elegancki jegomość zakupił dużo kwiatów, wieńców i świeczek, które poukładał i porzastał bezładnie na mogile. Sam usiadł na poręczy ogrodzenia i z dumą patrzy na swoje dzieło. Nic więcej nie odbija się na jego twarzy prócz zadowolenia, że spełnił swój obowiązek. Żadnego cierpienia, żadnego smutku, żadnej modlitwy czy choćby przelotnego zamyślenia nie widać. Tu znów jakaś para zabiedzona, nędznie odziana – widocznie małżeństwo – niesie kilka skromnych wianuszków. Twarze zmęczone, zaferowane, wylężnione – pewnie niosą te skromne wianuszki na mogiłę swego przedwcześnie zmarłego dziecka. Spieszą się, bo tam w domu czekają jeszcze inne dzieci, które trzeba nakarmić, napić i odziać. W twarzach ich widać głęboką troskę o dzień jutrzejszy. Nie mogą myśleć tylko o tym zmarłym, nawet dziś nie mają na to czasu i siły. A oto znów idzie grupka młodych dziewcząt, niosą kwiaty, wianki, świeczki, śmieją się, żartują. Na pewno kazano im opiekować się obcym grobem może jakiejś zmarłej nauczy-



№ 181. Кієвъ — Kiev

Байковое Кладбище съ видомъ на Кієвъ. — Vue de la Cimetière.

Cmentarz Bajkowa. Widokówka z początku XX w.

cielki... Nic ich nie wzrusza, ani trwoży. Idą obojętnie spełnić swój obowiązek.

I tak idą i idą jedni za drugimi, jak fale na jeziorze w dzień wietrzny, bo taka jest tradycja, bo taki jest zwyczaj. A jednak na niektórych twarzach widać coś jeszcze, coś nieuchwytnego, coś bardzo osobistego i głęboko tragicznego. Tego „coś” nie da się wyrazić żadnym słowem, ani muzyką, ani żadną inną formą sztuki.

Właśnie to irracjonalne spotkanie świadomości ludzkiej ze śmiercią – z tym końcowym przeznaczeniem każdego człowieka – zobaczyłem wówczas raz i tylko jedyny raz w życiu. Idąc przed siebie, zatrzymałem się koło niewielkiej ubogiej mogiły, na której paliły się zaledwie cztery świece i nic więcej nie było – żadnych kwiatów, żadnych wianków. Mały, czarny, prosty krzyżyk z tanią blaszaną tabliczką niezgrabnie pochylał się nad biedną mogiłą. Koło mogiły, na śniegu, który pokrył zeschnięte liście, klęczała mała dziewczynka, może 11-12 lat mająca. Nędznie przyodziana, miała głowę przykrytą niewielką chusteczką. Błądą wymizerowaną twarzyczkę i kilka jasnych kosmyków wysuwających się spod chusteczki oświetlały migocącym światłem świece na mogile. Obok małej dziewczynki stał starszy człowiek – widocznie jej dziadek – o zniszczonej pooranej twarzy, bez czapki, z lekka pochylony, ręką przytrzymał ramię dziewczynki. Na twarzy jego widniała rezygnacja i pogodzenie się z losem. Dziewczynka miała podniesioną twarzyczkę i gdzieś patrzyła w dal, w oczach jej zastygły dwie olbrzymie łzy. Klęczała bez ruchu, jakby skamieniała i niby wsłuchiwała się w jakieś głosy, które szły do niej z tamtej strony życia, ze strony tamtego świata... W mogile leżała jej matka, dziewczynka była sierotą, a opiekował się nią jej dziadek. W jej zastygłych rozszerzonych oczach ujrzałem właśnie to „coś”. Nie mogę tego opisać, ani wyrazić jakoś inaczej – to tylko można zobaczyć.

Wszystkie tragedie, jakich w życiu byłem świadkiem (a było ich wiele), były innego rodzaju. Były to tragedie ludzkie, tragedie z tej ziemi, były to przeżycia i cierpienia niewątpliwie wielkie i straszne, ale wszystkie zrośnięte z ziemią i jej niedolą, z naszym życiem doczesnym. A to, co wówczas ujrzałem, było tragedią na miarę kosmiczną, było zjawiskiem niewspółmiernym z tym, co nas żywych dokoła otacza, było to coś z tamtej strony, ze strony wieczności i zapomnienia... Tyle lat już minęło od tej chwili, a ja wciąż pamiętam ten przedziwny moment spotkania życia z zagadką śmierci. I wówczas, w tej pamiętnej dla mnie na całe życie chwili poczułem w sercu głęboki żal i skargę na tę dziwną niesprawiedliwość... Szybko odszedłem od mogiły, gdyż ogarnął mnie jakiś mistyczny strach. Uświadomiłem sobie, że nie wolno bezkarnie podchodzić blisko Odwiecznej Tajemnicy...

Gdy za godzinę wróciłem na to samo miejsce, nikogo już nie było. Tylko ostatnia świeczka smutno migotała jeszcze na tej samotnej mogile.

Czy ludzie, którzy idą na Zaduszki, idą tylko dla tych umarłych? Nie – nie tylko. Idą też dla samych siebie, idą z ukrytą nawet przed swoją świadomością tajemną nadzieją, że czegoś się tam może dowiedzą, że spełniając ten swój obowiązek, w jakiś dziwny sposób wejdą w kontakt ze światem ukochanych zmarłych. Idą zetknąć się ze śmiercią, aby mieć choć mały cień nadziei na życie wieczne. Czyż w takich chwilach w znekanej duszy ludzkiej nie może powstać, jako protest, najpiękniejsza legenda o wiecznym życiu?!

OSTATNIE ŻYCZENIE

*A kiedy już spoczne na śmiertelnym łożu,
Kończąc swą tułaczkę po ziemskim bezdrożu
I już cień mogiły padnie na me skronie,
Niech ujrzę raz jeszcze kwitnące jabłonie.*

*Niech ujrzę raz jeszcze łan złotego zboża
I błękitne dale bezkresnego morza.
Niechaj ujrzę uśmiech czarownicy, powiewny
W dniach mojej młodości wysnionej Królowny.*

*I niech mi ktoś zagra Szopena mazurek.
Niechaj dłoń mą liżnie pies-przyjaciel Burek.
A gdy mi zagrają już śmiertelne dzwony,
Niech usłyszę jeszcze płacz kochanej żony.*

*Niech poczuję uścisk ręki siostry, brata,
Niechaj mi przypomną nasze młode lata,
Gdyśmy byli wszyscy z matką, ojcem razem.
Niechaj ktoś cichutko klęknie przed obrazem...*

*I gdy wreszcie przyjdzie już samo konanie,
Niech się modli, prosząc: „Racz go przyjąć, Panie”
Niech mi lekką będzie ziemia nasza stara,
Bo życie – to sen tylko, uluda i mara...*

*Położcie mnie obok mogił ojca, matki.
I na moim grobie niech zakwitną bratki.
I krzyżyk niewielki, skromny, czarny, prosty
Niech zarosną w koło ciernie, mchy i osty...*

Zachowano pisownię oryginału

BYŁEM STUDENTEM POLITECHNIKI KIJOWSKIEJ

Drugi rok studiów 1952–1953

W poprzednim numerze przedstawiliśmy Czytelnikom wspomnienia Józefa Olszewskiego z początku studiów w Politechnice Kijowskiej. Dziś chcemy zaproponować w skrócie dalszy ciąg tych wspomnień, zawartych w broszurze Sekcji Wychowanków Politechniki Kijowskiej z 2003 r.

Janusz FUKSA

Z Warszawy wyjechałem 29 sierpnia. Pomny ubiegłorocznych cierpień, gdy spałem na łóżku pod oknem, przy kaloryferze, tym razem chciałem być wcześniej, żeby zająć sobie w pokoju domu studenckiego łóżko jak najdalej od kaloryfera. [...]

Na dworcu w Kijowie świat był całkiem inny niż w Warszawie. W olbrzymiej poczekalni tłumy oczekujących pasażerów, niekiedy koczujących tu po kilka dni. Oczekiwali na miejsca w pociągach dalekobieżnych. Nie udało im się zrobić rezerwacji na całą trasę w punkcie startu i wyruszyli w daleką podróż z przesiadkami, licząc, że się im poszczęści. Jak widać nie zawsze można liczyć na łut szczęścia.

Moją rzeczą było dojechać do domu studenckiego. Na postoju taksówek kolejka oczekujących, a auta podjeżdżały rzadko. Na przejazd taksówką wówczas każdego było stać, a podaż nie zaspokajała popytu. Wsiadłem więc do tramwaju, który właśnie zajeżdżał na pętlę przy dworcu.

W alei Brestlitowskoje Szosse czułem się już swojsko, jakbym był u siebie, jakbym tędy jeszcze wczoraj jechał. Przy parku Politechniki tramwaj silnie zakoleysała na nierówno ułożonych torach. Studenci zwykli żartować, że tramwaj na tym odcinku jest zasilany prądem przemiennym i zatacza sinusoidę.

Ale oto i ulica Polewaja, przy której znajdują się domy studenckie Politechniki. Wsiadłem i z ciężką walizką taszczyłem się pod niewielką górkę. To jest moja ulica, tutaj mieszkają moi koledzy, czuję się tutaj zupełnie pewnie. Wiem, że na pewno otrzymam miejsce w domu studenckim, wiem także, że na pewno jeszcze dziś, jeśli tylko zdążę zająć do Instytutu, otrzymam stypendium, a jeśli nie zdążę, to pobiorę je jutro. Ta właśnie pewność i poczucie stabilizacji materialnej miała dla mnie niezmiernie istotne znaczenie.

Tym razem w związku z przenoszeniem się na wydział elektryczny przydzielono mi miejsce w domu studenckim nr 2; mieszkali tutaj studenci wydziału elektrycznego. Była to poniekąd pierwsza informacja dla mnie, że złożone w Ministerstwie Szkolnictwa Wyższego w Warszawie podanie zostanie załatwione pozytywnie i że będę przeniesiony na wydział elektryczny. Bardzo mnie to ucieszyło, że tak dobrze zaczyna się ten nowy rok akademicki.

W pokoju byłem na razie sam i mogłem wybrać sobie łóżko według własnego widzimisię. Tym razem nie było łóżka pod oknem, a więc będzie nas tylko sześciu.

Chciałbym wszakże mieć łóżko jak najdalej od kaloryfera. W roku ubiegłym zazdrościłem Saszy, który miał łóżko przy drzwiach, za szafą. I takie właśnie miejsce sobie wybrałem. Będę w ten sposób częściowo odizolowany od świata, słowem, czuć się będę, jak u Pana Boga za piecem. Warto było przyjechać dzień wcześniej.

Chętnie bym od razu odpoczął po podróży, lecz niestety, pościel będę mógł otrzymać dopiero po okazaniu zaświadczenia z łaźni o przebyciu „sanobrabotki” (dezynfekcji). Psioczyłem trochę na takie zwyczaje, ale to na nic, tutaj nie ma wyjątków, poddać się temu muszą wszyscy, bo takie jest zarządzenie. Z drugiej wszakże strony doceniałem to zarządzenie, gdyż w jakimś stopniu zapobiegało ono rozmnażaniu się wszelkiego robactwa w tak bardzo stłoczonych domach studenckich.

Wręczona pościel wydała mi się jakaś szara, jakby niedoprana. Próbowałem reklamować, lecz nie przyniosło to skutku, bo wszystkie komplety były takie szare, nawet te nowe. Widocznie dla takich celów stosowano płótno z gorszych gatunków bawełny i jakąś

uproszczoną technologię produkcji. Najważniejsze, że pościel była czysta.

Rozlokowałem swój skromny studencki majątek: odzież do szafy, a walizka pod łóżko, talerzyk, kubek i sztucce do szafki obok łóżka.

Nazajutrz pokój się zapełnił. Okazało się, że moimi współlokatorami w tym roku będą głównie studenci z wydziału górniczego. Mieli oni stosunkowo komfortowe warunki studiów, bowiem otrzymywali wyższe stypendia i to nawet za dostateczne noty na egzaminach. Mieli zatem środki na całkiem znośne bytowanie.

Dostrzegłem, że dwaj moi nowi koledzy byli ode mnie znacznie starsi. Okazało się, iż byli żołnierzami i walczyli na pierwszej linii frontu. Stiopa został ciężko ranny w Polsce, pod Sandomierzem. Od razu widać, że byli to solidni ludzie, którzy wiele przeżyli, a nawet ocierali się o śmierć. W stosunku do mnie byli życzliwi, przyjaźni, nawet opiekuńczy. Szczególnie Wania traktował mnie jak swego młodszego brata. Bardzo mi to odpowiadało, że tak szybko zyskałem nowego, odданego przyjaciela.

Wania zapowiedział, że dla lepszego poznania się urządzimy sobie w pokoju pogawędkę przy herbacie i przywiezionych z rodzinnych domów wiktuałach. Dobrze wszakże, że to nie dzisiaj, bo mnie korci, żeby pojechać do centrum miasta i pospacerować po Kreszczatiku.

Pod wieczór założyłem przywiezione modne wąskie spodnie, krótkie tak, żeby było widać skarpetki, nowe buty oraz fasonową kurtkę. Na pętli przy parku im. Puszkina wsiadłem w trolejbus nr 5 i pojechałem do centrum. Wsiadłem w pobliżu „Uniwersmagu” i z zaciekawieniem wszedłem w jego szeroko otwarte podwoje. Wnętrze jego w owym czasie pulsowało życiem, zawsze było tam pełno klientów. Był to najlepiej zaopatrzonej dom towarowy w Kijowie. Prowadzony tam był szeroki asortyment towarów, od drobiazgów aż po motocykle. Oczywiście, jeśli była dostawa, bo w ciągłej sprzedaży atrakcyjnych towarów nie było.

Tym razem nie zamierzałem robić żadnych zakupów, więc, nasycając oczy czerwienią i błękitem wystaw, wyszedłem na szeroki kijowski deptak, czyli na Kreszczatik. Spacerowałem sobie w kierunku placu imienia Lwa Tołstoja i z powrotem, przyglądałem się



Kijów. Teatr Opery i Baletu. Fot. z 1954 r.

drugiej stronie ulicy, wzdłuż której wyrastały nowe domy. Po solidnych fundamentach i niezwykle grubych ścianach można było wnioskować, iż staną tutaj olbrzymie, solidne gmachy. [...]

Chcąc wydłużyć trasę spaceru, szedłem tak sobie pośród tłumu spacerowiczów, aż zaszedłem na Plac Pocztowy w słynnej dzielnicy Padoł. Przystanąłem, popatrzyłem na wstęgę modrej rzeki i poczułem się jakby zadomowiony. Wczoraj jeszcze patrzyłem z mostu na Wisłę, a dziś oto stoję nad brzegiem Dniepru. Ten spory kawał świata pomiędzy tymi dwiema wielkimi rzekami jest teraz i moim światem.

Jutro rano pójdę do Instytutu i zacznę drugi rok studiów w Politechnice Kijowskiej.

Był dzień 1 września 1952 roku, godzina 7.45. Do Instytutu zmierzały tłumy młodych ludzi – to studenci; szli także starsi – to kadra naukowa uczelni. Na korytarzach rojno i gwarno, wszyscy się pozdrawiali słowem „*priwiet*”. Jakaż to spontaniczna radość emanuje z twarzy młodych, jakże przyjemne są lata studenckie!

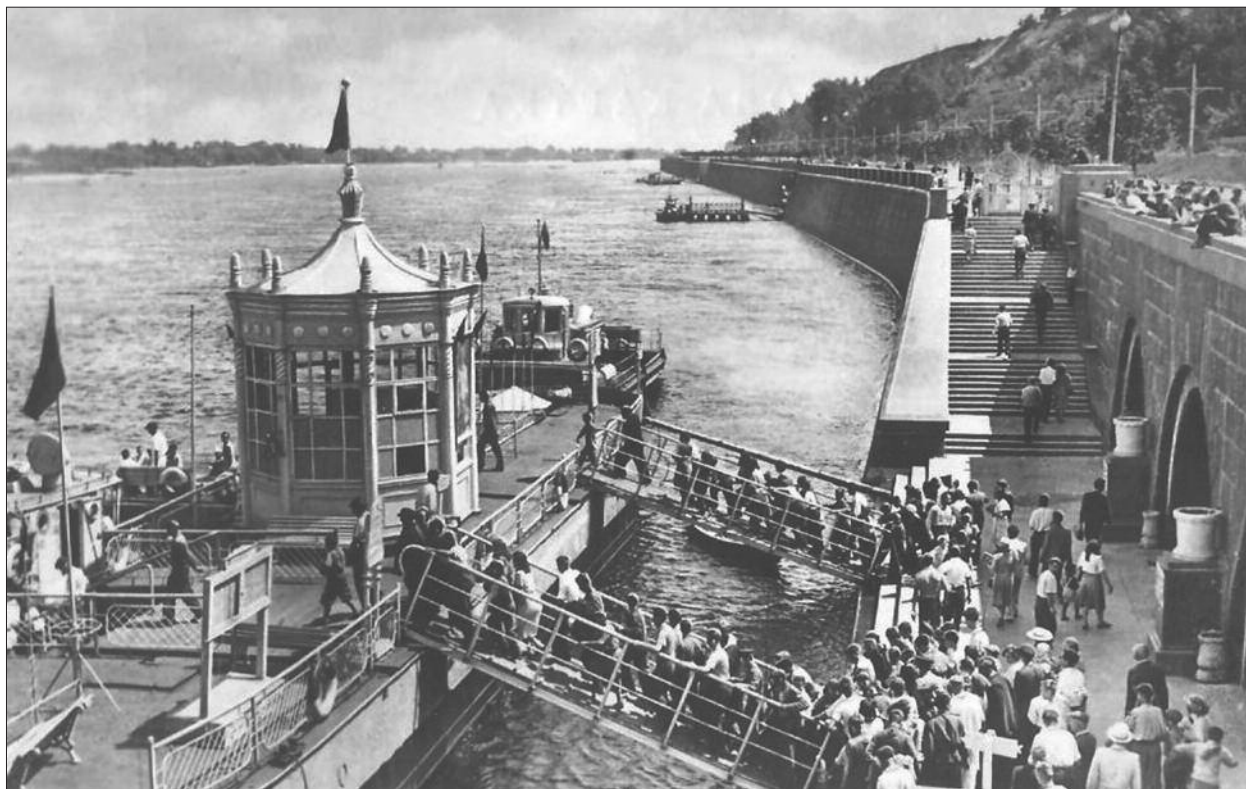
Ażeby jednak być studentem, trzeba zdawać egzaminy. Już na pierwszym zbiorowym wykładzie było widać, że nie wszyscy powrócili z wakacji na drugi rok studiów. No cóż, nie zdali egzaminów i będą musieli

rozejrzeć się za inną drogą w życiu. Pamiętam jak przy końcu wiosennej sesji egzaminacyjnej Lowa, wesoły chłopak z sąsiedniego pokoju, mówił, że ocen dostatecznych to on nie ma. Zdawał na piątki i czwórki, ale niestety także na dwójce. A tych ostatnich złapał widocznie za dużo i w końcu sesji oświadczył, że ma zamiar zdawać do Szkoły Morskiej w Odessie. Szczerze żał mi było Lowy, nie będzie już między nami tego wesołego, każdemu życzliwego kolegi.

Nie powiodło się niestety także jednemu z polskich studentów. Żałowaliśmy, że nie będzie wśród nas tak spokojnego i przyjaźnie usposobionego Ignasia L.

W dziekanacie dowiedziałem się, że sprawa przeniesienia na wydział elektryczny nie została jeszcze załatwiona i mam zgłosić się do swojej dotychczasowej grupy spawalników. [...]

Już po kilku wykładach stwierdziłem z niemałą satysfakcją, iż w tym roku łatwiej mi będzie przychodziła nauka. Całkowicie rozumiałem wykłady, potrafiłem szybko notować po rosyjsku. Nabrałem już także sporego doświadczenia w wykonywaniu rysunków. Wciąż jednak trapiła mnie myśl: czy moje podanie o przeniesienie na wydział elektryczny zostanie załatwione pozytywnie? Tak to już jest w życiu, że kłopoty i troski są zawsze, mniejsze lub większe, ale są. Człowiek zawsze musi się czymś zamartwiać.



Kijów. Port rzeczny na Padole. Fot. z 1955 r.



Kijów. Plac Pocztowy. Fot. z 1955 r.

W sobotę po południu wybrałem się na najbliższy bazar kołchozowy, który znajdował się wówczas trochę na prawo od alei Brestlitowskoje Szosse, jeśli się jechało w kierunku Placu Pobiedy. Na sporym obszarze ustawione były najrozmaitsze kramy i kramiki lub po prostu rozklekotane stoły czy ławy. Sprzedawano owoce, kartofle, a także mięso i kurczaki. Produkty pochodziły z działek przyzagrodowych kołchoźników. Przywozili je tu otuleni w mocno sfatygowaną odzież ludzie o nieokreślonym wieku i postaci. Z wyglądu tych ludzi można było wnioskować, że w kołchozach się nie przelewa.

Ceny oferowanych produktów były z reguły wyższe niż w sklepach, lecz produkty prezentowały się ciekawiej i apetyczniej, były świeższe. Szczególnie dorodnie wyglądały jabłka antonówki i pomidory. A ja właśnie głównie przyjechałem po pomidory. Był duży wybór, ułożonych w kupki po kilka sztuk, tak gdzieś średnio po kilogramie. Kupiłem duże, ładne, dojrzałe, o malinowej skórce. Wiedziałem, że będą mi smakowały. Od razu bym gryzł te smakowite, wypełnione ukraińskim słońcem, jakże soczyste owoce. Trzeba je wszakże uprzednio dokładnie umyć, żeby nie nabawić się jakiejś choroby.

Kupiłem także dużą, dorodną kiść winogron i tu już nie wytrzymałem, tak ciekła mi ślinka, więc umyłem kiść pod bieżącą wodą i, smakując każdą kroplę soku rozgryzionego owocu, cieszyłem się, że życie jest tak piękne. W moich rodzinnych stronach winogron nie uprawiano, a i dowożono je tam wtedy bardzo rzadko. Postanowiłem więc, że winogrona będą jadają często, rzecz jasna, dopóki będą w sprzedaży.

Kartofli w owym czasie jeszcze nie kupowałem, szkoda mi było zachodu na ich smażenie.

Kiedy wróciłem z zakupów, w pokoju był tylko Wania, najstarszy z nas. Bardzo lubiłem obcować z Wanią. Był poważnym, rzeczowym, dojrzałym mężczyzną. Nigdy nikomu nie usiłował dokuczyć, nie drwił z nikogo i nikomu nie docinał. Mówił tylko o pozytywnych cechach swoich znajomych. Był wysokim, przystojnym brunetem. Nosił się po żołniersku: wojskowa bluza zapięta pod szyją, ściśnięta szerokim skórzanym pasem, ciemne, starannie wyprasowane spodnie wpuszczone w cholewy zawsze wyglansowanych butów. Iluż to takich porządnych, solidnych mężczyzn poległo na froncie? Wania był zdania, iż do nowej wojny za wszelką cenę nie należy dopuścić, a ceną tą są także wyrzeczenia ponoszone dla dobrodzenia armii.

Dziś Wania z tajemniczą miną oznajmił, że „druzja” wróćą niebawem, i że to właśnie dziś chcą urządzić wspólną kolację, na którą mnie gorąco zapraszają. Zaproszenie przyjąłem z niekłamanym entuzjazmem, bo przecież po takiej kolacji więzy przyjaźni w pokoju na pewno jeszcze bardziej się zacieśnią.

Na stole pojawiły się przywiezione z domów rodzinnych wiktuały: a to domowe kiełbaski, wędzona słoninka, to znów wysoko słodzone domowe konfitury. Była także butelka portwajnu, całkiem dobrego wina, mającego i tę zaletę, że było w cenie dostępnej na studencki portfel.

Ja także miałem czym poczęstować kolegów. Przywiozłem dobrze przyrządzoną ojcowską wędzonkę. Ojciec, przedwojenny rzeźnik, potrafił przygotować smaczne wędliny. Miały one wygląd, zapach i smak, słowem palce lizać.

Cieszyłem się, że wszystkim tak smakowała ta wędzonka z Polski; dobrze, że miałem tego spory poć. Już po drugim wzniesionym przez Saszkę ideowym toaście potoczyła się wartka, otwarta rozmowa. Nawet Wania, zazwyczaj tak oszczędny w słowach, tym razem się rozgadał. Niemniej ważył wypowiedzi, nie rzucał słów na wiatr. Widać w nim było znamię wojny. Brał udział w ciężkich bojach na Węgrzech i był ranny. Był

wtedy jeszcze bardzo młody. Teraz był mężczyzną dojrzałym, dobrze się prezentującym i nadzwyczaj solidnym.

Drugi „frontowik” Stiopa, średniego wzrostu mężczyzna, miał już prawie trzydzistkę, rzadziejące włosy i zaczynał tyć. Miał szczery, otwarty charakter, zdawało się, że czasami bywał zgoła rubaszny. Jak już wspominałem, był ranny w Polsce, na przyczółku sandomierskim. Lubił opowiadać o swoim powodzeniu u Niemek, gdy z jednostką wojskową stacjonował w okolicach Berlina. Stiopa robił na mnie wrażenie nadzwyczaj życzliwego i uczynnego kolegi i takim był naprawdę.

Najmłodszy z nas Sasza, niski brunecik, był zawsze pełen wigoru i najróżniejszych pomysłów. W wojnie udziału nie brał, bo był jeszcze za młody. Za to teraz w czasie studiów dawał z siebie wszystko na niwie pracy społecznej. Był aktywnym działaczem Komsomołu. Ponieważ na wydziale górniczym praktycznie nie było kobiet, więc Sasza, jako przewodniczący koła Komsomołu na swoim roku studiów, wpadł na pomysł, żeby nawiązać kontakty ideowo-towarzyskie z grupą dziewcząt z Komsomołu na Uniwersytecie. Spotykali się na wspólnych zebraniach, razem chodzili do opery i do teatrów. Sasza był urodzonym prowodyrem, ciągle w



Kijów. Pomnik św. Włodzimierza nad Dnieprem. Fot. z 1956 r.

ruchu, wciąż coś tam zamyślał. Dla wszystkich miał otwartą duszę, każdemu chciałby dawać ideowe porady, niekiedy wpadając w ton mentorski. Lubił paradować w górniczym uniformie z błyszczącymi guzikami.

Wszyscy ci koledzy z wydziału górniczego byli porządnyimi, solidnymi ludźmi. Dobrze mi było pośród nich i najlepiej ich zapamiętałem ze wszystkich, z którymi mi przyszło mieszkać podczas studiów w Kijowie. Tak się nie wiedzieć czemu składało, że na każdym roku studiów mieszkałem w innym gronie.

Mieszkał w naszym pokoju także Kola, student wydziału elektrycznego, zawsze gładko ulizany blondynek, często aż do przesady szczotkujący swój ciemny garnitur w jasnoniebieskie prążki. Rzucalo się w oczy, że musiał być niezłe sytuowany materialnie. Naturę miał skrytą i zagadkową. Jeśli już rozmawiał, to tak jakoś półgębkiem, jakby od niechcienia, jak Hindus z wyższej kasty z pariasem. Tak właśnie odnosił się do kolegów z wydziału górniczego, często podkreślając, że oni otrzymują stypendia już za oceny dostateczne. Nie było to moim zdaniem w porządku wobec starszych wiekiem kolegów, którzy narażali swoje życie na froncie, między innymi i po to, żeby Kola mógł teraz studiować. Zwracałem mu na to uwagę, lecz na moje uwagi Kola w ogóle nie reagował. Do rozumu musieli mu w sposób przekonujący przemówić studenci górnicy, bo Kola całkowicie przestał ich nagabywać, jakby czemuś to nabrał do nich szacunku. Za to całą swoją dręczycielską energię ukierunkował na mnie, szczególnie kiedy byliśmy w pokoju sami. [...]

Stosunek Koli do mnie uległ zdecydowanej zmianie po występach w Kijowie Zespołu Pieśni i Tańca „Mazowsze”. Kola na te występy chodził dwukrotnie. Za drugim razem przyszedł jakiś odmieniony i oświadczył, że po prostu zakochał się w tym zespole, a mnie prosi o wybaczenie tych przykrości, które mi dotychczas sprawił oraz że więcej nie będzie już mi dokuczał. I faktycznie słowa dotrzymał.

I tak to dzięki występom polskiego zespołu w Kijowie umorzony został konflikt narodowościowy pomiędzy Polakiem i Ukraińcem. Nie ukrywam, że był on dla mnie bardzo uciążliwy i z jego zakończenia bardzo się ucieszyłem. Dziękowałem w duchu tym tak pięknie i tak wdzięcznie śpiewającym dziewczętom i chłopcom za to, że potrafili skruszyć sumienie mojego gnębiciela Koli.

Należy dodać, iż zespół „Mazowsze” zrobił wtedy furorę w Kijowie. Liryzm piosenek i dynamika tańców

urzekła mieszkańców metropolii nad Dnieprem. Część tego splendoru spadła i na nas, polskich studentów w Kijowie. Serdecznie nam gratulowano, mając na względzie fakt, iż jesteśmy przedstawicielami narodu, który posiada tak pięknie śpiewający i tańczący zespół. W takich okolicznościach przyjemnie było być Polakiem za granicą. [...]

W okresie moich studiów w Związku Radzieckim przywiązywano dużą wagę do zajęć i osiągnięć sportowych. Niezwykle popularni byli sportowcy osiągający rekordowe wyniki na zawodach międzynarodowych. Zawody sportowe organizowano dosłownie wszędzie tam, gdzie istniały zorganizowane grupy społeczne. Lokalnych mistrzów i rekordzistów wyróżniano i otaczano nimbem uznania, ich zdjęcia i nazwiska umieszczano na tablicach dla zasłużonych. W ten sposób dbano między innymi o to, by młode pokolenie było zdrowe i silne, a i zainteresowania ogółu zostały odpowiednio ukierunkowane.

Oczywiście, że i w naszym Instytucie sport był niezwykle popularny i obejmował szerokie kręgi młodzieży. Na terenach uczelni znajdowały się dobrze wyposażone obiekty sportowe. Był także stadion piłkarski.

Pierwszą narodową drużynę piłkarską na Politechnice Kijowskiej zorganizowali studenci węgierscy. W owym czasie ich reprezentacyjna drużyna narodowa znana była w całym świecie, więc oni tutaj w Kijowie także postanowili zaprezentować swoją, niejako narodową wówczas dziedzinę sportu, niezmiennie najbardziej popularną.

Za przykładem bratanków Węgrów poszliśmy i my, Polacy. Kapitanem naszej drużyny, a także jej trenerem został lubiany przez wszystkich kolega Edward Głódź. Po kilku próbnym treningach także i ja, jako bramkarz, wszedłem do polskiej kadry narodowej w Kijowie. Grałem na tej pozycji w szkolnych drużynach w kraju i zdarzało się, że broniełem nawet rzuty karne.

Po kilku treningach graliśmy mecz z Rumunami i wygraliśmy. Kolejny mecz graliśmy z Węgrami i także zwyciężyliśmy! To już był prawdziwy triumf, zważywszy ówczesne pozycje na arenie międzynarodowej naszej drużyny polskiej i węgierskiej. Lecz tutaj, na Politechnice Kijowskiej, to my byliśmy zwycięzcami turnieju. I pyszniliśmy się tym. Przez kilka dni wysoko nosiliśmy głowy, jakby to na czole było wypisane, że to my Polacy jesteśmy zwycięzcami w turnieju piłki noż-

nej. Nawet takie lokalne sukcesy pozytywnie wpływały na poprawę samopoczucia i dawały możliwość podkreślenia własnej tożsamości w otaczającym świecie.

Działali też nasi studenci w kręgach kulturalnych. Istniał międzyuczelniany zespół wokalny studentów polskich. Występowali na wielu imprezach zespołów amatorskich. Popisowym numerem była piosenka „*Umarł Maciek, umarł, leży już na desce*”. Słów piosenek i tak na ogół publiczność nie rozumiała, ale wokalnie wpadała w ucho śpiewany ochoczo przez młodych mężczyzn mazurek. Były zespoły, można powiedzieć, narodowe, lecz nasi studenci występowali także w zespołach swojej uczelni. I tak Janusz Wasilewski tańczył w zespole amatorskim całej Politechniki. Z satysfakcją oglądałem jego występ na scenie opery, nawet przechwalałem się przed siedzącą obok mnie koleżanką z grupy, że to mój kolega, jakby to w tym jego tańcu i moja była zasługa. Janusz dobrze się prezentował. Był szczupłym, proporcjonalnie zbudowanym, ciemnym brunetem z zabójczym wąsikiem. Jakby mało mu było zajęć w innych zespołach, założył jeszcze własny, narodowy zespół taneczny, razem z polskimi studentkami z Uniwersytetu. I ten zespół zdobył także popularność, zapraszano go często na występy do tak licznych wówczas w Kijowie klubów kultury.

Imiennik naszego Janusza W., Janusz L., późniejszy dyplomata, był członkiem reprezentacyjnej drużyny bokserskiej Uniwersytetu. Słowem rozkręciła się wtedy polska młodzież w Kijowie i dawała godne świadectwo o swoim kraju, z którego tak była dumna.

I tak to się toczyło polskie życie w Kijowie. Wszakże przecież najważniejszą sprawą była nauka. Inne zainteresowania miały swój urok i smak tylko wtedy, gdy z nauką wszystko było w porządku. A w Instytucie zajęcia biegły pełnym swoim tokiem: dwugodzinne wykłady, ćwiczenia, zajęcia laboratoryjne i projekty semestralne.

W trzecim semestrze doszły nowe przedmioty, związane już ściślej z zawodem inżyniera, jak chociażby mechanika teoretyczna. Były wykłady plenarne, także ćwiczenia, w czasie których rozwiązywaliśmy konkretne zadania, w tym także i takie, które mogą występować już w praktyce zawodowej. Zadawane były ćwiczenia domowe, jak w szkole średniej. A każdy wykładowca uważał, że właśnie jego przedmiot jest najważniejszy i prawie że jedyny, więc zadawał tyle, jakby

cały czas należało poświęcić tylko na jego przedmiot. Dobrze, że do egzaminów było jeszcze daleko, więc nie przygniatał człowieka ten ciężar stresów, tak charakterystyczny dla czasu sesji egzaminacyjnej.

Zazwyczaj nie zabierałem do Instytutu drugiego śniadania. Nie było takiej potrzeby. Bo jeśli bowiem poczułem się głodny, to mogłem bez kłopotu kupić coś do zjedzenia w licznych kioskach, ustawionych na korytarzach. Najbardziej odpowiadały mi ciepłe pierożki nadziewane powidłami, smażone na oleju słonecznikowym. Mówiono o nich różnie, lecz mnie one smakowały i nigdy nie zaszkodziły. Teraz, gdy tylko o nich pomyślę, to od razu zjadłbym kilka naraz.

Zbliżała się 45. rocznica Rewolucji Październikowej. Mówiło się powszechnie, iż z tej okazji ogłoszona zostanie obniżka cen artykułów spożywczych i przemysłowych powszechnego użytku. Nie zagłębiałem się jeszcze wtedy w arkana ekonomii i nie rozważałem, czy to jest prawidłowe działanie z punktu widzenia ekonomicznego, czy po prostu jest to tylko zwykły chwyt propagandowy. Co by tam nie było, to ze zniżki cen bardzo się ucieszyłem, a była ona znacząca. Była to ostatnia na szeroką skalę zakrojona obniżka cen, jaką pamiętam. Po śmierci Stalina i zmianie ekipy rządzącej były częste korekty cen, lecz zawsze tylko w górę.

Rocznica Rewolucji Październikowej była, jak zwykle, okazją do organizowania spotkań koleżeńskich. Także i moja grupa specjalizacyjna, wtedy jeszcze spawalnicza, spotkanie takie zorganizowała. Był jakiś referat, mała dyskusja, a potem potańcówka przy muzyce z płyt. Na miejsce spotkania wybrano jedną z sal Instytutu.

W grupie naszej było kilka koleżanek, które, jak wszystkie kobiety na świecie, chętnie tańczyły. Próbowaliśmy to z jedną, to z drugą i jakoś mi nie wychodziły te tańczone w bardzo szybkim tempie walczyki. Od tej pory mam do dziś awersję do tańców tańczonych na okrągło. Pomyślałem wtedy sobie, że może dobrze byłoby przynieść swoje płyty, przywiezione z Polski. Do domu studenckiego przecież niedaleko. Wróciłem gdzieś po 20 minutach przekonany, że zrobię koleżankom i kolegom frajdę, bo będą mogli zatańczyć sobie tanga i fokstroty. Ale zaśby tam! Już po pierwszej płycie wszyscy się jakoś dziwnie usztywnili, nawet zaniemówili. Dawali mi do zrozumienia, że nie chcą tańczyć przy moich płytach, nie chcą nawet ich słuchać. Widocznie trąciła im ta cała sprawa zgnitym zachodem i



Kijów. Gmach Poczty Głównej. Fot. z 1956 r.

tutaj na oficjalnym spotkaniu z tak ważnej okazji i to w dodatku na terenie Instytutu chcieli zachować wszelkie pozory ideowości. W lot zrozumiałem sytuację i dałem za wygraną. Zapakowałem więc te swoje gorzące porządnych ludzi płyty do teczki i niech już sobie będą te szybkie walczyki dla ideowego spokoju.

Koleżanek było mniej niż chętnych do tańca kolegów. Były więc ciągle na pełnych obrotach. Zgrzały się i wachlowały zeszytami lub książkami. W sali wyczuwał się zapach silnych perfum i rozgrzanych ciał. [...]

Wiadomo było, iż 7 listopada na Kreszczatiku będzie defilada wojskowa. Chętnie bym ją obejrzał, lecz trzeba mieć zaproszenie, a mnie jak dotychczas wszelkie zaproszenia na ciekawsze imprezy czemuś to omijały.

Za to koledzy zaprosili mnie na prywatkę do znajomych w mieście. Zebrało się kilkanaście osób, byli nawet znajomi, lecz dziewczyny wszystkie, jak jedna, były spoza Instytutu. Było wino, ciastka, kanapki z wędliną i serem, a także słodczyce. Tańczyliśmy przy muzyce z płyt. W tym gronie melodie z moich płyt, tanga i fokstroty, bardzo się podobały. Oczywiście, że przy tych melodiach ja także dobrze się bawiłem. Kolega, który mnie tam ze sobą zabrał, Czesław A., powiedział mi w zaufaniu, że dobrze się spisałem.

Bawiliśmy się wesoło, strzelały korki od butelek z „sowieckim szampanskim”, dziewczyny chętnie przytu-

łały się w tańcu, nie było żadnych referatów i przemówień, tylko liczne toasty, bo jak któryś kolega powiedział: „*это тоже идейная работа*”. Można było sobie pofolgować do rana, gdyż nazajutrz także był wolny dzień. Poznałem na tym balu rudą dziewczynę, która dla kontaktów towarzyskich przybrała sobie wyszukane imię Stella.

W owym czasie ludzie skorzy byli do zabaw. Mieli ustabilizowany byt materialny, skromny bo skromny, ale starczało na utrzymanie i na zabawy. Żywe jeszcze były w pamięci koszmarne lata wojny i ludzie chcieli się jakby nacieszyć życiem i za tamte lata. Ceny były tak skalkulowane, że mimo niskich zarobków każdego było stać na kupno biletów do teatrów, opery czy sal koncertowych. Stać było także na kupno wina i zakąsek oraz na urządzenie przyjęć towarzyskich.

Trudno, bardzo trudno było o mieszkanie, lecz już zaczynał się okres zakrojonego na szeroką skalę budownictwa domów mieszkalnych dla szerokich kręgów społecznych i to było widać w całym mieście.

Również w naszym polskim Konsulacie nie pominięto okazji do obchodów uroczystości. Była akademicka, skromna poczęstunek, a potem coś w rodzaju potańcówki. Partnerka do tańca była jak na lekarstwo. Ozdobą towarzystwa była żona konsula. [...]

Doszedłem do wniosku, że tylko nauka może przywrócić równowagę ducha. Postanowiłem solidniej przyłożyć się do nauki języka rosyjskiego. Jeśli już przyszło studiować w tym języku, to wypada się nim poprawnie posługiwać w kontaktach z wykładowcami, a także nie robić rażących błędów w opisach projektów. W Instytucie prowadzono lektorat tego języka dla nas, studentów zagranicznych. Przedmiot ten zaliczono nam jako język obcy i ocena z tego przedmiotu figurowała na załączonym do dyplomu wykazie ocen.

W nauce języka rosyjskiego pomagało samo przebywanie w otoczeniu, gdzie rozmawiano w tym języku. Po rosyjsku prowadzono wykłady na Politechnice, w tym też języku napisane były książki, z których korzystaliśmy na co dzień. Tylko niektórzy autorzy książek z zakresu techniki wydawali je w języku ukraińskim. Również nieliczni tylko studenci narodowości ukraińskiej rozmawiali ze sobą w języku ojczystym, będąc w szerszym gronie.

Na egzaminie z języka rosyjskiego otrzymałem najwyższą ocenę. Lecz praktycznym sprawdzianem stopnia mojej znajomości tego języka był egzamin z mechaniki teoretycznej. Otóż egzaminator z tego przedmiotu nie poznał, że jestem „inostrancem” (cudzoziemcem). Dopiero gdy po wpisaniu oceny do indeksu, widząc jej wartość uszczęśliwiony odruchowo podziękowałem po polsku, egzaminator pogratulował mi dobrej znajomości przedmiotu oraz biegłości w posługiwaniu się językiem rosyjskim. Zapytał także, czy znam jeszcze jakiś inny język obcy? Odpowiedziałem, iż kilka lat uczyłem się języka francuskiego. Mój rozmówca na szczęście nie próbował nawiązać konwersacji w tym języku.

Sesja zimowa po trzecim semestrze jakoś mało utkwiała mi w pamięci, ponieważ nie dała mi się specjalnie we znaki. Umiałem już przygotowywać się do egzaminów i nauczyłem się je zdawać. Jak zwykle nie pchałem się nigdy na pierwszy ogień i z zainteresowaniem służyłem relacji tych, co wychodzili z sali po egzaminie. Mówili o swoich pytaniach z wyciągniętej kartki, a także o zadawanych pytaniach dodatkowych. Można się było sporo nauczyć. W takich bowiem sytuacjach mózg pracował wyjątkowo sprawnie, był chłonny jak gąbka, łatwo zapamiętywał wiadomości, które się mogły zaraz przydać, jak chociażby odpowiedzi na pytania dodatkowe. Ważne było i to, że jak po latach stwierdziłem, ta wiedza, zdobyta jakby pod napięciem, najtrwalej zachowała się w głowie. Do dziś pa-

miętałem wiele z tych wiadomości, zasłyszanych na korytarzu przed salą egzaminacyjną. Zawsze zapamiętywałem łatwiej to, co usłyszałem.

Wszystkie egzaminy w tej sesji zdałem na najwyższe noty. Mogłem więc ze spokojem oczekiwać zebrania studentów polskich na Politechnice dotyczącego wyników w nauce po półroczu. Czego by tam nie wymyślili nasi aktywiści, lecz do mojej postawy w nauce czepić się nie mogli i to była rzecz podstawowa.

Na początku IV semestru w lutym 1953 r. otrzymałem wezwanie do dziekanatu. Nie podano na nim w jakiej sprawie, więc przez kilka dni całkiem niepotrzebnie się niepokoiłem. Może Kola naskarżył wcześniej o moim nacjonalizmie? Tak się przecież odgrażał. Może ktoś doniósł o tych moich płytach i tańcach kosmopolitycznych? Ależ to przecież bzdura i nie jest to sprawa dziekanatu. Egzaminy zdałem i to na wysokie noty. O co więc może tu chodzić? Swoimi rozterkami z nikim się nie dzieliłem, bo zaraz byłyby domysły, może nawet próby wywołania strachu, robienie z igły widel.

Nie każde jednak wezwanie do tak wysokiego dla studenta „urzędu” wiąże się tylko ze sprawami przykrymi, czasem mogą to być przecież także sprawy przyjemne. Tak właśnie było i tym razem. Stojąc na dywaniku przed sekretarką zostałem poinformowany o niezwykle ważnej dla mnie, i to bez przesady w skali całego życia, sprawie, na rozwiązanie której oczekiwałem niecierpliwie przez cały III semestr i już nawet zwątpiłem w jej pozytywne załatwienie.

A jednak! Z Ministerstwa Szkolnictwa Wyższego wpłynął wniosek o przeniesienie mnie na wydział elektryczny Politechniki Kijowskiej i rektor Politechniki wyraził na to zgodę. Ależ się ucieszyłem! Sekretarka powiedziała, iż jest jej przykro, że z takim entuzjazmem odchodzę z jej wydziału. Przeprosiłem ją, jak tylko to zrobić umiałem. Pobiegnę z miejsca do dziekanatu wydziału elektrycznego, jakby mi skrzydła wyrosły.

Był to bardzo ważny w moim życiu punkt zwrotny, znamienity aż po kres pracy zawodowej. Tak ogólnie rzecz biorąc, to mi w życiu nic łatwo nie przychodziło, ale gdy się już do czegoś przyłożyłem, to udawało mi się coś wyrwać z życia także dla siebie. Tak było i w tym przypadku: spełniły się moje marzenia życiowe, gdy jeszcze w dzieciństwie myślałem o tym, żeby budować takie maszyny elektryczne, które wytwarzają prąd, jak to widziałem w małej elektrowni w moim miasteczku.

A do specjalności spawalnika nie miałem ani serca, ani przekonania.

Z mechaniką jednak nie zrywałem całkowicie, bowiem zgodnie z moim życzeniem zostałem przydzielony do grupy elektromechaników o specjalności „maszyny elektryczne”. Program nauczania był taki, żeby przyszły absolwent miał wiedzę zarówno z dziedziny elektrycznej, jak i mechanicznej. Potrzebne to było do wykonywania w przyszłości wyuczonego zawodu.

Były to te wzniosłe aspekty zmiany kierunku specjalizacji, ale niestety były też i sprawy przyziemne. Otóż w wyznaczonym terminie trzech miesięcy trzeba było zdać egzamin z teoretycznych podstaw elektrotechniki, w zakresie materiału wykładanego w III semestrze. Na wykłady z tego przedmiotu dotąd nie uczęszczałem, byłem przecież na wydziale mechanicznym. A był to przedmiot niezwykle trudny, szczególnie w początkowym okresie jego nauczania. [...]

Uznając zasadę, że chcieć to móc, nastawiłem całą swoją wolę i całą zawziętość do nauki na potrzebę przygotowania się do egzaminu z całkowicie nowego dla mnie przedmiotu podstaw elektrotechniki. Nie miałem własnych notatek z wykładów, bo przecież na nie nie uczęszczałem. Wypożyczyłem więc konspekty od nowego kolegi, o którym powiedziano, że na pewno

prowadził je dobrze. Wypożyczyłem też z biblioteki stosowny podręcznik. A swoją drogą to biblioteka w Instytucie była zasobna w podręczniki, wystarczyło dla wszystkich, którzy ich potrzebowali. Przy bibliotece była duża porządnie utrzymana czytelnia, w której był taki nastrój do nauki, że aż chciało się tam studiować.

Wypożyczony podręcznik to było dużego formatu tomisko, grube i ciężkie, solidnie oprawione w trwałe, kartonowe okładki koloru jasnożółtego. Taka księga samym swoim wyglądem budziła respekt do zawartej w niej wiedzy.

Już po tygodniu zorientowałem się, że nauka tego przedmiotu to faktycznie nie przelewki. Nie da się tego ot tak po prostu „wyrpać na blachę”. Trzeba tę wiedzę przegryźć i poukładać w głowie. Zdawałem sobie sprawę z tego, iż było to kolejne moje „*być albo nie być*”. Uczyłem się więc tych podstaw mego przyszłego zawodu wszędzie, w każdej wygoszparowanej chwili, często kosztem innych przedmiotów wykładanych na bieżąco, w tym także kolejnych rozdziałów podstaw elektrotechniki. Nawet na spacerach usiłowałem przypomnieć sobie przeczytany uprzednio rozdział, analizowałem wzory i zależności. Wcześniej już wypraktykowałem, iż taki sposób nauki jest dla mnie najbardziej skuteczny. Niemniej otwarcie muszę przyznać, że ta



Kijów. Rada Miejska. Fot. z 1958 r.

nowa dla mnie dziedzina wiedzy na początku nie wchodziła mi łatwo do głowy. Brak było podkładu, który otrzymuje się podczas słuchania wykładów.

Tak więc znów, podobnie jak w roku ubiegłym, stałem się odludkiem, mój świat zawęził się do nauki, posiłków i snu. Nie zrezygnowałem ze spacerów, a wręcz przeciwnie, zwiększyłem ich zasięg. Żyłem zatem jak zakonnik o ścisłej regule. [...]

Jak to zwykle bywa, po momentach kryzysowych przychodzą przesilenia. Zacząłem się obawiać, że z moją pamięcią zaczyna dziać się coś niedobrego; wydawało mi się, że powstają w niej jakby czarne dziury. Ale to przeszło i pojaśniało w głowie, jak gdyby jakiś opór został przełamany. Gdzieś po dwóch miesiącach tej wyczerpanej nauki doszedłem do wniosku, że już dosyć tego, że mam już spory zasób wiedzy i należałoby spróbować zdać ten trudny egzamin, bo dłużej to już trudno jest wytrzymać w takim napięciu.

Zgłosiłem się więc do kierownika katedry profesora Iwana Mironowicza Czyżenki, nieśmiało prosząc o wyznaczenie terminu egzaminu. Profesor, uświadomiwszy sobie o co mi chodzi, przejrzał skrupulatnie terminarz swoich zajęć i wyznaczył mi termin za kilka dni.

Rzeczowy i życzliwy profesor maglował mnie dobre pół godziny. Powtórzyliśmy przy okazji prawie cały zakres materiału i profesor nawet mnie pochwalił, lecz

do indeksu wpisał ocenę nie najwyższą. Nie było to w danej chwili tak bardzo istotne. Najważniejsze, że zdałem ten tak trudny egzamin, i że stałem się już pełnoprawnym studentem wydziału elektrycznego. Dalej na pewno będzie już łatwiej. Aby do wiosny, świat na pewno będzie wtedy piękniejszy. [...]

W czasie, kiedy ja z niesłychanym samozaparciem uczyłem się podstaw elektrotechniki, miało miejsce historyczne wydarzenie, które zdecydowanie wpłynęło na stopniową zmianę stosunków politycznych w znacznej części świata. Zmarł Józef Stalin. W dniu 5 marca 1953 roku podczas wykładu do dużej auli wszedł docent z katedry nauk społecznych i poprosił wykładowcę o przerwanie zajęć. Miał załzawione oczy i obolałym głosem oznajmił: „Товарищ Сталин скончался”. Zapanowała grobowa cisza, nikt się nie odezwał i dopiero po kilku minutach wykładowca znów kontynuował wykład, lecz jakże zmienionym głosem.

Komunikaty o złym stanie zdrowia Stalina podawane były już od dłuższego czasu. A teraz oto stało się! Zapanował żałobny nastrój, głęboki smutek i żal widoczny był na twarzach wielu studentów, szczególnie tych, co walczyli na frontach drugiej wojny światowej. Nie taili, że szli do śmiertelnych ataków z imieniem



Kijów. Wystawa przemyslovo-rolnicza. Fot. z 1958 r.

Stalina na ustach: „*За Родину, за Сталина, вперед!*”. Stalin tego nie zapomniał, umożliwił im łatwiejszy dostęp do studiów na wyższych uczelniach.

Sasza, kolega z pokoju, działacz Komsomołu, miał taki wyraz twarzy, jakby przeżywał utratę kogoś naprawdę bliskiego. Głęboki smutek widoczny był na twarzach wielu ludzi przygodnie spotykanych na ulicy, w tramwajach, czy w sklepach. Żal okazywali też studenci zagraniczni, w tym również niektórzy Polacy. [...]

Przez kilka dni radio nadawało żałobną muzykę i komunikaty o tłumach ludzi wędrujących pieszo po kilkadziesiąt kilometrów do Moskwy, żeby wziąć udział w pogrzebie.

W owym czasie o zbrodniach Stalina niewiele wiadano i miał on wielu zwolenników, szczególnie wśród ludzi, którzy nie zajmowali się polityką. Ludzie próci mieli dostęp do nauki, do kultury, mieli zapewnioną pracę i całkiem znośny standard materialny. W imieniu Stalina szli do boju i ginęli. Ci, co przeżyli, mogli cieszyć się zwycięstwem i potęgą militarną swojej ojczyzny. Teraz, po śmierci Stalina, ludzie ci poczuli się jakby osieroceni.

Po rewolucyjnej zawierusze Stalin poprowadził wielonarodowe społeczeństwo według zupełnie nowych, nie sprawdzonych reguł gospodarczych i polityczno-społecznych. Na porewolucyjnych gruzach i zgliszczach, kosztem ogromnych wyrzeczeń, zbudowano przemysł ciężki, podstawę późniejszej potęgi militarnej kraju. Poprzez rozwój szkolnictwa i wszelkiego rodzaju kursów zlikwidowano analfabetyzm i ogólnie podniesiono poziom cywilizacyjny obywateli. Synowie zacofanych wieśniaków i pastuchów nauczyli się wytwarzać solidne armaty, tanki i samoloty. Nauczyli się także skutecznie nimi posługiwać i walczyć na śmierć i życie. Jako pierwsi w Europie zatrzymali na lądzie śmiertelnych najeźdźców faszystowskich, a potem ich zwyciężyli. Mieli czym walczyć i zwyciężać. A ci, co tak krytykowali zawzięcie wszystko co sowieckie, niestety, walczyć z nawałą hitlerowską nie byli w stanie. Po zwycięstwie stalingradzkim odetchnęły narody i to nie tylko w Europie. Ileż to bowiem narodów, w tym także i naród polski, było przeznaczonych na całkowite lub częściowe wyniszczenie. Największe ówczesne potęgi składały hołdy Stalinowi i narodom ZSRR za ich postawę w wojnie z hitlerowskimi Niemcami.

W owym czasie szerokiemu ogółowi znane były tylko pozytywne strony działalności Stalina. O tym, że z woli Stalina torturowano w łagrach i więzieniach mi-

liony ludzi, że wielu z nich umarło z głodu, chorób i wycieńczenia lub po prostu zostało zastrzelonych w tył głowy, społeczeństwo dowiedziało się w szerszym zakresie z referatu Nikity Siergiejewicza Chruszczowa, wygłoszonego na XX Zjeździe KPZR w marcu 1956 roku, a więc po trzech latach od śmierci Stalina. Panujące w łagrach warunki opisał szczegółowo Sołżenicyn w swoich książkach. Gdy je czytałem, byłem wstrząśnięty i przerażony. Po ujawnieniu prawdy o reżimie sowieckim, Stalin, którego uprzednio gloryfikowano, nieomal jak patrona narodów, teraz okazał się okrutnym katem własnego społeczeństwa. Wypaczył też ideały socjalizmu. [...]

W pracowitym, codziennym życiu studenckim na Politechnice nie było czasu na dłuższe refleksje polityczne. Nauka pochłaniała całą energię i z konieczności trzeba było izolować się prawie od wszystkiego, co z nauką nie było związane. Stała się ona treścią dnia codziennego i świątecznego. I tylko świadomość, że nie idzie ona w las, przynosiła satysfakcję.

Po zdaniu egzaminu z podstaw elektrotechniki z dużym zainteresowaniem słucałem wykładów z tego przedmiotu, prowadzonych przez prof. I.M. Czyżenkę. Nie sposób wyrazić słowami atmosfery panującej na sali, gdy ten wybitny uczony w sposób logiczny i przystępny wprowadzał nas w tajniki zjawisk elektromagnetycznych, ujętych w matematyczne reguły. Słuchaliśmy tych wykładów z przejęciem i z zapartym tchem, w nabożnym skupieniu, żeby tylko nic nie uronić. Miałem świadomość tego, iż to właśnie podczas takich wykładów niejako samoistnie dokonuje się misterium nasycania mózgu wiedzą techniczną, i co za tym idzie, stopniowe zdobywanie kwalifikacji inżynierskich. Procedurą tego procesu było usiłowanie zrozumienia treści wykładu, nadążanie za tokiem myśli profesora i sporządzanie notatek. Wszystko to wymagało maksymalnej uwagi i pełnej koncentracji mózgu.

W interesujący sposób prowadzone były także wykłady z innych przedmiotów. Prowadzili je z reguły wybitni profesorowie, często uznani w świecie uczeni. Wykładów, ćwiczeń i zajęć laboratoryjnych z przedmiotów technicznych praktycznie nigdy nie opuszczałem. Zdawałem sobie bowiem sprawę, iż to właśnie podczas tych zajęć, niejako z dnia na dzień, staję się powoli inżynierem, że solidne, systematyczne wykonywanie studenckich powinności kształtuje charakter i przysposabia do przyszłej pracy zawodowej.

I tak to biegły dni polskiego studenta w Politechnice Kijowskiej. O tym, co działo się w świecie, człowiek dowiadywał się z głośnika radiowego, zainstalowanego w pokoju lub z polskich tygodników, które otrzymywało się z kilkudniowym opóźnieniem. Gazet codziennych prawie nie czytałem, zresztą nikt z kolegów w pokoju ich nie kupował. Gazety były w pokoju do nauki, lecz bardzo rzadko je przeglądałem, ot czasami kolumnę sportową.

Niektórzy koledzy, żeby czuć się bliżej świata, kupowali sobie radia, wtedy lampowe. Mogli słuchać muzyki z całego świata i mieli łączność z krajem; u nich można się było dowiedzieć, co tam w kraju dzieje się nowego. A wieści były zarówno złe, jak i dobre.

Taką dobrą, a nawet bardzo dobrą wiadomością z kraju, podaną pod koniec marca 1953 roku, była informacja o zwycięstwie naszej polskiej drużyny bokserkiej w Mistrzostwach Europy w Warszawie. Dowiedziałem się o tym na ulicy. Wracałem właśnie z zakupów, które co dnia dokonywałem w sklepie na „*ugolkie*”. Miałem w swojej przepastnej teczce zwanej przez radzieckich kolegów teką ministerialną: świeżutki „*baton*” (długa bułka pszenna), masło i 300 gramów pokrojonej nożem w plasterki grubej kiełbasy. [...]

Kiedy tak sobie szedłem i rozmyślałem o rozkoszach podniebienia, zobaczyłem z przeciwka Edka G., jak sady wielkimi susami, prawie podskakując. Widać było od razu, że jest z czegoś bardzo zadowolony. W roku ubiegłym widywaliśmy się codziennie, mieszkaliśmy bowiem w tym samym domu studenckim i studiowaliśmy na tym samym wydziale mechanicznym. Teraz mieszkaliśmy w różnych domach studenckich, a odkąd ja przeniosłem się na wydział elektryczny, rzadko widywaliśmy się, także w Instytucie. [...]

Usłyszałem, jak już z odległości kilku kroków zawołał donośnie:

– *Józiu, nasi góra, wygraliśmy Mistrzostwa Europy w Boksie.*

Otóż okazuje się, że nasi bokserzy zdobyli aż pięć złotych medali na rozegranych w Warszawie w Hali Mirowskiej Mistrzostwach Europy w Boksie. Polscy pięściarze pokonali tyle silnych drużyn europejskich i to właśnie dla nas, tu w Kijowie, miało niewymierne wprost znaczenie. Dla mnie wiadomość ta była wręcz bombowa. Ja bowiem także kilka lat temu próbowałem swoich sił w boksie i wiedziałem, że jest to sport męski i twardy.

W przypiływie wybuchu spontanicznej radości wyściskałem Edka. Takie chwile zacieśniają więzy kole-

żeńskie i nie tylko, rośnie także poczucie dumy narodowej, człowiek jest dumny z tego, że jest Polakiem. Boks to nie żadne tam plucie na odległość i sukces naszych bokserów świadczy, że jesteśmy narodem silnym i twardym. Będzie się czym chełpić nie tylko wśród kolegów radzieckich, lecz także i wśród Czechów, Węgrów i Rumunów. Chwała wam za to kochani chłopcy, wychowankowie trenera Feliksa Stamma!

W kwietniu nastąpiły ciepłe i słoneczne dni. Czuło się, że wiosna już nadeszła na dobre. Stepowy wiatr osuszył ulice i parkowe ścieżki. W szatniach pozniakały kalosze, noszone zazwyczaj w słotne dni przez wykładowców i niektórych studentów. W szatni były specjalne wycięcia na kalosze u dołu stojaków na płaszcze. Z tą modą nigdy nie mogłem się oswoić, zawsze mnie to intrygowało, a nawet śmieszyło. Koledzy z miasta twierdzili, że to nawyk z dawnych czasów, gdy na ulicach w dni wilgotne było dużo lepkiego błota. Mazał się rozmiękły pył nawiany ze stepu. W czasie roztopów będąc w kaloszach ma się później, po ich zdjęciu przed wejściem do pomieszczenia, suche i czyste buty. W moich czasach ulice i chodniki były już utwardzone i utrzymywane w czystości, niemniej zwyczaj noszenia kaloszy jeszcze przez jakiś czas był praktykowany. Wyprzedzając fakty należy dopowiedzieć, że gdy byłem już na piątym roku studiów, kalosze na zwykłych butach nosili już tylko nieliczni.

Zbliżały się kolejne święta 1 Maja. Będą znów dwa wolne dni. Jak zwykle planowane były różne imprezy. W naszej grupie uczelnianej przewodniczący związku zawodowego organizował zbiorowe pójście do opery na „*Carmen*” Bizeta. Ja, jako obywatel obcego państwa, nie należałem do żadnej radzieckiej organizacji – ani związkowej, ani politycznej. Niemniej na propozycję wspólnego pójścia z koleżankami i kolegami do opery chętnie przystałem. Przed przyjazdem do Kijowa praktycznie nie miałem żadnych możliwości uczęszczania do opery i nie miałem nawyków do odbioru tego rodzaju sztuki.

W Kijowie w owym czasie zarówno balet, jak i opera reprezentowały wysoki poziom artystyczny i były popularne w szerokich sferach społeczeństwa. W dni powszednie do opery przychodzili ludzie bezpośrednio po pracy, czy też ze szkół. Przychodzili w gronie swoich znajomych. Przychodziły zakochane pary, żeby razem przeżyć artystyczne uniesienie. Przychodziły również osoby samotne, żeby spędzić swój wolny czas w

kulturalny sposób. Mnie także urzekał ten wszechobecny tutaj artystyczny nastrój. Tworzyły go artyzm wnętrza, gra wybitnych muzyków i aktorów, i pogodne, uduchowione twarze widzów. Budziły się w człowieku artystyczne zakamarki osobowości, człowiek stawał się tutaj jakby lepszy i szlachetniejszy. Dbano także i o to, by zwykłe ludzkie potrzeby były w miarę ówczesnych możliwości zaspokajane na wykwinnym poziomie. Podczas przerw można było kupić w barach gustownie przyrządzone kanapki z kawiozem, jak również najlepsze słodycze.

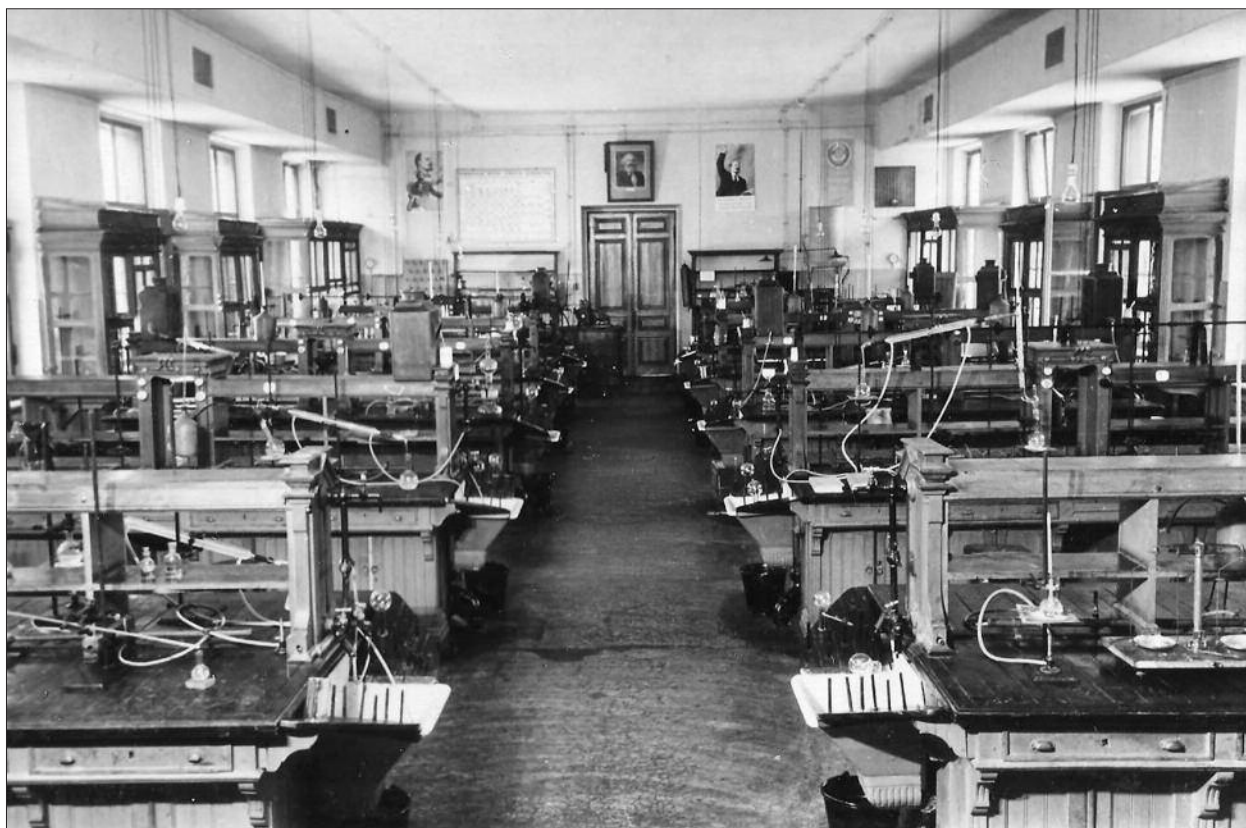
Do opery szło się w przyjaźnie i życzliwie usposobionym towarzystwie, toteż przy końcu spektaklu robiło się przykro, że oto ten przyjemny czas za chwilę już się skończy. Jeszcze na zewnątrz można było podtrzymywać nastrój, podziwiając kunszt artystyczny frontonu budynku opery. Zbudowany został on w latach 1897–1901 według projektu W.A. Szretera.

Po spektaklu byłem w podniosłym nastroju i nie chciało mi się wracać od razu do szarżyny życia codziennego w domu studenckim. Był ciepły kwietniowy wieczór, wymarzony czas na spacer. Dookoła pachniało wiosną. Zadziwiały swoją krasą i tajemniczością nabrzmiałe pąki kasztanów. Topole i brzoźki podświetlone latarniami ulicznymi urzekały delikatnym

odcieniem świeżej zieleni. Kręciło się od tej wiosny w młodej studenckiej głowie. To już druga moja wiosna w Kijowie. Poprzednia przeminęła tak z dnia na dzień, jakby przeciekając przez palce. Przytłumił ją natłok zajęć na uczelni. Teraz, po zdaniu pierwszego egzaminu z podstaw elektrotechniki, myśli nie były już takie skołatanie i weselej spoglądałem na świat. Cóż, kiedy i tę wiosnę przyjdzie spotykać samotnie, nie będzie do kogo szepnąć czulego słówka, ani się takiego słowa nie usłyszy od bliskiej sercu osoby...

W tak melancholijnym nastroju skręciłem na Kreszczatik. Tutaj zwykle o tej porze, i to aż do północy, tłumnie spacerowali mieszkańcy tego pięknego miasta. Ludzie jakby chcieli nacieszyć się atmosferą pokoju po okrutnej wojnie, wciąż tkwiącej w pamięci. Już za dziesięć dni, 9 maja, minie 8 lat od jej zakończenia, a na jesieni będzie 10. rocznica wyzwolenia Kijowa. Miasto wciąż jeszcze goiło swoje rany odniesione w czasie działań wojennych. W miejsce zburzonych budynków wyrastały nowe, solidne bloki.

Na Kreszczatiku, centralnej ulicy miasta, widoczne były przygotowania do obchodów 1 Maja. Wznoszono trybunę, rozwieszane były transparenty i szturmówki. Zrobiło się kolorowo i odświętnie. Chciałoby się zawołać: „*Niech żyje wiosna, niech żyje 1 Maja!*”.



Kijów. Laboratorium chemiczne Politechniki Kijowskiej. Fot. z 1959 r.

Gdy przechodziłem obok baru, przyszło mi na myśl, że dobrze byłoby tam wstąpić i coś przekąsić. Bar nazywał się „Kafe”, ale nie była to kawiarnia taka, gdzie ludzie przy stolikach popijają sobie kawę i prowadzą pogawędki towarzyskie. Tutaj zachodziło się, żeby coś zjeść, głównie jadało się cienkie parówki z bułeczką lub inne lekkie dania. Oczywiście była też herbata i kawa, ale pito ją zwykle szybko i wychodziło się, żeby innym zrobić miejsce, bo lokale te cieszyły się powodzeniem i frekwencja była duża. Było w nich czysto i schludnie. [...]

Wiosna rozkwitła na całego także w parku przy Instytucie. Ozdobne krzewy i drzewa okryły się kwieciami połyskującym w słońcu na tle soczystej zieleni. Gdy przechodzi się przez park, żywiej bije młode serce studenta, w duszy budzą się atawistyczne ciągoty i marzenia. Człowiek potrzebuje miłości, szczególnie gdy jest młody, a na świecie jest wiosna. Ale cóż, po krótkiej zadumie coś nakazuje, że trzeba iść dalej, na wykłady starszych wiekiem profesorów, mniej czułych na uroki wiosny.

A i czas egzaminów się zbliżał. Oj doloż, ty dolo studentka! Ileż to wyrzeczeń trzeba ponieść w młodości, żeby wyuczyć się na inżyniera! Teraz właśnie, gdy wiosna, trzeba wkuwać nauki ściśle. Przynależem sobie, że po studiach na wiosnę będę siadywał na ławeczkach

w parkach, będę kontemlował piękno przyrody i słuchał śpiewu ptaków. Tylko czy po latach będzie to sprawiało tak wielką przyjemność jak w młodości? Niestety, młode lata już nie wrócą. Ale cóż, służba nie druźba, nie można zanadto rozklejać się ani puszczać wodzy „wiosennym marzeniom zdradnym”. Trzeba dalej iść obraną drogą.

Właśnie zaczęły się już pierwsze zaliczenia. Niektóre z nich miały rangę sprawdzianu znajomości materiału z danego przedmiotu, z którego nie został przewidziany egzamin. Te były wpisywane do indeksu bez oceny. Inne znów były tylko sprawdzianem przed egzaminem, jakby kwalifikowały dopuszczenie do egzaminu.

Zawsze interesowały mnie wiadomości o wydarzeniach w szerokim świecie. O niektórych dowiadywałem się z polskiej prasy, która, rzecz jasna, przychodziła z opóźnieniem. I tak gdzieś na początku czerwca przeczytałem, iż 29 maja 1953 roku został zdobyty najwyższy szczyt świata Mont Everest o wysokości 8848 metrów. Zdobyli go alpinści z wyprawy brytyjskiej E.P. Hilary (Nowozelandczyk) i Tenzing (Szerpa). Było to akurat w dzień koronacji królowej brytyjskiej Elżbiety II. Była to wiadomość bardzo ciekawa. Świadczyła, że świat nie kończy się tylko na Związku Radzieckim, jak to by wynikało z codziennych audycji podawanych przez głośnik radiowy w pokoju.



Kijów. W czytelni biblioteki Politechniki Kijowskiej. Fot. z 1959 r.

W okresach sesji egzaminacyjnych człowiek niejako automatycznie mobilizował się do stojących przed nim pięciu, a czasami więcej egzaminów. Przekonałem się, że wiosną mimo wszystko nauka przychodzi łatwiej niż zimą. Zarówno mózg, jak i cały organizm są bardziej dotlenione i pracują sprawniej. Częściej wietrzono były sale wykładowe, jak również pokoje w domach studenckich. Można także było zaszyć się z książkami i zeszytami w zielonych zakamarkach parku. Ja naprawdę czułem się zdecydowanie lepiej, gdy przestawały grzać kaloryfery. Podobnie jak sesja zimowa, tak i teraz sesja wiosenna nie wyczerpała mnie już tak, jak to było wiosną ubiegłego roku po egzaminie z chemii.

Po kilkutygodniowej harówce, po ostatnim egzaminie tak jakoś dziwnie zrobiło się na duszy, że to już po wszystkim, że zaczynają się wakacje. Wszakże z satysfakcją uświadomiłem sobie, iż zaliczyłem drugi rok studiów na Politechnice Kijowskiej, że w indeksie figurują same wysokie oceny. Gryzł człowiek tę naukę i to z dobrym skutkiem.

Po egzaminach pozostałem kilka dni w Kijowie, żeby popatrzeć na to miasto, które wciąż bardziej i bardziej mi się podobało. Już nieraz uświadamiałem sobie, że dobrze się tutaj czuję, prawie jak u siebie w domu, prawie jakbym był członkiem tutejszej społeczności. A społeczność ta była dobrze zorganizowana. Młodzi uczyli się, dorośli pracowali, a emeryci przesiadywali na ławeczkach w parkach lub w ciepłe dni na plażach nad Dnieprem. Obowiązki i zadania mieli wszyscy, po prostu mieli wytyczony cel w życiu. A po wypełnieniu swoich obowiązków było gdzie spędzić przyjemnie wolny czas.

Widać było, że życie toczy się pod kontrolowanym nadzorem, nie było widać ani zataczających się pijaków, ani zaniedbanych łazęgów. Praktycznie nie widać było milicji, poza drogową. To układowe zachowanie się ludzi było wynikiem samokontroli w ramach organizacji społecznych.

Rzecz oczywista, nie wszystko było tak zupełnie cacy. Strzec się należało kieszonkowców, specjalistów od dyskretnego zdejmowania zegarków. Ale nocą po ulicach można było iść w sobie tylko wiadomym celu i czuć się bezpiecznie. Nie należało wszakże przesadzać z tą ufnością i zagłębiać się w nieoświetlone, rzadziej uczęszczane zakamarki parków. Można się było tam pozbawić jeśli już nie całej odzieży, to choćby jej części. Szczególnie miało to miejsce w ciągu kilku miesięcy po

ogłoszeniu amnestii po śmierci Stalina. Ale szybko uporano się i z tym problemem.

A tak na co dzień to odnosiło się wrażenie, iż ludzie opanowani są ideą wzajemnego samoulepszenia się. Często zdarzało się słyszeć uwagi zgłaszane pod adresem pasażerów w środkach lokomocji, czy do oczekujących w kolejkach sklepowych o naruszaniu dobrych norm społecznego współżycia i to skutkowało. A ciągoty do złego, chociażby do małej psoty, korciły prawie każdego. Zwrócona publicznie grzeczna uwaga od razu przywoływała delikwenta do porządku.

Wyjątkowo skutecznie uporano się z zaśmiecaniem ulic łupinkami pestek słonecznika. Te prażone pestki jedli naoczas prawie wszyscy młodzi i dorośli, wypływając łupinki na wszystkie strony. Miejsca dla publiczności na stadionach były po meczach pokryte szarą warstwą łupinek. Także chodniki spacerowe na Kresczatiku były tym zaśmiecone. Dyskutowano długo na ten temat i postanowiono z tym skończyć. Zaapelowano do mieszkańców, żeby nie wyrzucali łupinek w miejscach publicznych i poskutkowało od razu. Łupinki po pestkach chowano do torebek lub do kieszeni, a potem wyrzucano je do pojemników na śmieci. Moralisci nie przepuścili nikomu, kto by się odważył po dawnemu wypływać łupinki na ulicę.

Faktem było, że chodniki były tak czyste, że żartowano nawet, iż siadając na chodnik można go było zabrudzić. Nie zrywano kwiatów z licznych rabatek i gazonów wzdłuż ulic i alejek parkowych, nie łamano ławek, nie rozbijano kloszy lamp oświetleniowych, nie uszkodzono automatów z wodą gazowaną i nie zabierano szklanek. Bardzo mi się podobał taki porządek.

Tę czystość w Kijowie można uważać za drobiazg, ale przecież świadczyła ona naocznie o poziomie kulturalnym społeczeństwa w życiu codziennym. A życie kulturalne na wyższym poziomie to była kijowska opera i filharmonia, reprezentujące w owym czasie bardzo wysoki poziom artystyczny. Nie świeciły one pustkami, nawet w robocze dni tygodnia. [...]

Trzeba však powrócić do moich spraw. Pora już jechać do domu. Tam ojciec na pewno czeka z utęsknieniem i codziennie wychodzi na przystanek autobusowy. I chociaż dzieli nas ponad 1000 km, to jakby przez telepatię czuję, iż ktoś czeka na mnie i mnie wzywa. Więc sakum-pakum i w drogę do domu, do swoich bliskich. [...]

Zachowano pisownię oryginału

100. ROCZNICA NIEPODLEGŁOŚCI POLSKI

TWÓRCY NIEPODLEGŁEJ (CZ. III)

Józef Piłsudski, Roman Dmowski, Ignacy Jan Paderewski, Wincenty Witos, Ignacy Daszyński, Wojciech Korfańty – to wielcy Polacy, którzy współtworzyli odrodzoną po 123 latach niewoli Polskę. Reprezentowane przez nich obozy polityczne obierały różne drogi odzyskania wolności i w sposób odmienny sobie ową niepodległość wyobrażały, jednak mimo wszelkich różnic ideowych, stawiały sobie za cel pierwszoplanową Polskę niepodległą. Ich rola w odzyskaniu i odbudowywaniu polskiej państwowości jest nieoceniona. Należy jednak mieć świadomość, że pojawienie się Polski na mapach Europy po blisko 123 latach nieobecności zawdzięczamy szerokim masom naszych Rodaków. Wszystkim tym, którzy przelewali krew w powstaniach i bitwach I wojny światowej i późniejszych walkach o ostateczne ukształtowanie granic. Tym wszystkim, którzy swoją codzienną pracą u podstaw stworzyli podwaliny gospodarki odrodzonego państwa. Ludziom nauki, kultury i sztuki, którzy przez ponad 120 lat nie tylko nie zapomnieli o Polsce, ale wręcz przeciwnie, krzewili narodową kulturę i nie pozwolili polskości przeminąć w pomroce dziejów. Kiedy w 1905 roku Henryk Sienkiewicz odbierał nagrodę Nobla za całokształt twórczości, do zgromadzonych w sali słuchaczy tak powiedział o swojej Ojczyźnie: *„Głoszono ją umarłą – a oto jeden z tysięcznych dowodów, że ona żyje, głoszono ją podbitą, a oto nowy dowód, że do podbojów jest zdolna”*. Niech słowa naszego wybitnego pisarza będą inspiracją także dla dzisiejszego pokolenia Polaków. Niech Polska żyje, a jej obywatele każdego dnia dowodzą światu, że nie ma dla nich rzeczy niemożliwych i nie ma takiej siły, która złamałaby ich ducha. Dokładnie tak, jak 100 lat temu dowiedli tego nasi pradiadkowie.

IGNACY JAN PADEREWSKI

*„Jestem Polakiem, wiernym synem Ojczyzny.
Myśl o Polsce wielkiej i silnej, wolnej i niepodległej,
była i jest treścią mego istnienia.”*

(Chicago, 30.04.1915 r.)

Polski pianista, kompozytor, polityk, premier Polski, działacz niepodległościowy, profesor konserwatorium w Warszawie.

Ignacy Jan Paderewski herbu „Jelita” przyszedł na świat 6 listopada 1860 r. w Kuryłówce na Podolu. Matka, Poliksena z domu Nowicka, córka Zygmunta, filomaty i przyjaciela Adama Mickiewicza, zmarła wkrótce po jego narodzinach. Jedyńm opiekunem Ignacego i jego starszej siostry Antoniny był ojciec, uczestnik Powstania Styczniowego, który za udział w nim odbył karę roku więzienia w Kijowie. Rodzice Paderewskiego pochowani zostali na cmentarzu w Żyto-mierzu. W tym czasie małym Paderewskim opiekowała się ciotka.

Duży wpływ na jego wychowanie wywarł były powstaniec listopadowy, Michał Babiński. Zajmował się on nauczaniem dziecka historii, geografii, języka francuskiego i literatury polskiej. Młody Paderewski od

dzieciństwa przejawiał uzdolnienia muzyczne, początkowo grając na starym rodzinnym fortepianie.

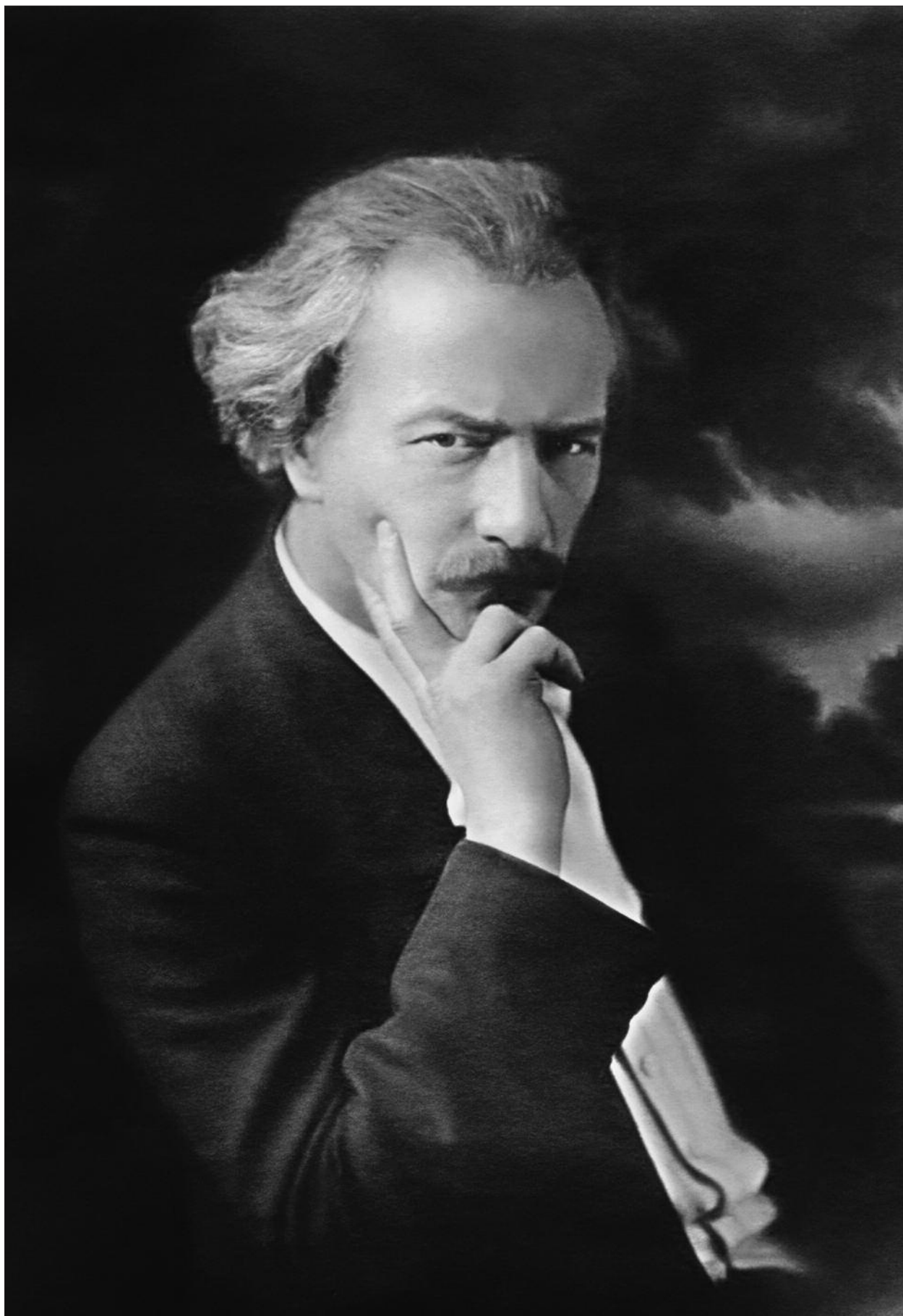
W latach 1872–1878 zdobył wykształcenie w warszawskim Instytucie Muzycznym, noszącym od 1919 r. nazwę Konserwatorium Warszawskie. Tam studiował grę na fortepianie pod kierunkiem Rudolfa Strobla, Juliusza Janoty, Romana Schloczera i jego brata Pawła Schloczera. Z przedmiotów teoretycznych kształcił się pod kierunkiem Gustawa Regulskiego, który był uczniem Hektora Berlioz.

Po ukończeniu szkoły z odznaczeniem otrzymał posadę nauczyciela kursu średniego fortepianu w tejże szkole. Paderewski utrzymywał się grając na przyjęciach, komponując i wykonując własne utwory, a także udzielając lekcji gry.

W 1880 r. poślubił Antoninę Korsakównę.

Pomimo zachwyty otoczenia, sam twierdził iż musi jeszcze wiele się nauczyć – przez to potrafił ćwiczyć nawet po 12 godzin dziennie. W 1881 r., po śmierci żony (która pozostawiła go z kalekim kilkumiesięcznym synem Alfredem), wyjechał doskonalić swój warsztat do Berlina.

W czasie zagranicznych wojaży Paderewski spotkał m.in. słynną polską aktorkę Helenę Modrzejewską. Ta, zafascynowana jego talentem, podarowała mu pokaźną sumę pieniędzy. Za tę kwotę mógł kontynuować naukę



w Wiedniu pod kierownictwem Teodora Leszetyckiego. Jego mistrz polecił go później na posadę nauczyciela gry na fortepianie w Strasburgu. Pierwszy większy sukces odniósł debiutując jako pianista w 1887 r., a w 1888 r. miał miejsce jego pierwszy duży koncert w Paryżu. Tam też spotkał i zaprzyjaźnił się z kompozytorem Camille Saint-Saëns.

Później przez pewien czas przebywał w Londynie, gdzie koncertował między innymi przed samą królową Wiktoria. Wielkim sukcesem okazało się jego pierwsze tournée po Stanach Zjednoczonych w latach 1891–1892, na które Paderewski zmuszony był się udać z powodu kłopotów finansowych. Na stałe zamieszkał w USA. Zyskał sobie ogromną popularność, nazywany był największym ze wszystkich mistrzem, królem pianistów, czarodziejem klawiatury. Podczas koncertowania w USA odniósł kontuzję dłoni, myślał nawet o zakończeniu kariery. Sprawność dłoni przywrócił mu Friedrich Lange – pionier niemieckiej chirurgii w Ameryce.

W 1899 r. Paderewski ożenił się z Heleną Górską, czym sprawił zawód wielu wielbicielek urzeczonym jego talentem i wyglądem (zwłaszcza długimi, falującymi włosami). Pomimo zakupu domu w Kąsnej Dolnej w Małopolsce państwo Paderewscy osiedli w Szwajcarii, w posiadłości Riond-Bosson w Tolochenaz koło Morges, niedaleko Lozanny.

Paderewski skomponował swoją jedyną operę (jedyne dzieło sceniczne) – „*Manru*” na przełomie stulecia. Jej prapremiera odbyła się w Dreźnie 29 maja 1901 r., a wkrótce zaprezentowano dzieło we Lwowie. Prapremiera amerykańska odbyła się w Metropolitan Opera 14 lutego 1902 r., odbyło się jeszcze 9 przedstawień w tym samym sezonie, po czym utwór zszedł z afisza i nie został nigdy wznowiony. Należy tu dodać, że „*Manru*” pozostaje jedyną polską operą (skomponowaną przez Polaka) wystawioną w Metropolitan Opera.

Na jego zlecenie w 1908 r. rzeźbiarz Antoni Wiwulski wykonał pomnik upamiętniający zwycięstwo wojsk polskich w bitwie pod Grunwaldem. Monument został odsłonięty w 1910 r. w Krakowie, w obecności ponad 150 tys. osób. Paderewski wygłosił wówczas przemówienie o wymowie niepodległościowej.

Po wybuchu I wojny światowej zaczął prowadzić szeroko zakrojoną działalność dyplomatyczną na rzecz Polski i Polaków, wykorzystując swą popularność na Zachodzie. M.in. zbierał fundusze na pomoc ofiarom wojny i był jednym ze współzałożycieli komitetów po-

mocy Polakom w Paryżu i Londynie. W 1915 r. założył wraz z Henrykiem Sienkiewiczem w Vevey Szwajcarski Komitet Generalny Pomocy Ofiarom Wojny w Polsce. Tego samego roku wyjechał do Stanów Zjednoczonych, gdzie kontynuował swą działalność. Przed każdym ze swoich występów przemawiał na temat postulowanej przez niego niepodległości Polski. W krótkim czasie udało mu się zbliżyć do doradcy prezydenta Wilsona, Edwarda House'a. Później spotkał się z samym prezydentem, któremu w styczniu 1917 r. przekazał memoriał na temat Polski. Być może z tego powodu sprawa niepodległości naszego kraju znalazła się w słynnych 14 punktach Wilsona. W sierpniu 1917 r. został przedstawicielem na USA Komitetu Narodowego Polskiego z Romanem Dmowskim na czele.

Po powrocie do kraju Józefa Piłsudskiego i powierzeniu przez niego misji formowania rządu Jędrzejowi Moraczewskiemu, również i Paderewski powrócił do Polski. 25 grudnia 1918 r. pojawił się w Gdańsku, skąd następnie udał się do Poznania. Jego przybycie do stolicy Wielkopolski i entuzjastyczne przywitania stało się impulsem do wybuchu zakończonego sukcesem powstania. Po przyjeździe do Warszawy Paderewski spotkał się z Piłsudskim i podjął się roli mediatora pomiędzy nim a obozem Dmowskiego. 16 stycznia 1919 r. został premierem, pełniąc również funkcję ministra spraw zagranicznych.

Wraz z Romanem Dmowskim reprezentował Polskę na konferencji w Paryżu, zakończonej podpisaniem traktatu wersalskiego, kończącego I wojnę światową. W tym czasie wsparł gen. Tadeusza Rozwadowskiego w jego planach tworzenia Legionu Amerykańskiego, który miał walczyć w Polsce z bolszewikami. W wyniku tych działań powstała polsko-amerykańska Eskadra Lotnicza im. Tadeusza Kościuszki. Paderewskiemu nie udało się zrealizować wszystkich założeń strony polskiej, jednak dał się poznać jako sprawny negocjator i dyplomata. Pomimo to jego bezpartyjny rząd był krytykowany w kraju zarówno przez lewicę, jak i prawicę. Paderewski wiedział, iż jego gabinet ma charakter tylko i wyłącznie przejściowy, dlatego w grudniu 1919 r. podał się do dymisji. Następnie wyjechał do Szwajcarii odpocząć od polityki.

Powrócił jednak do kraju w kulminacji wojny polsko-bolszewickiej w 1920. Został wysłannikiem rządu polskiego do Ligi Narodów. Wkrótce jednak zrezygnował z tej funkcji w 1921.

W 1922 r. wyjechał ponownie do USA, gdzie powrócił do koncertowania. Później zajął się także dzia-

łałnością charytatywną. W tym czasie otrzymał wiele tytułów i odznaczeń, m.in. tytuł lordowski od brytyjskiego monarchy Jerzego V.

Po śmierci Piłsudskiego w 1935 r. Paderewski współtworzył tzw. „Front Morges”. Organizacja ta, opozycyjnie nastawiona wobec polskiego reżimu autorytarnego, miała charakter centroprawicowy, a jednym z jej głównych założycieli był generał Władysław Sikorski. „Front Morges” domagał się demokratyzacji życia politycznego w kraju, ale również postulował wybór Paderewskiego na prezydenta Polski.

Po wybuchu II wojny światowej Paderewski wszedł w skład władz Polski na uchodźstwie. Został przewodniczącym Rady Narodowej Rzeczypospolitej Polskiej w Londynie, która stanowiła substytut Sejmu na emigracji.

W 1940 r. wyjechał ponownie do USA, aby tam znów prowadzić działalność niepodległościową. W 1940 r., mimo podupadającego zdrowia, udał się raz jeszcze do USA, by działać na rzecz Polski. Spowodował między innymi uzyskanie przez rząd Sikorskiego kredytów na uzbrojenie polskich sił zbrojnych na Zachodzie.

Paderewski zmarł na zapalenie płuc 29 czerwca 1941 r. o jedenastej rano, w pokoju hotelowym. Następnego dnia premier Rządu RP na uchodźstwie i Naczelnny Wódz gen. Władysław Sikorski wydał rozkaz nr 11, w którego ostatnich słowach napisał: *„Naród polski okryty głęboką żałobą po pamięci I. J. Paderewskiego traci z Jego odejściem od nas na zawsze jednego z największych swych duchów przewodnich. Cześć Jego pamięci! Rozkaz niniejszy odczytać przed frontem oddziałów i na pokładach okrętów Rzeczypospolitej Polskiej”*.

Pierwotnie pochowano go na Narodowym Cmentarzu w Arlington w pobliżu Waszyngtonu. Jednak 29 czerwca 1992 r. trumnę z jego prochami sprowadzono do Polski, gdzie spoczęła w krypcie archikatedry św. Jana w Warszawie. Pośmiertnie odznaczony orderem wojennym „Virtuti Militari”.

Ignacy Jan Paderewski posiadał następujące odznaczenia: „Order Orła Białego”, „Order Virtuti Militari V kl. (pośmiertnie)”, „Legia Honorowa”, „Order Imperium Brytyjskiego” oraz doktoraty honoris causa uniwersytetów we Lwowie (1912 r.), Krakowie (1919 r.) i Poznaniu (1924 r.), jak również kilku uczelni amerykańskich. Posiadał tytuł „Honorowego obywatela Warszawy”.

Wykorzystano materiały z Internetu

Jan Ignacy Paderewski. Cytaty

Cała ta sprawa interesowała mnie zresztą bardzo, a zawsze lubiłem przemawiać publicznie. Łatwość przemawiania, datująca się jeszcze z czasów młodości, okazała się wiele lat później bardzo cenna w mojej karierze politycznej.



Każdy człowiek powinien zdawać sobie sprawę z faktu, że dobre i trwałe wyniki osiągnąć można jedynie drogą krótkich, lecz ciągłych, codziennych wysiłków. Jednorazowy wysiłek jest kompletnie jałowy. Prawdziwą umiejętność zarówno w nauce i w sztuce, jak i w każdym innym zajęciach, zdobyć można tylko codzienną pracą i codziennym wysiłkiem. I to jest bezwzględnie pewne.



Droga do sukcesu jest pełna kobiet popychających mężów.



Nic tak nie wzmaga sił przeciwnika, jak wyrządzone mu krzywdy.



Zabraniano nam Słowackiego, Krasińskiego, Mickiewicza. Nie zabroniono nam Chopina. A jednak w Chopinie tkwi wszystko, czego nam wzbraniano: barwne kontusze, pasy złotem lite, posępne czamarki, krakowskie rogatywki, szlacheckich brzęk szabel, naszych kos chłopskich połyski, jęk piersi zranionej, bunt spętanego ducha, krzyże cmentarne, przydrożne wiejskie kościółki, modlitwy serc stroskanych, niewoli ból, wolności żal, tyranów przekleństwo i zwycięstwa radosna pieśń.



... Nie zginie Polska, nie zginie! Lecz żyć będzie po wieki wieków w potęgde i chwale. Dla was, dla nas i dla całej ludzkości.



„KRAINA, KTÓRA SIĘ W SERCU ZACZYNA...”

Polskie wiersze patriotyczne

ZIEMIA RODZINNA

Całem mem sercem, duszą niewinną,
Kocham tę świętą ziemię rodzinną,
Na której moja kołyska stała,
I której dawna karmi mię chwała.

Kocham te barwne kwiaty na łące,
Kocham te łany kłosem szumiące,
Które mię żywią, które mię stroją,
I które zdobią Ojczyznę moją.

Kocham te góry, lasy i gaje,
Potężne rzeki, ciche ruczaje;
Bo w tych potokach, w wodzie u zdroja,

Ty się przeglądasz Ojczyzno moja,
Krwia użyźniona, we łzach skąpana,
Tak dla nas droga i tak kochana!

Władysław Bełza (1847–1913)



PIEŚŃ O FLADZE

Jedna była – gdzie? Pod Tobrukiem.
Druga była – gdzie? Pod Narvikiem.
Trzecia była pod Monte Cassino.

A każda jak zorza szalona,
biało-czerwona, biało-czerwona,
czerwona jak puchar wina,
biała jak śnieżna lawina,
biało-czerwona.

Zebrały się nocą flagi.
Flaga fładze dodaje odwagi:
– No, no, nie bądź taka zmartwiona.
Nie pomogą i moce piekła:
jam ciebie, tyś mnie urzekła,
nie zmogą cię bombą ni złotem

i na zawsze zachowasz swą cnotę.
I nigdy nie będziesz biała,
i nigdy nie będziesz czerwona,
zostaniesz biało-czerwona
jak wielka zorza szalona,
czerwona jak puchar wina,
biała jak śnieżna lawina,
najukochańsza, najmilsza,
biało-czerwona.

Tak mówiły do siebie flagi
i raz po raz strzelił karabin,
zrobił dziurę w czerwieni i w bieli.
Lecz wołały flagi: – Nie płaczcie!
Choćby jeden strzępek na maszcie,
nikt się zmienić barw nie ośmieli.
Zostaniemy biało-czerwone,
flagi święte, flagi szalone.
Spod Tobruku czy spod Murmańska,
niech nas pędzi dola cygańska,
zostaniemy biało-czerwone,
czerwone jak puchar wina,
białe jak śnieżna lawina,
biało-czerwone.

O północy przy zielonych stolikach
modliły się diabły do cyfr.
Były szarfy i ordery, i muzyka
i stukał tajny szyfr.
Diabły w sercu swoim głupim, bo niedobrym
rozwiązywały biało-czerwony problem.

Łkała flaga: – Czym powinna
zginąć, bo jestem inna?
Bo nie taka dyplomatyczna,
bo tragiczna, bo nostalgiczna,
ta od mgieł i od tkliwej rozpaczy,
i od serca, które nic nie znaczy,
flaga jak ballada Szopenowska,
co ją tkala sama Matka Boska.

Ale wtedy przyszła dziewczyna
i uniosła flagę wysoko,
hej, wysoko, ku samym obłokom!
Jeszcze wyżej, gdzie się wszystko zapomina,

jeszcze wyżej, gdzie jest tylko sława
i Warszawa, moja Warszawa,
Warszawa jak piosnka natchniona,
Warszawa biało-czerwona,
biała jak śnieżna lawina,
czerwona jak puchar wina,
biało-czerwona, biało-czerwona,
hej, biało-czerwona.

Konstanty Ildefons Gałczyński (1905–1953)

A przedszkole?
Tak – i przedszkole,
i róża w ogrodzie
i książka na stole.

Czesław Janczarski (1911–1971)



BARWY OJCZYSTE

Powiewa flaga, gdy wiatr się zerwie,
A na tej fladze, biel i czerwień,
Czerwień to miłość,
Biel serce czyste,
Piękne są nasze barwy ojczyste.



CO TO JEST POLSKA?

– Co to jest Polska? –
Spytał Jaś w przedszkolu.
Polska – to wieś
i las,
i zboże w polu,
i szosa, którą pędzi
do miasta autobus,
i samolot, co leci
wysoko, na tobą.
Polska – to miasto,
strumień i rzeka,
i komin fabryczny,
co dymi z daleka,
a nawet obłoki,
gdy nad nami mkną.
Polska to jest także twój rodzinny dom.

TU WSZĘDZIE POLSKA

Tu, gdzie jest dom nasz, twój i mój,
gdzie lasy są i rzeki nasze,
gdzie każdy ojciec szedł na bój,
gdzie Biały Orzeł na sztandarze.

Gdzie w Gdańsku Neptun lśni trójzębem,
gdzie nad Krakowem dźwięczy hejnał,
gdzie wolna droga wiedzie w zboże,
gdzie chwiejna trzcina na jeziorze.

Tyś się tu rodził, ojciec i wuj,
tu się rodziła twoja matka.
Dziad orał ziemię, wdychał kurz,
a jego dom to nędzna chatka.

Gdzie klucz żurawi nad łąkami,
gdzie Mysia Wieża ponad Gopłem,
w Szczecinie biały transatlantyk,
w morzu stalowy, czujny okręt.

Gdzie wiosną słowik w krzakach gęstych,
jesienią rżyska snute dymem,
gdzie latem słońce nad Bałtykiem,
a zimą świerszcze za kominem.

Gdzie dom poety w Czarnolesie,
gdzie nurtem śpiewnym płynie Wisła.
Tu biały sad jest, czarny węgiel,
tu wszędzie Polska, tu – Ojczyzna!

Tadeusz Kubiak (1924–1979)



TWÓJ DOM

Jest w każdym naszym słowie,
a słowa są najprostsze –
chleb, mama, dom gościnny,
i Wisła, i Mazowsze.

I jest w czerwieni maków,
i w białych kwiatach wiśni,
w piosenkach wszystkich ptaków
i w każdej naszej myśli.

W mazurku chopinowskim,
i w czarnym węglu Śląska,
i tu, gdzie serce mówi,
że to jest właśnie Polska.

Wanda Chotomska (1929–2017)

**ŻEBY POLSKA BYŁA POLSKĄ**

Z głębi dziejów, z krain mrocznych,
Puszcz odwiecznych, pól i stepów,
Nasz rodowód, nasz początek,
Hen, od Piasta, Kraka, Lecha.
Długi łańcuch ludzkich istnień
Połączonych myślą prostą.
Żeby Polska, żeby Polska,
Żeby Polska była Polską!
Żeby Polska, żeby Polska,
Żeby Polska była Polską!

Wtedy kiedy los nieznanym
Rozsypywał nas po kątach,
Kiedy obce wiatry grały,
Obce orły na proporcach,
Przy ogniskach wybuchała
Niezmierzona nuta swojska.
Żeby Polska, żeby Polska,
Żeby Polska była Polską!
Żeby Polska, żeby Polska,
Żeby Polska była Polską!

Zrzucał uczeń portret cara,
Książdz Ściegienny wznosił modły,
Opatrywał wóz Drzymała,

Dumne wiersze pisał Norwid.
I kto szablę mógł utrzymać
Ten formował legion, wojsko.
Żeby Polska, żeby Polska,
Żeby Polska była Polską!
Żeby Polska, żeby Polska,
Żeby Polska była Polską!

Matki, żony w mrocznych izbach
Wyszywały na sztandarach
Hasło: „Honor i Ojczyzna”
I ruszała w pole wiara.
I ruszała wiara w pole
Od Chicago do Tobolska.
Żeby Polska, żeby Polska,
Żeby Polska była Polską!
Żeby Polska, żeby Polska,
Żeby Polska była Polską!

Żeby Polska, żeby Polska,
Żeby Polska była Polską!
Żeby Polska, żeby Polska,
Żeby Polska była Polską!

Jan Pietrzak (ur. 1937 r.)

**POLSKA**

Polska – to taka kraina,
która się w sercu zaczyna.
Potem jest w myślach blisko,
w pięknej ziemi nad Wisłą.
Jej ścieżkami chodzimy,
budujemy, bronimy.
Polska – Ojczyzna...
Kraina, która się w sercu zaczyna.

Ryszard Przymus (1943–2001)





TOBIE, OJCZYZNO, ŚPIEWAM...

Były odzwierciedleniem narodowych tragedii, niepokojów, tęsknot i najskrytszych marzeń Polaków. Wyrażały ich smutki i radości. Prowadziły, wskazywały drogę, podnosiły na duchu. Niosły NADZIEJĘ. Polskie pieśni patriotyczne. Oto jedna z nich.



O MÓJ ROZMARYNIE

Jedna z najpopularniejszych polskich pieśni wojskowych z czasów I wojny światowej i wojny polsko-bolszewickiej, znana także pod tytułem „Rozmaryn”. (Rozmaryn jest w wierzeniach ludowych przedstawiany jako symbol miłości i wierności.)

W śpiewnikach pojawiła się od roku 1915, po raz pierwszy wydrukowana została w zbiorze „Żołnierskie piosenki obozowe” Adama Zagórskiego. Dwie zwrotki dopisał hrabia Wacław Denhoff-Czarnecki, a jedna powstała w 4 Pułku Legionów (oddział piechoty Wojska Polskiego w latach 1918–1939). Także w późniejszych czasach dopisywano nowe zwrotki. Jednak autorzy większości tekstu są anonimowi.

Autorem muzyki do pieśni, prawdopodobnie tym, który nauczył ją śpiewać resztę oddziału „Strzelca”, był Zygmunt Pomarański.

Michał Sokolnicki (1880–1967) – polski historyk, dyplomata, polityk, w swych wspomnieniach napisał, że jeden z członków kompanii krakowskiego „Strzelca” (Związek Strzelecki – paramilitarna organizacja społeczno-wychowawcza powstała w 1910 roku we Lwowie i działająca do 1914 r. będąca podstawą budowania struktur wojskowych Legionów Polskich), nauczył jej resztę oddziału, w trakcie marszu z Lanckorony do Krakowa, w dniu 14 kwietnia 1913. „Nie wiem, skąd ją przyniósł, z jakiej tradycji wy dostał młodzieniec, który maszerował wówczas w naszej pierwszej czwórce. Swoim młodym, trochę jeszcze dziecięcym głosem zanucił ją nam z początku sam; monotonnie w takt ociężałego, nieskładnego marszu pochwytyli ją tu i ówdzie żołnierskie głosy. [...] Należałem do tych, co prosili wciąż o jej powtarzanie, od innych więc śpiewów wracaliśmy do niej i w końcu jeszcze przed Krakowem umiała ją cała nasza kompania na pamięć i wybijała ciągle jej takt swym marszem. Tak przeszła ona potem do innych oddziałów, weszła do skarbu wojska, zaczęła swoją długą wędrówkę po szeregach chodzących po Polsce.”

Pieśń ta występuje w kilku równoprawnych odmianach, różniących się między sobą ilością zwrotek, a także brzmieniem poszczególnych strof.

O mój rozmarynie

O mój rozmarynie, rozwijaj się
Pójdę do dziewczyny, pójdę do jedynej
Zapytam się.

A jak mi odpowie – nie kocham cię,
Ułani werbują, strzelcy maszerują
Zaciągnę się.

Dadzą mi konika cisawego
I ostrą szabelkę, i ostrą szabelkę
Do boku mego.

Dadzą mi kabacik z wyłogami
I wysokie buty, i wysokie buty
Z ostrogami.

Dadzą mi uniform popielaty
Ażebym nie tęsknił, ażebym nie tęsknił
Do swej chaty.

Dadzą mi manierkę z gorzałczyną
Ażebym nie tęsknił, ażebym nie tęsknił
Za dziewczyną.

Dadzą mi szkaplerzyk z Matką Boską
Żeby mnie bronila, żeby mnie bronila
Tam pod Moskwą.

A kiedy już wyjdę na wiarusa
Pójdę do dziewczyny, pójdę do jedynej
Po całusa.

A kiedy mi odpowie – nie wydam się
Hej, tam kule świszczą i bagnety błyszczą,
Poświęcę się.

Powiodą z okopów na bagnety,
Bagnet mnie ukłuje, śmierć mnie pocałuje,
Ale nie ty.

A gdy mnie przyniosą z raną w boku,
Wtedy pożałujesz, wtedy pożałujesz
Z łezką w oku.

Na mojej mogile wyrośnie bez,
Nie chciałaś mnie kochać, nie chciałaś mnie kochać,
Nie roń teraz łez.

Za tę naszą ziemię skąpaną we krwi,
Za nasze kajdany, za nasze kajdany,
Za wylane łzy.



Wacław DENHOFF-CZARNOCKI

Żołnierz Legionów, kapitan piechoty Wojska Polskiego, pomysłodawca założenia klubu „Polonia” Warszawa, poeta.

Urodził się 20 stycznia 1896 r. w Warszawie. Syn kupca Tadeusza i Zofii z Czarnowskich. Uczył się w Gimnazjum W. Wróblewskiego w Warszawie, w którym też zdał maturę w roku 1913. Jako uczeń należał do organizacji postępowo-niepodległościowej „Promień”. Następnie podjął studia medyczne na uniwersytecie w Lozannie, gdzie był członkiem tamtejszej „Filarecji”.

Od roku 1912 r. należał do Związku Strzeleckiego. W 1914 r. ukończył szkołę podoficerską, przebywał na letnim kursie oficerskim w krakowskich Oleandrach. W latach 1915–1918 działał w Polskiej Organizacji Wojskowej (pod pseudonimem „Szembek”). W tym czasie używał także nazwiska Denhoff, które później dodał do swojego nazwiska rodzowego.

Przebieg służby wojskowej:

- 6 sierpnia 1914 r. – zastępca dowódcy 13 kompanii strzeleckiej
- 25 sierpnia – dowódca I plutonu 1 kompanii V baonu 1 pułku piechoty Legionów Polskich
- 9 października – awans na ppor. piechoty
- 12 maja 1915 r. – został przydzielony do 3 szwadronu dyonu kawalerii rotmistrza Władysława Beliny-Prażmowskiego, w celu zapoznania się ze służbą w kawalerii
- 15 lipca – adiutant baonu uzupełniającego I brygady
- 22 sierpnia – został komendantem okręgu piotrkowskiego
- 15 października – komendant m.st. Warszawy
- 17 grudnia objął funkcje adiutanta Komendy Naczelnej
- od 25 marca do 21 kwietnia 1916 r. kierownictwo okręgu wrocławskiego
- 22 kwietnia został szefem komisji wydawniczej POW
- 12 lutego 1917 r. objął funkcję komendanta szkoły podchorążych
- 4 lipca – komendant okręgu lubelskiego
- 15 listopada – ponownie komendantura m.st. Warszawy
- 1 lipca 1918 r. – objął funkcję szefa propagandy POW.



W październiku wysłany w specjalnej misji do Lwowa, gdzie zastał go rozpad Austro-Węgier. Od 1 listopada 1918 r. uczestniczył w obronie Lwowa przeciwko Ukraińcom, początkowo na odcinku „Domu Techników”, potem dowodził odcinkiem „Elektrownia”. 2 grudnia, po oswobodzeniu miasta, został awansowany na porucznika piechoty i otrzymał dowództwo 1 kompanii 6 pułku piechoty Legionów. 10 lutego 1919 r. został szefem oddziału wywiadowczego. 25 marca jako szef oddziału informacyjnego Dywizji Litewsko-Białoruskiej, uczestniczył w walkach z bolszewikami na froncie litewsko-białoruskim. 10 maja wyznaczony na szefa oddziału II dowództwa frontu. 15 listopada awansowany na kapitana piechoty. 10 stycznia 1920 r. mianowany adiutantem sztabowym.

1 kwietnia na skutek ciężkiej choroby płuc, przeszedł do dyspozycji naczelnego dowództwa, i został skierowany na urlop zdrowotny. Jednak z powodu trudnej sytuacji na froncie, pomimo złego stanu zdrowia, zorganizował dywersję na tyłach wojsk bolszewickich na terenach Małopolski Wschodniej. Po ustabilizowaniu sytuacji na froncie przeszedł do służby administracyjnej. Po zakończeniu wojny 10 listopada 1921 r. przeniesiony do 65 pułku piechoty w Starogardzie. Od 17 grudnia ponownie na urlopie zdrowotnym, mimo intensywnego leczenia w sanatorium w Rajczy następuje dalszy postęp gruźlicy, w związku z czym 30 września 1925 r. przechodzi w stan spoczynku.

Czterokrotnie odznaczony „Krzyżem Walecznych”, pośmiertnie otrzymał „Krzyż Niepodległości”.

Poeta, w roku 1916 wydał w Kielcach zbiór „Piosenki i Wiersze”. Dopisał też kilka zwrotek do pieśni „O mój rozmarynie”. Ponadto był współredaktorem pism: „Przegląd Wojskowy” i „Strzelec”.

Był kapitanem drużyny piłkarskiej „Korona I”, działającego w ramach Warszawskiego Koła Sportowego. Pod koniec 1911 roku zaproponował kapitanom dwóch pozostałych drużyn działających w ramach koła sportowego, „Stelli” i „Merkurego”, połączenie w jedną drużynę, której nadał nazwę „Polonia” (łacińska nazwa Polski). Nazwa ta miała przypominać w 1911 roku o istnieniu Polski, pomimo tego, że nie było jej w tamtych czasach na mapach Europy.

Żonaty z Wandą z Cumtów, mieli córkę Krystynę.

Po zakończeniu służby wojskowej Wacław Denhoff-Czarnocki zamieszkał w Zakopanem, gdzie uprawiał taternictwo i narciarstwo.

Zmarł na gruźlicę w Bydgoszczy 11 kwietnia 1927 r., tam też został pochowany.

Zygmunt POMARAŃSKI

ps. „Brzózka”

Polski żołnierz Pierwszej Kompanii Kadrowej, kapitan rezerwy Wojska Polskiego, komendant Polskiej Organizacji Wojskowej obwodu radomskiego, iłżeckiego, koneckiego i zamojskiego, członek skautingu, współwłaściciel księgarni oraz wydawnictwa, komornik sądowy, kompozytor.

Urodził się 20 stycznia 1898 r. w Warszawie. Syn Józefa Pomarańskiego i Marii z domu Dorantt.

Uczęszczał do szkoły Mariana Rychłowskiego w Warszawie, jako uczeń był członkiem „Zarzewia” i pierwszej w Warszawie tajnej drużyny skautowej im. Romualda Traugutta, należał od 1913 r. do Polskich Drużyn Strzeleckich (PDS). Wybuch I wojny światowej zastał go w Nowym Sączu, gdzie brał udział w kursie strzeleckim, wraz z bratem Stefanem wszedł w skład I Kompanii Kadrowej Legionów Polskich. Podczas walk był ranny pod Kielcami i Konarami. W grudniu 1915 r. został przydzielony do okręgu piotrkowskiego Polskiej Organizacji Wojskowej, był następnie komendantem jej kilku obwodów.

W listopadzie 1918 r. uczestniczył w rozbrajaniu wojsk austriackich, następnie służył w Wojsku Polskim, po przejściu do rezerwy zajmował się działalnością księgarsko-wydawniczą. Od 1931 r. był komornikiem Sądu Grodzkiego w Kraśniku, w Hrubieszowie i Wło-

dzimierzu Wołyńskim, następnie notariuszem w Kozienicach potem w Zamościu. W 1939 r. objął w Zamościu funkcję sekretarza miejscowego miesięcznika Związku Strzeleckiego „Gromada Strzelecka”.

Podczas okupacji niemieckiej w czasie II wojny światowej prowadził działalność konspiracyjną od jesieni 1939 r. w Służbie Zwycięstwu Polski (SZP), a następnie w Związku Walki Zbrojnej w Zamościu, był pierwszym komendantem rejonu I Zamość-Miasto oraz oficerem organizacyjnym obwodu Zamość (do dnia aresztowania). Jego kompozycje „Pieśni o wojnie i na wojnie pisane” w układzie na głos i fortepian, ukazały się w 1935 r.

Odznaczony „Krzyżem Niepodległości”, „Złotym Krzyżem Zasługi” nadanym w 1930 r., „Srebrnym Wawrzynem Akademickim” nadanym w 1937 r. przez prezydenta Polskiej Akademii Umiejętności, „Krzyż Legionów Polskich Józefa Piłsudskiego 1914–1918”, „Krzyżem 4. Pułku Piechoty” za lata 1915–1916, „Honorowym Krzyżem Harcerzy” za pracę harcerską w latach walki o niepodległość 1909–1921.



Był żonaty (od 12.06.1920 r.) z Jadwigą z domu Milanowska. Pozostawił syna Ziemowita oraz córki: Danutę, Wisławę i Mirosławę.

Został aresztowany w lutym 1941 r. i wywieziony na Zamek Lubelski, stamtąd do obozu koncentracyjnego Auschwitz, gdzie zginął 29 września 1941 r.

Wykorzystano materiały z Internetu

Edward Guziakiewicz

ŻYRAFA Z PARASOLEM

Wyprawa do ogrodu zoologicznego ciekawie się zapowiadała i wiele sobie po niej obiecywały. Dzień był pogodny, a mimo tego, że zbliżała się jesień, słońce mocno dogrzewało. Na gałęziach kasztanowca znaczyły się pierwsze pożółkłe liście. Przy spokojnym kucyku z wplecioną w grzywę barwną wstęgą cierpliwie dyżurował posiwiaty fotograf. Tu się zatrzymały. Mireczka zamarzyła o pamiątkowym zdjęciu, więc matka posadziła ją na grzbiecie zwierzęcia.

– Prawdziwa z ciebie amazonka – orzekła z przekonaniem.

Potem poszły dalej. Czekwały na nie zebry i antylopy, lamy, wielbłądy i słonie, pantery, pumy i tygrysy. Sympatyczne, ruchliwe mały zabawiały gromadkę maluchów. Lew prezentował się isticie po królewsku. Ubarwienie miał płowe. Grzywa zdobiła głowę, kark i przód tułowia. Ogon kończył się kiścią długich włosów. Drapieżny kot groźnie zaryczał, lecz Mira skwitowała to niezwykle powitanie po swojemu.

– Mamo, popatrz, powiedział mi: dzień dobry! – zawołała z przejęciem. Dygnęła przed klatką jak dobrze wychowana pannica i odrzekła: – Miło mi pana poznać, panie lwie!..

Niedźwiedzie były ospałe i przy ich wybiegu Mireczka nie pozostała za długo. Natomiast żyrafy pochłonęły jej uwagę i nie mogła oderwać od nich oczu.

– Mamo, weźmy jedną żyrafę do domu, weźmy! Tę najwyższą... – rzuciła niecierpliwie, nie chcąc odejść od barierki.

Matka nie potraktowała jej prośby serio. Zabrała się do perswazji, próbując wybić Mireczce z głowy ten



zwariowany pomysł. Jak można zabrać ze sobą wyrosłe na ponad pięć metrów zwierzę?

– A gdzie będziemy ją trzymać? – zapytała. – Jest dużo większa od twoich lalek i pluszowych zabawek, a nasze mieszkanie jest za niskie.

Dla dziewczynki nie stanowiło to żadnej przeszkody.

– To tatuś zburzy sufit. I żyrafa będzie sobie wystawiać głowę.

Matka kręciła nosem. Raptem przyszedł jej na myśl kolejny kontrargument.

– A co zrobimy, kiedy zacznie padać deszcz?

Mira miała – niestety – gotowiutką odpowiedź.

– To żyrafa będzie stać pod parasolem.

Przysłuchujący się niecierpliwiej wymianie zdań pracownik zoo włączył się do rozmowy. Uśmiechnął się do dziewczynki i pogłaskał ją po lnianej czuprynie.

– To jest dom żyraf – rzekł z nieskrywaną powagą.

– Ich mama przybyła z ogrodu zoologicznego w Amsterdamie, a one już tu się urodziły. Nie można ich więc stąd zabierać. A czy ty byś chciała, żeby ktoś cię porwał rodzicom i wywiózł w nieznaną?

Mireczka nadal miała pochmurną minę.

– Nie chciałabym – uległa perswazji. Brzydko wydeła buzię, ale pogodziła się już z tym, że nie weźmie ze sobą ogromnego zwierzęcia do domu.

W drodze powrotnej przechodziły obok kościoła. Wstąpiły i uklękły przed cichym tabernakulum. W półmroku paliła się wieczna lampka, a z malowideł spoglądali święci.

– Obok doczesnego – szepnęła mama córce do ucha – każdy ma w niebie wieczny dom. I zamieszka w nim z Bogiem. Na zawsze.

Dziewczynka wydawała się to rozumieć. Po wyjściu z kościoła zapytała, mrużąc oczy od słońca:

– A czy kupisz mi małą żyrafę, taką zabawkę?

– Oczywiście, że kupię – solennie obiecała mama.

– O ile znajdziemy ją w jakimś sklepie.

– Będę ją trzymać na półce z lalkami – postanowiła dziewczynka. – I zrobię jej piękny parasol. Z kolorowej plasteliny.

JESIENNY LATAWIEC

Było w czym wybierać. Tańczące na linkach balony różniły się kształtami i kolorami. Nadmuchane gazem lżejszym od powietrza były gotowe z wdziękiem poszybować w górę. Wokół kramu zebrał się tłum gapiów. Oglądano je i kupowano. Dalej oferowano słodką watę cukrową. Na rogu placu przygrywała kapela ludowa. Muzycy mieli na sobie pasiaste stroje.

Mireczka zdecydowała się na jasnopopielate чудо z barwną podobizną kaczonego Donalda i tatko za nie bez zwłoki zapłacił. Gotów do lotu bohater kreskówek podrywał się w podmuchach lekkiego wiatru, ale dziewczynka mocno trzymała zawiązaną na końcu linki pętlę. Nie miał szans, nie mógł urwać się z uwięzi...

Tatusiek nie krył radości. Zachowywał się tak, jakby ubyło mu nagle lat i znowu chodził do szkoły z tornistrem na plecach.

– Wiesz, córuś? Wpadłem na genialny pomysł – zawołał. W przychylnym dobiegłym humorze miał ochotę na różne psoty.

– Jaki? – zapytała córka, bacząc, aby balon nie zaplątał się między gałęziami tracącej liście rozrostłej lipy.

– Przedłużymy linkę. Kupimy szpulkę mocnych nici. Puścimy balon tak wysoko, żeby pojawił się przed naszymi oknami. I postaramy się, żeby wpadł mamie w oczy – dzielił się szczegółami. – Ależ będzie zdumiona i przejęta!..

Pomysł był znakomity, więc od razu przystąpili do dzieła. Sklep pasmanteryjny mieścił się po drugiej stronie ulicy. Nie trzeba było zatem długo czekać i wkrótce kaczor Donald zaczął ciekawie zaglądać do okien najpierw pierwszego, a potem drugiego piętra.

Mama zauważyła niecodziennego gościa, który wprasał się przez okno na obiad. Wychyliła głowę.

– Mamo, złap kaczonego! – wołała Mira.

Balon był jednak płochliwy. Wiatr porywał go, unosząc na różne strony. Dopiero po kilku próbach trafił mamie do rąk. Przytrzymała go, ale potem wypuściła.

– Nie zabieram go, bo obiad nie jest gotowy – żartobliwie odkrzyknęła, wychylając się z okna.

Nie był to jedyny pomysł taty. W te pędy zaproponował córce następną zabawę.

– Wiesz, co? To powinien być prawdziwy latawiec. Doróbmy mu ogon – figlarnie podpowiedział.

– Z czego? – zapytała Mira.

Uniósł brwi w niejakim zdziwieniu.



– Jak to: z czego? – wydukał. – O tej porze roku ogon robi się z opadłych liści. Musimy je pozierać i powiązać nitką.

Mira zabrała się do dzieła. Już kilka razy zbierała wyschłe liście, a w pobliskim parku ich nie brakowało. Drzewa przyodziały się w jesienne szaty, pyszniąc się czerwienią, brązem i złotem.

– Masz rację! – zawołała, rozglądając się wokół siebie.

Liści przybywało na kupce, lecz tatko wybierał tylko najładniejsze. Wiązał je, jeden za drugim, każąc córce je liczyć.

– Jeden, dwa, trzy – pokazywała Mira palcem. – Cztery, pięć, sześć, siedem!

Tatko utwierdzał się w przekonaniu, że córka czyni postępy w rachunkach.

– Do ilu umiesz liczyć? – zapytał, sprawdzając, czy kolejny liść jest dobrze umocowany.

– Do dziesięciu – wyjaśniła córeczka.

Ucieszył się. Obie ręce miały dokładnie tyle palców.

– Zatem jesienny ogon latawca będzie złożony z dziesięciu liści. Tyle ich będzie, ani mniej, ani więcej.

Pozwolili balonowi unieść się w górę. Stanęli w odsłoniętym miejscu, nie chcąc, żeby linka zaplątała się między konarami. Płynął coraz wyżej, wykonując w powietrzu taneczne kroki i podskoki. Ogon z jesiennych liści też tańczył, wtórując melodii, którą wygrywał wiatr.

W pewnej chwili dziewczynka się zaniepokoiła.

– A czy on do nas jeszcze wróci? – zapytała.

Na szpulki zostało trochę nici.

– Nie ma mowy, nie ucieknie – zapewnił ją tato. – Rozwińmy szpulkę do końca, a potem nawiniemy nią z powrotem. – Poglaskał córkę po główce. – Kaczor Donald opowie ci, co z góry widział. To ci dopiero będzie heca!..

W DRODZE DO NIEBA

Grube na dwa palce świece nie chciały się palić, migotały na wietrze, syczały i gasły. Tatko ustawiał je na marmurowej płycie grobowca i osłaniał od wiatru czerwonymi lampionami z krzyżkami, zmuszając do posłuszeństwa. Zniczom o grubych knotach nie przeszkadzały podmuchy wiatru. Płonęły jasnym płomieniem.

Tego dnia było tłumnie na cmentarzu. Skończyło się nabożeństwo żałobne. Przy kamiennych grobowcach i ozdobionych krzyżami prostych grobach gromadzili się przybyli. Pochłonięta swoimi myślami mama stała ze złożonymi rękami. Jej wargi się poruszały. Szeptala modlitwę za zmarłych. Doniczkę z chryzantemami ustawiła tuż przy porcelanowej fotografii dziadziusia, a pachnący lasem jodłowy wieniec położyła na środku płyty. Mirce udzielił się nastrój zadumy i zamglonego złotawego smutku. Miała na sobie nową ciemnopopielatą kurtkę z kapiszonem, do niej zaś – granatowy wełniany szalik, granatową czapkę i rękawiczki. Przynęła się do mamy i cichutko zapytała:

– Czy mogę pomodlić się do Anioła Stróża?

Matka uśmiechnęła się i spojrzała na ojca.

– Oczywiście, że możesz.

Dziewczynka się przeżegnała. Chciała przyklęknąć, ale nie było gdzie, więc zaczęła przestępować z nogi na nogę. Złożyła ręce, tak jak mama. Zaczęła powtarzać słowa dziecięcej modlitwy.

Wreszcie rzekła, gdy skończyła:

– Już!

Tatko uporał się ze świecami i zniczami. Zrzucił kilka ostatnich pożółkłych liści z płyty grobowca. Potem zerknął na córkę.

– Pomodliłaś się? – zapytał.

Córeczka przytaknęła. Chciała, by ją wziął na ręce.

– Odmówiłam modlitwę do Anioła Stróża – wyjaśniła.

Skinął głową. Przysiadł na wąskiej kamiennej ławeczce przy grobowcu i rzekł:

– Niosłem cię, kiedy szliśmy na cmentarz. Usiądź mi na kolanach.

Przytuleni do siebie bez ruchu siedzieli, wpatrując się w migocące światła świec. Tych były tysiące na

cmentarzu. Zapadał już zmrok, a korony brzoź biły poświatą. Nie czuli chłodu, bo byli ciepło odziani. Matka na chwilę odeszła, bo chciała chwilę podumać przy mieszczącym się nieopodal grobie dalekiej krewnej. Czekali na jej powrót.

– No to teraz jeszcze wspólnie pomódlmy się za dziadziusia – zaproponował. – Odmówmy „Ojcze nasz”!..

Mireczka nie miała jednak ochoty modlić się za zmarłego. Zsunęła się z kolan ojca. Nie rozumiała, po co miałyby to czynić.

– Za niego już nie trzeba się modlić – rzekła z przekonaniem. – Jest przecież w niebie.

Ojciec zmarszczył brwi. Chcąc nie chcąc, musiał to córce dokładniej objaśnić.

– Nie od razu człowiek spotyka Boga „twarzą w twarz”. Po śmierci zazwyczaj trafia do czyśćca i stamtąd wypatruje nieba – tak jak umiał przybliżać prawdy wiary. – Musi odpokutować za swoje grzechy, my zaś modlimy się w tym czasie, aby go wesprzeć. Wzdychamy w jego intencji do Pana wszechwzruszyci. Chcemy, żeby rychło znalazł się w Królestwie niebieskim.

Chyba trafiło jej to do przekonania. Pojęła, dlaczego powinna pamiętać o zmarłym dziadziusiu.

– W takim razie będę się za niego modlić – gramoliła się znowu tacie na kolana. – Jeżeli zacznę o to prosić Pana Boga, to on wcześniej znajdzie się w niebie? – upewniała się po dziecięcemu.

Tatko skinął głową z przekonaniem.

– Bez wątpienia – stwierdził. – Modlitwy małych dzieci bardzo pomagają tym, co odeszli...

Jej twarzączka się rozpromieniła. Czyż to nie było miłe, iż może uczynić coś dla kochanego dziadka? Uśmiechnęła się do oblicza, widniejącego na fotografii z porcelany.

– Dziadziusiu – zawołała. – Będę za ciebie codziennie się modlić – solennie mu przyobiegała. – Jak mamusia i tatuś!

Można było odnieść wrażenie, że zmarły z zaświatów uśmiecha się do wnuczki.





KONIEC
PAŹDZIERNIKA

Gdy się zaczyna
Pogrzeb liści
Opłakiwany deszczem
A wiatr z rozpacz
Błądzi na ślepo
W konarach
W tym czasie
Białych chryzantem

Myślę o tych
Którzy
Mogą być ze mną
Tylko
W mojej po nich
Tęsknocie

Dorota Jaworska